



HARLEQUIN®

Romans
Historyczny®



BRONWYN
SCOTT

Jak grzeszyć pięknie

Bronwyn Scott

Jak grzeszyć pięknie

PROLOG

Maj 1835, Londyn, oficjalne rozpoczęcie sezonu

Chodziły słuchy, że Riordan Barrett potrafił doprowadzić kobietę do orgazmu samym tylko spojrzeniem, nawet z odległości piętnastu stóp. Z mniejszej odległości możliwości były niemal nieskończone, podobnie jak powaby rozkosznej lady Meacham. Riordan położył dłoń na jej plecach i rozważał te możliwości, prowadząc ją zręcznie wśród tłumu zgromadzonego w Somerset House. Doroczna wystawa w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych stanowiła oficjalne rozpoczęcie sezonu.

Lady Meacham rzuciła mu spojrzenie, niepozostawiające wątpliwości, że myślała o tym samym. Wiedział doskonale, czego pragnęła - tego samego, czego pragnęły one wszystkie - by krążące o nim pogłoski okazały się prawdziwe. Chciała zaznać rozkoszy, którą Riordan potrafił dać kobiecie jak nikt inny. On również tego pragnął, chciał zatracić się w przyjemności choć na chwilę. Był w tym mistrzem. Karty, zakłady, wyścigi, alkohol i wszelkie inne mało chwalebne rozrywki dżentelmenów nie były mu obce. Znał zarówno buduary rozpustnych dam z półświatka, jak i sypialnie małżonek szacownych dżentelmenów. Dla Riordana i wszystkich pań pokroju lady Meacham z całego świata „przyjemność” była synonimem słowa „ucieczka”, a brzmiała zdecydowanie mniej desperacko.

Riordan z zaskoczeniem skonstatował, że już pojawiła się w jego myślach desperacja, choć sezon dopiero się rozpoczynał. Czyżby londyńska wiosna, pełna wystawnych balów i pięknych kobiet, zaczynała tracić w jego oczach swój blask? Riordan zabronił sobie o tym myśleć i skierował lady Meacham ku najnowszemu dziełu Turnera, przedstawiającemu październikowy pożar parlamentu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z przewidywaniem, pomyślał, to przez całe popołudnie będzie napawał się w sypialni kuszącymi wdziękami lady towarzyszki i zapomni.

Riordan pochylił się do ucha lady Meacham i rozpoczął grę.

- Proszę zauważyć, jak pociągnięcia pędzla Turnera oddają energię płomieni, a zółcie i czerwienie piekielny żar, w którym wszystko się topi. - Musnął palcami jej ramię, by rozniecić w niej zupełnie inny płomień. Ciężki zapach kosztownych perfum lady Meacham wypełnił jego nozdrza. Riordan wołał świeże, słodkie zapachy.

- Jest pan prawdziwym ekspertem w... technice muskania - mruknęła lady Meacham

i przesunęła się lekko, by niby przypadkiem otrzeć się piersiami o jego rękaw, wysyłając mu dyskretne zaproszenie.

- Jestem ekspertem w bardzo wielu dziedzinach, moja droga - szepnął Riordan znacząco.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Sarah. - Lekko dotknęła złożonym wachlarzem jego rękawa. - Mówi pan jak znawca. Czy pan również maluje?

- Coś tam pacykuję. - Kiedyś jego ambicje sięgały znacznie dalej, ale w którymś momencie stwierdził z żalem i zdumieniem, że malarstwo przestało zajmować najważniejsze miejsce w jego życiu. Nie mógł sobie przypomnieć, jak do tego doszło, ale przestał malować.

Sarah zerknęła na niego spod rzęs i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- A co pan maluje? - Rozmowa przebiegała w pożądanym przez nich oboje kierunku.

Riordan miał już gotową odpowiedź.

- Nagość, Sarah. Maluję nagość.

Lady Meacham zaśmiała się gardłowo. To był czytelny sygnał, że chętnie zamieni przegrzaną salę wystawową Somerset House na znacznie wygodniejszy lokal poza Piccadilly, a eksponowane tu obrazy na malunki Riordana.

Jej dłoń nieco zbyt długo zatrzymała się na jego rękawie.

- Nie ma w panu nawet odrobiny przyzwoitości?

- Obawiam się, że nie - odpowiedział Riordan niskim, gardłowym pomrukiem, przeznaczonym wyłącznie dla jej uszu, i przykrył ręką jej dłoń.

Oczy lady Meacham rozjaśniły się na myśl o tym, co obiecywała ta odpowiedź, a na jej stworzonych do pocałunków ustach pojawił się uśmiech zrozumienia.

- Moim zdaniem u mężczyzny można to zaakceptować.

Była aż nazbyt chętna, nie stanowiła żadnego wyzwania. Riordan poczuł lekkie rozczarowanie, jak zawsze gdy zdobycz okazywała się zbyt łatwa. Czuł jednak, że powinien być bardziej podekscytowany nowym podbojem, bardziej podniecony. Sarah Meacham była naprawdę wspaniałą zdobyczą. Jej mąż wyjechał z miasta z kochanką, a piękna Sarah, po wydaniu na świat drugiego, „zapasowego” potomka, rozglądała się za kochankiem. U White’a już od ubiegłej jesieni robiono zakłady, kto nim zostanie jako pierwszy.

Riordan specjalnie przyjechał wcześniej do Londynu, żeby wygrać ten zakład i rozwiać wszelkie wątpliwości, czy w jego ciele została choćby jedna niezsypnięta kosteczka. Nie mógł dopuścić, by rozeszły się pogłoski, że Riordan Barrett zaczynał tracić swą moc i że jego idealny brat Elliott zdołał go sprowadzić ze złej drogi. Dziwnym zrządzeniem losu Elliott, syn pierworodny, spadkobierca tytułu i majątku, był w rodzinie tym dobrym,

a Riordan, „zapasowy” potomek, tym złym, stanowiącym przeciwieństwo brata, wzoru wszelkich cnót. Tak więc Riordan wrócił wcześniej do Londynu po krótkiej wizycie u brata w Sussex, żeby sprowadzić na złą drogę kolejną żonę innego mężczyzny i ugruntować swoją opinię człowieka zepsutego do szpiku kości.

To w gruncie rzeczy zaczęło budzić w nim wstręt, jeśli zanadto się nad tym zastanawiał lub za mało wypił. W ostatnim roku Riordan potrzebował coraz więcej tego drugiego, żeby powstrzymać się przed tym pierwszym. W kieszeni surduta zawsze miał srebrną flaszeczkę, teraz również, i pomyślał, że jest stanowczo zbyt trzeźwy.

Riordan sięgał właśnie po piersiówkę, gdy stanął przed nim służący i podał mu na srebrnej tacy zapieczętowany list.

- Proszę o wybaczenie, że przeszkadzam, milordzie. Ale to przyszło do domu z adnotacją o najwyższej pilności.

Riordan zerknął na list ze zdumieniem. Nie interesował się polityką i nie prowadził żadnych interesów, które mogły wymagać jego natychmiastowej uwagi. Krótko mówiąc, nie należał do ludzi, którzy bywali poszukiwani w tak awaryjnym trybie. Złamał pieczęć i szybko przebiegł wzrokiem cztery linijki skreślone starannym pismem Browninga, adwokata rodziny. Westchnął i przeczytał tekst ponownie w nadziei, że przy uważnej lekturze wiadomość stanie się mniej nieprawdopodobna i przerażająca.

- Mam nadzieję, że to nic złego. - W szeroko otwartych, orzechowych oczach lady Meacham pojawiła się troska.

Ta wiadomość nie była zła - była najgorsza ze wszystkich, jakie mógł dostać. Następnego dnia cały Londyn będzie o tym mówił, mimo że Riordan nie zamierzał zwierzać się swej najnowszej zdobyczy. Ukrył więc klębiące się w nim emocje i objął lady Meacham lubieżnym spojrzeniem.

- Przykro mi bardzo, ale nasze plany muszą ulec zmianie. - Skłonił się lekko i dodał z ironią: - Pani wybaczy, ale właśnie zostałem ojcem.

Sięgnął po swoją flaszeczkę, choć brandy niewiele mu mogła pomóc. Na całym świecie nie było dość alkoholu, a rzeczywiście potrzebował pomocy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Przyjmę każdą pracę, jaką może mi pani zaoferować. - Maura Harding siedziała sztywno wyprostowana, ręce w rękawiczkach złożyła skromnie na kolanach. Starła się, by jej głos brzmiał uprzejmie, bez nutki desperacji. Nie była przecież zdesperowana, powtarzała sobie w duchu, nie była! Próbowała uwierzyć w tę bajeczkę, bo jeśli ona sama w to nie uwierzy, to nikt nie uwierzy. A desperacja uczyni z niej łatwy cel. Ludzie wyczuwają rozpacz jak psy strach.

Zegarek przy jej sukni wskazywał dziesiątą trzydzieści rano. Prosto z dyliżansu pocztowego udała się do renomowanej agencji zatrudnienia dla dobrze urodzonych młodych dam pani Pendergast. Musiała znaleźć posadę przed nocą.

- Nie widzę referencji. - Pani Pendergast spojrzała badawczo na Maurę znad okularów. Jej imponujących rozmiarów biust uniósł się i opadł w westchnieniu dezaprobaty.

Maura odetchnęła głęboko i po raz tysięczny powtórzyła w duchu słowa, które towarzyszyły jej jak mantra przez całą długą podróż z Exeter: „W Londynie znajdę ratunek”. Nie zamierzała poddać się teraz tylko dlatego, że nie miała referencji! Przecież od początku zdawała sobie sprawę, że to będzie problemem.

- To moja pierwsza posada, madam. - Pierwszy raz ubiegam się o pracę. Pierwszy raz podałam fałszywe nazwisko. Pierwszy raz wyjechałam z Devonshire. Pierwszy raz jestem zdana na siebie... Sporo tych „pierwszych razów”, pomyślała, ale tego pani Pendergast się nie dowie.

Kobieta uniosła brwi z powątpiewaniem. Odłożyła na stół starannie napisane podanie Maury i utkwiała w niej nieprzejednane spojrzenie.

- Nie mam czasu na takie gierki, panno Caulfield.

Fałszywe nazwisko zabrzmiało w uszach Maury bardzo... fałszywie, bo przez całe życie była panną Harding. Czy pani Pendergast to wyczuła? Czy dla niej to również zabrzmiało tak nienaturalnie i wzbudziło jej podejrzenia?

- Jestem bardzo zajęta. - Pani Pendergast wstała na znak, że uważa rozmowę za zakończoną. - Jak pani z pewnością zauważyła, w poczekalni kłębi się tłum młodych dam z referencjami, które pragną znaleźć miejsce w jakimś domu. Proszę poszukać szczęścia gdzie indziej.

To była katastrofa. Maura nie mogła wyjść bez posady. Nie miała dokąd się udać. Nie znała żadnych innych agencji. O tej dowiedziała się z rzuconej mimochodem wzmianki swej własnej guwernantki.

Gorączkowo szukała w myślach argumentów.

- Ja mam coś lepszego od referencji, madam. Mam kwalifikacje. - Wskazała ręką swoje podanie. - Znakomicie posługuję się igłą, śpiewam, tańczę, mówię po francusku, umiem nawet malować akwarele. - Maura zamilkła na chwilę. Jej umiejętności nie zrobiły najwyraźniej wrażenia na pani Pendergast. Skoro zawiodła rzeczowa argumentacja, pozostało już tylko błaganie. - Proszę, madam. Nie mam dokąd pójść. Na pewno coś pani dla mnie znajdzie... Mogę zostać damą do towarzystwa starszej pani albo guwernantką panienki na wydaniu. Mogę być każdym. Z pewnością jest w Londynie jakaś rodzina, której się przydam.

Nie przypuszczała, że będzie tak ciężko. Londyn to wielkie miasto z ogromnymi możliwościami, znacznie większymi niż w zaściankowym Devonshire, gdzie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli. A tego właśnie Maura chciała za wszelką cenę uniknąć. Pragnęła zniknąć w tłumie, uciec w anonimowość, pozostać nierozpoznana. Jednak bardzo szybko przekonała się, że jej wybór pociągał za sobą poważne konsekwencje. Znalazła się w całkowicie obcym, nieprzyjaznym miejscu, a jej pieczołowicie nakreślony plan zdawał się lec w gruzach.

Podziałało. Pani Pendergast znowu usiadła i otworzyła szufladę biurka.

- Może i miałabym coś dla pani. - Grzebała przez chwilę w szufladzie, zanim wyłowiła z niej teczkę klienta. - Żadna z dziewcząt siedzących w poczekalni nie przyjęłaby tej posady. W ciągu ostatnich trzech tygodni posłałam tam pięć guwernantek. Wszystkie odeszły.

Po tym złowieszczym stwierdzeniu pani Pendergast podsunęła Maurze dokumenty.

- Właściwie trudno tu mówić o rodzinie. Ten dżentelmen jest kawalerem i opiekuje się dwojgiem dzieci po zmarłym bracie. - Kobieta prychnęła z dezaprobatą, pełna niesmaku. - Unosi się wokół tego wszystkiego jakaś nieprzyjemna aura. Nowy hrabia to niemoralny rozpustnik. Baluje całymi nocami, wstaje tylko po to, by oddawać się Bóg wie jakiej rozpuście, a dzieci dziczeją. No i pozostaje sprawa jego brata. - Ponownie prychnęła i rzuciła Maurze wymowne spojrzenie znad okularów. - Jego śmierć nastąpiła w szokujących okolicznościach. Jak już mówiłam, nad tym domem unosi się jakaś niedobra aura, ale jeśli pani chce, posada należy do pani.

Jeśli? Oczywiście, że ją przyjmie! W obecnej sytuacji Maura nie mogła być wybredna. Powoli zaczynało do niej bowiem docierać, jak karkołomnym przedsięwzięciem była

ucieczka z domu. Karkołomnym, ale koniecznym.

- Doskonale. Serdecznie dziękuję. Nie pożałuje pani tego.

Pani Pendergast uniosła rękę, by przerwać wyrazy wdzięczności Maury.

- Ja nie pożałuję, panno Caulfield, ale pani być może tak. Czy uważnie słuchała pani moich słów?

- Tak, madam. - Do Maury dotarła większość z jej słów. Słyszała o "nowym hrabim" i "dwojgu dzieciach", no i coś o podejrzanej śmierci poprzedniego hrabiego. Sytuacja nie wydawała się wcale tak zła, jaką ją chciała przedstawić pani Pendergast. Maura miała posadę i tylko to się dla niej liczyło.

Pani Pendergast dała wyraz swym wątpliwościom twardym spojrzeniem.

- Więc dobrze. Życzę powodzenia, ale w żadnym razie nie chcę tu pani więcej widzieć. To jedyna posada, jaką może pani u mnie dostać bez referencji. Może pani uda się znaleźć sposób wykonywania pracy, która nie powiodła się pięciu poprzedniczkom.

Maura wstała, ukrywając zaskoczenie. Najwyraźniej w radosnym uniesieniu przeoczyła jakiś drobiazg.

- Pięciu poprzedniczkom?

- Pięciu innym guwernantkom, panno Caulfield. Wspominałam o nich. A może przeoczyła pani również wzmiankę o niemoralnym rozpustniku?

Maura dumnie uniosła głowę, zdecydowana nie pokazać po sobie zaskoczenia.

- Postawiła pani sprawę bardzo jasno, madam. Jeszcze raz dziękuję.

Informacja o rozpustniku była niepokojąca. Mogło się okazać, że weszła z deszczu pod rynnę i zamieniła jednego niemoralnego łajdaka na innego. Wątpiła jednak, czy na świecie mógł być ktoś równie wyuzdany jak Wildeham, którego wuj wybrał jej na męża. Poza tym nie przypuszczała, by miała widywać rozpustnego lorda Chatham zbyt często. Rozpustnicy rzadko bywali domatorami, szczególnie w oferującym wiele rozrywek Londynie. A trudno oddawać się rozpuście, nie ruszając się z domu.

W godzinę później dorożkarz wysadził Maurę przed frontowym wejściem miejskiej rezydencji Chathamów przy Portland Square i odjechał, zabierając ze sobą jej ostatnie pensy.

Uznała, że były to dobrze wydane pieniądze. Na piechotę maszerowałyby ze cztery godziny, a i tak pewnie nie trafiłaby pod ten dom.

Łagodnie mówiąc, Londyn wydał jej się odrażający! Nigdy w życiu nie widziała takich tłumów. Ruch uliczny oraz smród i zgiełk wielkiego miasta musiały stłamsić każdą większą duszę. Maura osłoniła ręką oczy i przyjrzała się domowi.

Pasował idealnie do tego miasta. Był przytłaczającym, czterokondygnacyjnym

gmaszyskiem. No, nic. Naprzód, dodała sobie otuchy, podniosła swoją torbę i weszła po frontowych schodach na spotkanie ze swoją przyszłością. Świadomość niebezpieczeństwa to najlepsze zabezpieczenie. Powinna skupić się na jasnych stronach obecnej sytuacji. Po pierwsze, z powodzeniem realizowała swój plan. Po drugie, pozytywnym elementem był sam adres.

Wyjeżdżając z Exeter, wyobrażała sobie, że zostanie ulokowana w wygodnym domu jakiejś zamożnej rodziny, być może pragnącej poprzez małżeństwo córki wspiąć się na wyższy szczebel drabiny społecznej. Nie przeszło jej nawet przez myśl, że trafi do rezydencji hrabiego. Oczywiście do niedawna nie podejrzewała nawet, że w ogóle będzie zmuszona szukać posady. Ani że wyjedzie z Exeter. W ciągu ostatniego miesiąca musiała zrewidować wiele dawnych przekonań i oczekiwań.

Jako córka dżentelmena i wnuczka lorda wzrastała w przekonaniu, że wiele jej się od życia należało. Wuj jednak postawił sprawę jasno: mogła żyć w luksusie i nosić tytuł baronowej, ale za cenę, której nie była w stanie zapłacić. Nawet teraz, oddalona o tydzień drogi od Exeter, wzdragała się na samą myśl o poślubieniu wybranego przez wuja człowieka.

Brak zgody na to małżeństwo oznaczał jednak niemożność pozostania w domu i dlatego właśnie Maura znalazła się tutaj. Rozpocząła nowe życie, sama, wśród obcych. Mogła zerwać wszelkie więzy z rodziną wuja lub wyprzeć się samej siebie, a do takiego poświęcenia nie potrafiła się zmusić. Tak więc, od tej chwili oni byli zdani na siebie, a ona na siebie. Nie było już odwrotu, choć bez wątpienia wuj próbowałby ją siłą ściągnąć z powrotem. Nie mogła dopuścić do tego, by ją znalazł. Dlatego postanowiła ukryć się w obcym domu i przeczekać tam, aż rodzina podda się i znajdzie inny sposób spłacenia zobowiązań wobec tego obrzydliwego barona Wildeham.

Maura zdecydowanym ruchem ujęła żelazną kołatkę w kształcie lwiej głowy i zastukała do drzwi. Z wnętrza dobiegły ją mało dystyngowane odgłosy: tupot biegnących stóp, potem jakieś śmiechy i piski, a wreszcie trzask tłuczonej ceramiki. Maura skrzywiła się, słysząc odgłosy kłótni.

- Teraz ja! Dzisiaj moja kolej!

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich mężczyzna z ciemnymi włosami w nieładzie, bez butów, w samych pończochach na nogach i rozpiętej na piersiach koszuli, której wyciągnięte ze spodni poły powiewały na wietrze. Maura nigdy w życiu nie widziała takiego kamerdynera. Nie miała jednak czasu przyjrzeć się temu dziwnemu zjawisku, bo za jego plecami pojawiło się nagle dwoje dzieci. Poślizgnęły się, nie zdążyły wyhamować i... trach!

To był początek reakcji łańcuchowej, na skutek której wszyscy wylądowali na frontowym ganku, tworząc żywy stos. Maura znalazła się na samym spodzie, pod wierzgającą płataniną rąk i nóg... I spojrzała w najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziała. Oczy należały do osobnika płci męskiej, o twardym, muskularnym ciele, które przygniatało ją teraz do ziemi w nad wyraz niedelikatny sposób.

- Cześć - rzucił z nonszalancką swobodą i uśmiechnął się, patrząc na nią z góry, spod opadających na twarz ciemnobrązowych, potarganych włosów.

- Ja w sprawie posady - wyjąkała Maura. Aż dziw, że w tej krępującej sytuacji zdołała wydobyć z siebie jakiegokolwiek sensowne zdanie.

- Jasne. - W błękitnych oczach mężczyzny pojawiły się łobuzerskie iskierki, najwyraźniej nieortodoksyjne okoliczności ich spotkania nie sprawiały mu przykrości. A powinien odczuwać skrępowanie i przykrość, niezależnie od tego, kim był! Żaden guwerner czy lokaj nie mógł sobie pozwolić na podobnie niestosowne zachowanie, jeśli cenił sobie swoją posadę. A jednak ten atrakcyjny abnegat najwyraźniej w ogóle się tym nie przejmował. Śmiał się, możliwe nawet, że z niej. Wstał i podniósł z ziemi dzieci.

Bez wątplenia cała trójka uznała ten wypadek za bardzo śmieszny. Dzieci mówiły jedno przez drugie.

- Widziałeś, jak wypadłam z za rogu?

- Zjechałem po poręczy i wystrzeliłem do holu jak z procy!

Jak z procy? Dobry Boże, co to za słownictwo? - pomyślała Maura.

- Jesteś niesamowity, Williamie. Wyglądałeś zupełnie jak kula armatnia! - zawołał błękitnooki z nad wyraz niestosownym entuzjazmem.

- Stłukliśmy wazon ciotki Cressidy! - Mała dziewczynka zachichotała nerwowo.

Mężczyzna zmierzwił jej włosy.

- Nie przejmuj się, był paskudny.

Nie do wiary! Czyżby o niej zapomnieli? Maura zaczęła sama podnosić się z ziemi, płacząc się w spódnicach i własnych bagażach, gdy błękitnooki podał jej swoją wielką dłoń.

- Nic się pani nie stało? - zapytał głębokim barytonem. Swobodny i życzliwy ton świadczył o tym, że ten mężczyzna niczego nie traktował poważnie.

- Przeżyję. - Maura obciągnęła dopasowany żakiet podróżny i wygładziła spódnice, starając się doprowadzić swój wygląd do ładu. - Jestem nową guwernantką z agencji pani Pendergast. Chcę mówić z lordem Chatham - oświadczyła wyniośle. To powinno przywrócić go do porządku.

W oczach mężczyzny pojawiło się jeszcze wyraźniejsze rozbawienie.

- Właśnie pani z nim mówi. - Lekki, szarmancki ukłon stał w rażącej sprzeczności z jego niedbałym strojem. - Hrabia Chatham, do usług.

- Pan jest hrabią? - Maura wytrzeszczyła na niego oczy. Rozpustni, niegodziwi lordowie nie powinni być tak uderzająco przystojnymi mężczyznami o twardych ciałach. Nie powinni uwodzić samym tylko spojrzeniem!

- To już chyba ustaliliśmy. Jak mamy się do pani zwracać? - Olsniewający, śnieżnobiały uśmiech słabszą kobietę mógłby zwalić z nóg. Maura woląла jednak myśleć, że nagła słabość w kolanach to skutek uderzenia o twarde, kamienne schody. Odwrócił się w stronę dzieci, które wpatrywały się w niego z zachwytem, jak w bohatera. - Może będziemy ją nazywać „nową guwernantką”?

Dzieci znowu wybuchły śmiechem.

Dziewczynka podniosła na niego oczy i klasnęła w rączki.

- Już wiem! Wiem! Nazwiemy ją Szósta. - Dygnęła bardzo ładnie. - Witaj, Szósta. Jestem Cecylia i mam siedem lat. A to mój brat, William. On ma osiem lat. - Zaśmiała się znowu. - Sześć, siedem, osiem, mamy kolejne numery. To zabawne. Wujku Ree, rozumiałeś mój żart? Sześć, siedem, osiem?

- Zrozumiałem, kochanie. Bardzo śmieszne. - Hrabia uśmiechnął się pobłaźliwie i objął palcami jej małą rączkę. Ten pieszczotliwy gest sprawił, że w brzuchu Maura poczuła dziwny dreszczyk.

- Może powinniśmy wejść do domu - zaproponowała, czując, że ich stojąca na ganku grupka wzbudza zainteresowanie przechodniów.

- A, tak. Proszę wybaczyć. - Hrabia zagarnął ich wszystkich do holu. - Teraz możemy dokonać prawidłowej prezentacji i... - Urwał i zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. - I napić się herbaty. Tego nam właśnie trzeba. Proszę o wybaczenie, najwyraźniej moje maniery roztrzaskały się o ziemię, jak ten wazon. - Pokojówka zmiatała właśnie z podłogi skorupy pozostałe po wazonie ciotki Cressidy. Hrabia Chatham przeczesał palcami ciemne włosy.

Maura uświadomiła sobie ze zdumieniem, że robił bardzo sympatyczne wrażenie. Nie była na to przygotowana, bo nie zamierzała go polubić. Spodziewała się spotkać mężczyznę w średnim wieku, z siwiejącymi bokobrodami, obmacującego ją zgrabiałymi dłońmi, krótko mówiąc: spodziewała się kogoś takiego jak znajomy jej wuja, baron Wildeham.

Przeszli we czwórkę do salonu, gdzie wkrótce przyniesiono herbatę. Maura spojrzała znacząco w stronę drzwi.

- Czy pana podopieczni przyłączą się do nas? - Na tacy stały cztery filiżanki.

- Już tu są. - Hrabia popatrzył na nią zdziwionym wzrokiem i roześmiał się. Jego usta wydawały się stworzone do uśmiechu. - Pani Pendergast nic pani nie powiedziała? Podstępna stara jędza, nic dziwnego, że tak szybko kogoś znalazła. - Hrabia wskazał jej gestem, by nałala herbatę.

Maura była zadowolona, że może czymś zająć ręce, podczas gdy jej mózg pracował pełną parą. Jadąc do Londynu, spodziewała się, że jej obowiązki będą polegały na przygotowaniu młodej panienki do wejścia w świat. Zamiast tego zastała dwoje nad wiek rozwiniętych dzieci, które biegały po śliskich korytarzach w samych pończochach i zjeżdżały po poręczach. Powiedziała sobie, że da radę. W końcu pomagała ciotce w opiece nad małymi kuzynami. Powinna jak najszybciej przestawić się na inne zadanie.

- Jaką pan pije herbatę, milordzie? - Jej ręka zawisła nad cukrem i śmietanką.

Z był propozycję machnięciem dłoni.

- Bez dodatków. I proszę zwracać się do mnie Riordanie albo panie Barrett. Jak pani woli. - W jego głosie zabrzmiała lekka nutka gorzkości. Nowy hrabia najwyraźniej nie przepadał za swoim tytułem. Zaraz, pani Pendergast chyba wspominała coś o śmierci jego brata, przypomniała sobie Maura i pożałowała, że nie słuchała uważniej.

- Żadna z tych form nie jest właściwa i doskonale pan o tym wie. - Żeby złagodzić wymowę tych słów, Maura uśmiechnęła się, podając mu filiżankę. Konflikt z pracodawcą w pierwszym dniu pracy to nie najlepszy początek. - Powinam zwracać się do pana: lordzie Chatham. - Uśmiechnęła się znowu, szukając bezpieczniejszego tematu konwersacji.

- Lordzie Chatham? - Pytając uniósł ciemną brew. To zwróciło uwagę Maury na jego oczy, w których zapłonęły dwa błękitne, łobuzerskie ogniki.

- Myślę, że tak będzie najwłaściwiej, biorąc pod uwagę, że panu podlegam. - Wiedziała, że tak będzie najwłaściwiej. I najlepiej dla niej, bo hrabia był niebezpiecznym mężczyzną. Nie dość że był piękny, to miał jeszcze nieodparty urok. Mimo że nie zadał sobie nawet trudu, by włożyć zakiet czy choćby wsunąć w spodnie poły koszuli.

Ku jej zaskoczeniu parsknął śmiechem i pochylił się naprzód, spoglądając na nią kpiąco z nad filiżanki.

- Na ganku rzeczywiście legła pani pode mną.

- Lordzie Chatham! W pokoju są dzieci.

Ale dzieci najwyraźniej nie miały nic przeciwko temu. Śmiały się. Zauważyła, że często się śmiały, bez wątplenia zachęcane do tego przez opiekuna, który pozwalał im na wszystko. W śmiechu nie było nic złego, powinny jednak nauczyć się nieco go kontrolować.

- Rozumiem. - Pocierał podbródek w zamyśleniu, ale Maura miała niejasne poczucie,

że z niej kpił. - Skoro mamy być bardziej formalni, to nie mogę zwracać się do pani Szósta. - Znowu się uśmiechał, obserwując tymi swoimi niesamowicie niebieskimi oczami, choć w jego słowach nie można było doszukać się niczego niewłaściwego.

- Ale ja chcę mówić do niej Szósta! - zawołała Cecylia, najwyraźniej przybita. - Jak nie będziemy jej tak nazywać, to zepsujemy cały dowcip.

Lord Chatham znowu unióśł brew i spojrzał na Maurę z uśmiechem. Czekał na jej reakcję. Wielkie nieba, ależ on był przystojny! - ponownie pomyślała, a wargi Cecylii zdrząły. Maurę ogarnęła panika. Nie chciała być typem guwernantki, która już w pierwszej godzinie przyprawia podopieczną o łzy.

- Zgadzam się na Szóstą! - zawołała pośpiesznie, żeby powstrzymać małą od płaczu. - To będzie takie nasze szczególne imię.

Cecylia rozpromieniła się i Maura poczuła przez moment słodki smak zwycięstwa. Nie cieszyła się nim jednak zbyt długo, bo usłyszała głos lorda Chatham.

- A ja? Może ja również powinienem mieć jakieś specjalne imię dla pani? Czy mógłbym nazywać panią...? - prowokacyjnie zawiesił głos, żeby wpadła mu w słowo, zanim zdąży dokończyć pytanie. W ciągu ostatniej pół godziny zdążyła już poznać niektóre jego metody.

- Panną Caulfield. Proszę nazywać mnie panną Caulfield - zawołała pośpiesznie Maura. Sytuacja zaczynała wymykać się jej spod kontroli. Postanowiła zaznaczyć swój autorytet, zanim całkowicie straci wpływ na bieg wydarzeń. Chatham nie powinien się zorientować, że wystarczy jeden uśmiech, by wytrącić ją z równowagi. - Cecyljo, idźcie z Williamem pobawić się na górę, ja w tym czasie się rozgoszczę, a potem pójdziemy razem na spacer do parku i lepiej się poznamy.

Maura natychmiast zdała sobie sprawę z własnego błędu. Odesłanie dzieci oznaczało, że pozostała z lordem Chatham sama.

- Proszę się nie zapominać, lordzie Chatham. W ciągu ostatniej godziny przewrócił pan mnie i przygniótł swoim ciałem do ziemi, potem zaczął pan ze mną flirtować, a na koniec wytrącił mnie pan z równowagi. Zaczynam rozumieć, dlaczego pięć poprzednich guwernantek odeszło.

- Nie, nie rozumie pani. - Rozbawienie w jednej chwili zniknęło z jego oczu. Zobaczyła zupełnie inną twarz, chłodną i nieprzystępną. Wstał. - Gospodyni wskaże pani pokój.

Z góry dobiegł trzask, pisk i rozpaczliwy płacz. Zaraz potem dały się słyszeć podniesione głosy pokojówek, biegnących, by uprzątnąć skutki świeżej katastrofy,

najwyraźniej jednej z długiego szeregu katastrof, których ofiarą padł niedawno wazon ciotki Cressidy. Maura podniosła oczy do sufitu.

- Wydaje mi się, lordzie Chatham, że tu nie potrzeba guwernantki. Tu trzeba cudu.

Uśmiechnął się chłodno.

- A pani Pendergast przysłała mi panią. Witam w Chatham House, panno Caulfield.

ROZDZIAŁ DRUGI

Spóźniała się. Riordan znowu zerknął na zegar na kominku. Wskazówki przesunęły się zaledwie o minutę od chwili, gdy poprzednio sprawdził godzinę. Chciał, by panna Caulfield pośpieszyła się. Był głodny i żałował swojego nieprzyjemnego zachowania po południu. Nie mogła wiedzieć, w co się pakuje. Ale spóźnienie to jednak spóźnienie. Wyraził się przecież bardzo jasno, przesłał jej na górę zaproszenie na obiad punktualnie o siódmej. A było już pięć po!

Nie miał zwyczaju siadać do stołu z guwernantkami. Poprzednich pięciu nie zapraszał na obiad, ale tamte nie były młode i ładne. I nie myślał o nich obsesyjnie przez całe popołudnie. Przypominały wyschnięte na wiór stare tyczki i zdecydowanie zbyt przejmowały się zasadami, a za mało życiem. Nic dziwnego, że żadna z nich nie została. Jeśli Riordan w ogóle na coś się znał, to na zabawie. I był zdecydowany zapewnić tym dzieciom przynajmniej rozrywkę po tym wszystkim, przez co musiały przejść. Pod tym względem zupełnie nieźle sprawdzał się w nowej dla siebie roli ojca.

Przyznawał bez oporów, że lubił dzieci, ale nie miał pojęcia, jak je wychowywać. Jego brat Elliott był znacznie dojrzały. To Elliott wziął do siebie Cecylię i Williama przed czterema laty, kiedy ojciec dzieci zmarł niespodziewanie na febrę. A teraz i Elliott odszedł. Nikt nie wyobrażał sobie nawet, że dzieci spadną mu na głowę.

Szelest spódnicy przy drzwiach poinformował go, że nowa pomocnica wreszcie nadeszła.

- Przepraszam za spóźnienie. Myślałam, że będę jadła z dziećmi. Pana wezwanie mnie zaskoczyło. - W głosie dziewczyny zabrzmiała lodowata nutka niechęci. Najwyraźniej wcześniejsze, niewłaściwe zachowanie Riordana nie zostało mu jeszcze wybaczone.

- Nie wezwanie, a zaproszenie - poprawił Riordan z czarującym uśmiechem, obliczonym na roztopienie lodu w głosie panny Caulfield. Spodziewał się zresztą takiego powitania po chłodnej odprawie, jaką dał jej po południu. Miał nadzieję, że obiad zrekompensuje jej doznaną przykrość. Nie mógł dopuścić, by odeszła kolejna guwernantka. Najwyraźniej nie wiedziała, czym było podyktowane to zaproszenie, i zapewne wahała się, czy to praca, czy raczej obiad powitalny. Najwyraźniej wybrała pierwszą opcję, o czym świadczył wybór stroju.

Włożyła skromną, ciemnozieloną sukienkę przybraną białą koronką. Sukienka była całkiem niebrzydka i dobrze skrojona, ale nadawała się raczej na herbatkę u wiejskiego szlachcica lub zakupy w prowincjonalnym sklepiku, a nie na obiad w towarzystwie jednego z czołowych londyńskich uwodzicieli. Prostota tej kreacji uszytej z praktycznego materiału kontrastowała z wytwornym strojem wieczorowym Riordana.

- Wychodzi pan wieczorem? - Maura szybko przesunęła wzrokiem po jego sylwetce i starała się oszacować rozmiar swojej pomyłki. Nietrudno było przejrzeć jej myśli - nie dlatego, by była tak prostolinijna, a dlatego, że nie bała się otwartości. Podobała mu się jej śmiałość, chociaż po południu rozstali się w niezgodzie.

- Tak, ale nie jest to okazja wymagająca punktualności. Mogę przyjść, kiedy zechcę.

Od śmierci Elliotta upłynął zaledwie miesiąc, a zazwyczaj po stracie rodzeństwa obowiązywała trzymiesięczna żałoba. Pod warunkiem wszakże że rodzeństwo zeszło z tego świata w sposób konwencjonalny, a Elliott nie odszedł w ten sposób. W rezultacie Londyn bez zastrzeżeń zaaprobował fakt, że Riordan w niczym nie zmienił swych obyczajów i po dwutygodniowej przerwie na przeprowadzkę dzieci z Chatham Court prowadził życie towarzyskie jak dawniej.

Riordan podejrzewał, że ta życzliwość wynikała przede wszystkim z ciekawości. Londyńskie elity spragnione były plotek. Gdyby zagrzebał się na wsi na trzy miesiące i przestrzegał zwyczajowego okresu żałoby, plotkarze mieliby znacznie mniej powodów do rozmów na temat śmierci jego brata i sezon byłby nudniejszy.

Kamerdyner poinformował, że obiad został podany, więc Riordan podał pannie Caulfield ramię i ze skrywanym zadowoleniem spostrzegł jej skrępowanie tą niespodziewaną galanterią.

- Przepraszam za mój niestosowny strój - powiedziała, gdy odsunął dla niej krzesło i pomógł jej usiąść. - Nie byłam pewna... - Jej głos zamarł. Riordan bez trudu wyobraził sobie, jak stała w swoim pokoju na górze i wahała się z wyborem rozłożonych na łóżku sukien: praktycznej, z zielonej popeliny, i jedynej eleganckiej, jedwabnej kreacji, jaką miała w swym posiadaniu.

- Słusznie postanowiła pani zostawić jedwabną suknię na lepszą okazję - rzucił lekko, zajmując miejsce przy stole.

- Skąd pan wie? - Rzuciła mu ostre spojrzenie i nie ulegało wątpliwości, w jakim kierunku pobiegły jej myśli. Riordan gotów był iść o zakład, że wyobrażała już sobie dziurki w ścianach swojego pokoju. To była dość zaskakująca myśl u guwernantki i jej obawy zbył śmiechem.

- Bez obaw, panno Caulfield. To proste. Żeby zrozumieć kobiety, mężczyzna musi się znać na ich strojach. - Zdobył tę praktyczną wiedzę już dawno temu i dobrze mu ona służyła.

Maura położyła na kolanach lnianą serwetkę i obrzuciła go pełnym powątpiewania spojrzeniem. Najwyraźniej nie wierzyła mu. Służący zaczął nalewać zupę, a Riordan studiował twarz panny Caulfield w ciepłym świetle świec. Efekty były imponujące. Jej włosy, rano ukryte pod czepkiem, teraz zostały upięte w zgrabny kok, który uwydatniał ich gęstość i długość oraz odsłaniał delikatny łuk szyi. W efekcie Riordan przyłapał się na marzeniach o tym, by rozpuścić je i przeczesać palcami.

- W tym świetle pani włosy mają czerwonozłoty kolor, bardzo ładny - zauważył po odejściu lokaja.

- Czy to również coś panu o mnie mówi? - Jej zielone oczy znowu rzuciły mu ostre spojrzenie.

- Nie uwierzyła pani w to, co mówiłem o strojach, prawda? - Riordan odłożył łyżkę. Zaczynał się coraz lepiej bawić. Spostrzegawczość i wyciąganie wniosków z tego, co widział, zawsze stanowiły jego mocną stronę. Większość kobiet uwielbiała jego zabawy w "zgadywanki". - Pozwoli pani na małą demonstrację. Często ubiera się pani na zielono. To ma sens ze względu na pani cerę, te rude włosy i szmaragdowozielone oczy. Zielenie są dla pani najbardziej twarzowe. Mam rację, prawda?

- Tak. - Nie mogła nic zarzucić jego manierom, choć czuła się przy nim niepewnie. Wypiła zupę z łyżki, nie uroniwszy ani kropli.

Tak, nowa guwernantka była rzeczywiście doskonale wychowana, pomyślał.

- Teraz jest pani zaintrygowana. Wnioskuje to z leciuteńkiego wychylenia pani ciała do przodu. - Riordan ściszył głos, przez co rozmowa stała się bardziej intymna.

Dostrzegł w jej oczach isierki, co wziął za dobry znak. Zaczynała topnieć.

- Dobrze, skoro jest pan w tym tak dobry, to proszę powiedzieć, po co guwernantce jedwabna suknia.

Odpowiedź musiała jednak poczekać, bo właśnie podano rybę.

- Ma pani nie tylko jedną - oświadczył Riordan, kiedy lokaj wyszedł. Nie wiedział, skąd wzięła się jego pewność w tej sprawie, ale nie miał co do tego wątpliwości. Panna Caulfield była stworzona do delikatnych materii i wyrafinowanych ozdób. Riordan ujął jej dłoń i zaczął leniwie kreślić w jej wnętrzu kręgi. - Proszę przyznać, że mam rację. - Kobieta chodząca w jedwabiach i wyobrażająca sobie dziurki do podglądania w ścianach pokoju stanowiła podniecającą zagadkę. - Nie jest pani zwyczajną guwernantką.

Zesztywniała i cofnęła rękę.

- A pan nie jest zwyczajnym hrabią.

Skupiła całą uwagę na zaniedbywanej do tej pory rybie. A więc trafił w czuły punkt, pomyślał Riordan. Intrygujące, choć nie zaskakujące. Jej ubrania były zbyt dobrze skrojone. Młoda, ładna, dobrze ubrana i śmiała wobec mężczyzny, którego powinna postrzegać jako wyższego od siebie - to wszystko sugerowało, że panna Caulfield nie była kimś, za kogo się podawała.

- To nie było pomyślane jako krytyka, panno Caulfield. To, co „zwyczajne”, nigdy mnie nie interesowało... - I na tym postanowił zakończyć. Nie chciał jej straszyć. Gdyby doszła do wniosku, że czegoś się domyślał, mogłaby uciec, a na tym mu nie zależało. Potrzebował guwernantki, choć zamierzał przejrzeć wszelkie sekrety swej nowej pomocy do dzieci.

Panna Caulfield skończyła rybę bez najmniejszego faux pas. Zawsze obserwował kobiety, kiedy na przyjęciach podawano ryby. To była idealna okazja, by się przekonać, kim były. Panna Caulfield w przeciwieństwie do wielu kobiet, które tylko udawały damy, trzymała chleb w lewej, a widelec w prawej ręce i ani razu nie sięgnęła po absolutnie zabroniony nóż. Każdy, kto naprawdę należał do wyższych sfer, wiedział, że sos z ryby niszczył noże, chyba że były srebrne. To tylko potwierdziło jego wcześniejsze spostrzeżenia: panna Caulfield miała nienaganne maniery przy stole, jakby na co dzień jadła przy świetle kandelabrow, na chińskiej porcelanie i piła z kryształowych kieliszków, jednym słowem - czuła się swobodnie wśród wszelkich arystokratycznych akcesoriów.

Zanim podano wołowinę, myśli Riordana zboczyły w zdecydowanie bardziej zmysłową stronę. Okazało się, że rozważania na temat manier panny Caulfield przy stole zwróciły jego uwagę na kuszące usta o pełnej dolnej wardze, jakby stworzonej do pocałunków, oraz na smukłą szyję, poruszającą się przy każdym przełykanym kęsie. A z szyi jego wzrok po prostu musiał zsunąć się niżej, na ponętny biust podkreślony krojem sukni. Przez to wszystko w jego głowie zrodziły się lubieżne myśli o tym, w jaki sposób uwolnić jej ciało z odzienia i położyć ją na stole.

- Czy wszystkie potrawy pani smakowały? - zapytał niskim głosem, w którym uwodzicielskie nutki górowały zdecydowanie nad troskliwością gospodarza. - Może jeszcze wina? - Teraz już otwarcie zaczynał z nią flirtować, prowokacyjnie dotykając palcami brzegu swojego pustego kieliszka. Był ciekaw, czy go za to zbeszta...

Zbeształa. Odważnie, wręcz zuchwale. Mało który z pracujących u niego ludzi ośmieliłby się na to i zapisał jej to na plus. Nie cenił ludzi pozbawionych charakteru.

- Niech mi pan powie, lordzie Chatham, czy flirtuje pan ze wszystkimi kobietami, czy

tylko z guwernantkami?

Riordan sięgnął po wino i powtórnie napełnił jej kieliszek, co posłużyło mu za pretekst, żeby zbliżyć się do niej.

- Zapewniam panią, że to nie flirt. Gdybym z panią flirtował, panno Caulfield, nie miałaby pani co do tego wątpliwości.

Ale, oczywiście, flirtował z nią i oboje o tym wiedzieli.

Roześmiał się i napełnił własny kieliszek.

- Wznoszę toast, panno Caulfield, za nasze... hm... stosunki. Na zdrowie.

Maura delikatnie stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek. Nie sposób było oprzeć się urokowi lorda Chatham. Możliwe, że we własnym mniemaniu wcale z nią nie flirtował, ale ludzie z towarzystwa będą to postrzegali inaczej. Nic dziwnego, że pani Pendergast określiła go jako niepoprawnego rozpustnika. Kobiety padały pewnie przed nim plackiem i niewątpliwie nie skarżył się na brak powodzenia. Przystojny, czarujący i miły, mógł mieć każdą kobietę, jakiej zapragnął, i to bez specjalnej fatygi.

Cóż, jej mieć nie będzie, jeśli do tego miał prowadzić ten flirt! Postanowiła dać mu to jasno do zrozumienia pod koniec obiadu, przy serach i owocach. To będzie właściwe zakończenie wieczoru. Wzięła kęs ostrego cheddaru i rozpoczęła zaplanowaną kampanię zniechęcania.

- Myślałam, że celem tego obiadu będzie rozmowa o pana podopiecznych. A tymczasem zbliżamy się już do końca posiłku, a nie padło jeszcze ani słowo o dzieciach.

Była bardzo bezpośrednia.

- Co chciałaby pani wiedzieć o dzieciach?

Znowu napełnił swój kieliszek, Maura nie była pewna, czy to trzeci, czy może czwarty. Wino zniknęło z jego kieliszka jak woda.

- Proponuję zacząć od ich rozkładu dnia, potem przejdziemy do edukacji - zaproponowała. To była najbardziej niezwykła rozmowa, jaką w życiu prowadziła. To nie ona powinna zadawać pytania. Spodziewała się usłyszeć polecenia.

- Rozkład dnia? - Lord Chatham dźgnął kawałek sera z wyraźną irytacją i odezwał się równie lodowatym tonem jak podczas popołudniowej rozmowy. - One nie mają żadnego rozkładu dnia, panno Caulfield. Całe ich życie zostało przewrócone do góry nogami, straciły opiekuna, któremu ufały, i w ciągu paru tygodni przez ich dom przewinęło się pięć guwernantek. Od śmierci mojego brata nie zaznały nawet odrobiny stabilizacji.

Maura nie dała się stłamsić.

- Miały pana. Z pewnością wprowadził pan w ich życie jakiś ład pod nieobecność

guwernantki. - Rodzice Maury zawsze aktywnie uczestniczyli w jej życiu.

- Jakiś ład być może, ale nie nazwałbym tego rozkładem dnia. - Lord Chatham rozsiadł się wygodnie i nonszalancko obracał w palcach kieliszek, który znowu był pusty. - Widzę, że jest pani mną rozczarowana. Może ma pani zbyt wysokie oczekiwania. - Teraz już nie flirtował. Jego ton zdradzał lekką dezaprobatę dla samego siebie. - Proszę nie zapominać, że jestem kawalerem i prowadzę kawalerskie życie. Gdybym wiedział, jak wychowywać dzieci, nie byłoby tutaj pani.

Odstawił na stół kieliszek i wstał.

- Pani wybaczy, ale jest już później, niż się spodziewałem, a muszę pojawić się na umówionym spotkaniu. Proszę raczyć się serami i owocami beze mnie. - Skłonił się lekko i wyszedł.

Było to chyba najbardziej oczekiwane wyjście w całym życiu Maury, ale i jedno z bardziej niegrzecznych.

Kawalerskie życie, też coś! Maura zjeżyła się na wspomnienie tych słów, kiedy rozmyślała o nich w swoim pokoju. I to jego odejście od stołu! Zapewne był spodziewany na balu u Rutherfordów i na fecie u księcia Rutland, a potem zamierzał spotkać się ze znajomymi w jakiejś jaskini hazardu na St. James. Przypuszczalnie wróci dopiero rano.

Miała już na końcu języka ostrą reprimendę, że takie zachowanie nie przystoi opiekunowi, ale już raz tego dnia go rozgniewała, a poza tym zdawała sobie sprawę z tego, że nie on jeden spędzał całe noce poza domem, zostawiając dzieci pod opieką obcych ludzi. Maura nie przepadała za tym popularnym wśród arystokracji modelem rodzicielstwa. Ona była wychowywana w zupełnie inny sposób, za co do końca życia powinna być wdzięczna rodzicom.

Powinna również być wdzięczna za łóżko i dach nad głową. Zaczęła wyjmować spinki z włosów i starannie wkładała je do niewielkiego puzderka na swym biurczku. Miała za sobą dzień pełen wrażeń i była kompletnie wykończona. Uśmiechając się do siebie, dokonywała wieczornej toalety. W końcu włożyła przez głowę białą koszulę nocną i rozejrzała się po pokoju. Był mniejszy od tych, do których przywykła, ale całkiem miły. Znajdował się na trzeciej kondygnacji. W oknie wychodzącym na ogród wisiały czyste zasłony. Ściany pokrywała tapeta w drobne, różowe kwiatki, a na łóżku leżała biało-różowa kapa. W jednym narożniku pokoju stała bielizniarka, a w drugim niewielka komoda. Wystarczyły trzy dni spędzone w dyliżansie pocztowym, by Maura poczuła się tu jak w niebie.

Może nie do takiego życia została stworzona, ale tego dnia nie najgorzej jej się powiodło. Dostała posadę, pokonała ulice Londynu i poznała intrygującego lorda Chatham.

Całkiem nieźle jak na szlachetnie urodzoną prowincjuszkę z Devonshire. Powinna jednak bardzo uważać. Hrabia mógł z nią flirtować, mógł odnosić się do swych wychowanków z równą bez troską jak do własnego życia, ale to nie oznaczało bynajmniej, że nie był spostrzegawczy. Już pierwszego dnia zorientował się, że nie jest zwyczajną guwernantką. Zdradziły ją drobiazgi, nad którymi nie ma kontroli. Mogła tylko liczyć na to, że niczego więcej się nie domyślił i nie był zainteresowany badaniem jej przeszłości. Miała nadzieję, że jeśli właściwie zajmie się swymi podopiecznymi, to on nie będzie się nią interesował.

Uświadomiła sobie, że dzień, w którym wysiadła z dyliżansu pocztowego i postawiła nogę na londyńskim bruku, miał być dniem jej ślubu. Gdyby pozostała w Devonshire, byłaby już baronową, skazaną do końca życia na znoszenie obscenicznych atencji, czyli na los znacznie gorszy niż kontakty z lordem Chatham.

Maura wskoczyła do łóżka, rozkoszowała się świeżością chłodnych prześcieradeł i miękkością poduszek. Zdmuchnęła stojącą przy łóżku świecę i wyszeptała:

- Wznoszę toast, lordzie Chatham. Za nasz... hmm... związek. Na zdrowie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Acton Humphries, znany w Devonshire jako baron Wildeham, obserwował rozgrywającą się przed nim scenę ze swej ulubionej pozycji - wyciągnięty na otomanie Lucasa Hardinga, ze szklaneczką poobiedniej brandy w dłoni. Na drugim końcu pokoju Harding szurał po blacie biurka leżącymi przed nim dokumentami. Ledwie powstrzymywał się, by jako choleryk nie zdzielić w łeb posłańca kryształowym przyciskiem do papierów. Jego twarz nabiegła krwią, z pewnością nie po raz pierwszy tego dnia uniósł się gniewem.

- Chce mi pan wmówić, że moja siostrzenica zdołała zniknąć bez śladu? - warknął, gdy posłaniec zakończył swój raport.

Acton usiadł i postanowił włączyć się do akcji.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że to wysoce nieprawdopodobne. Panna Caulfield jest szlachetnie urodzoną młodą damą, która przez całe życie nie opuszczała Exeter, a panowie, wyszkoleni tropiciele, nie potrafią jej znaleźć? - Jego pozorna nonszalancja mogłaby zwieść tylko kompletnego idiotę. Acton był równie wściekły z powodu ostatnich wypadków jak Harding. W ich długotrwałą znajomość wkradło się pewne napięcie, odkąd wyszło na jaw, że niewdzięczna siostrzenica Hardinga uciekła z domu na cztery dni przedtem, zanim została baronową Wildeham.

- Żałuję, że nie mam lepszych wiadomości, sir. - Posłaniec niepewnie przestępował z nogi na nogę. Wyczuwał, że gniew obu panów czaił się tuż pod powierzchnią i w każdej chwili groził wybuchem.

- Lepszych wiadomości? Ty nie masz żadnych wiadomości! - eksplodował Harding. Acton uznał, że ten wybuch był w pełni usprawiedliwiony. Zniknięcie dziewczyny postawiło go w wyjątkowo trudnej sytuacji. Małżeństwo Maury z Actonem miało uregulować dług honorowy po przegranym przez Hardinga zakładzie. Hardingowi nie mieściło się w głowie, że jego koń Captain mógłby przegrać z Jupiterem Actona. Na jego szczęście Acton zgodził się przyjąć pannę młodą zamiast gotówki, szczególnie że miała nią być rozkoszna Maura.

Teraz Harding nie miał ani panny młodej, ani gotówki, a termin spłaty długu zbliżał się nieubłaganie. Jeśli szybko nie znajdzie siostrzenicy, będzie zrujnowany. Jego posiadłości nie obejmowało prawo majoratu, więc Acton mógł przejąć dom. A wówczas rodzina Hardinga - jego żona, małe bliźnięta i dwóch starszych synów - zostanie bez dachu nad

głową. Maura nie stanowiła dla niego wygórowanej ceny za stabilizację życiową najbliższych. Przyjął ją pod swój dach jako szesnastoletnią panienkę i jak mu się za to odplaciła? Nie pojmował takiej czarnej niewdzięczności i nieposłuszeństwa. Posłannictwem kobiety było służenie rodzinie. Małżeństwo było świętym obowiązkiem Maury, odpłaceniem się za czteroletnią opiekę.

- Znajdźcie ją - warknął Harding, gdy gniew już nieco ostygł. - Rozszerzcie zasięg poszukiwań. Jeszcze raz sprawdźcie zajazdy przydrożne, może ktoś ją zapamiętał.

Acton nie zgadzał się z tym w duchu. Jeśli zatrzymała się w zajezdzie dla dylizansów pocztowych, to szanse odnalezienia jej były minimalne. Przewijały się tam setki podróżnych, a ludzka pamięć była zawodna. Pościg mógł zostać skierowany na fałszywy trop. Harding jednak wierzył, że znajdzie Maurę w pobliskiej wiosce albo nawet w samym Exeter, kiedy będzie próbowała znaleźć pracę. Wildeham czuł, że Harding się mylił, a ślad stygł z każdą upływającą godziną.

- A Londyn? - Postanowił włączyć się do rozmowy. - To najlepsze miejsce dla kogoś, kto pragnie się ukryć, a nie braliśmy tego dotąd pod uwagę. - Minęło zaledwie kilka dni, tak że Maura dopiero mogła tam dotrzeć. Trop w Londynie był jeszcze świeży.

Harding pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne, Wildeham. Maura nie ma ani pieniędzy, ani zawodu. Nawet gdyby zebrała kilka pensów na przejazd albo wyłagała, by ją zabrano za darmo, to nie miałyby z czego żyć po przyjeździe do Londynu. To córka dżentelmena. Została wychowana do zamążpójścia, nie do pracy.

Wildeham dostrzegał logikę w argumentacji Hardinga. Jeśli Maura łudziła się, że znajdzie pracę w Londynie, to spotka ją bolesne rozczarowanie. Miasto niszczyło takie dziewczyny jak ona. I to go najbardziej martwiło. Nie chciał, by Maura zginęła. Pragnął, by żyła i odpokutowała za swój czyn, gorzko odpokutowała.

Wildeham poruszył się na otomanie, poczuł przypływ podniecenia. Myśl o pokucie nasunęła mu przed oczy obraz klęczącej przed nim Maury. Jeśli już miała zostać zniszczona, to przez niego! Godzinami snuł fantastyczne wizje tego, co z nią zrobi, gdy już będzie należała do niego. Pożałuje, że uciekła, powiedział do siebie w duchu. Przeszył go rozkoszny dreszcz na myśl o śladach różgi na jej nieskalanie białych, nietkniętych pośladkach...

Wildeham zmusił się do powrotu do rzeczywistości, a rzeczywistość była taka, że Maura Harding uciekła, a on z każdym dniem nabierał coraz większej pewności, że ukryła się w Londynie. Wuj widział w niej tylko ładną, dobrze wychowaną panienkę, a Acton miał okazję zobaczyć więcej. Harding i jego szpicel mogli sobie do upojenia prowadzić

poszukiwania w Devonshire, bo nie widzieli nigdy rozwścieczonej Maury. Nie widzieli, jak walczyła z mężczyzną, który zagonił ją w róg spiżarni i próbował zmusić ją do miłości. Ta mała wiedźma niemal odgryzła mu język, gdy ją pocałował. Lubił zaakcentować swoją dominację, a im bardziej Maura walczyła, tym mocniej jej pragnął i tym bardziej dążył, by ją zdobyć. Tak, przyszedł czas, by zrobił to na swój sposób.

- Zamierzacie więc nadal prowadzić poszukiwania w okolicy? - przerwał Hardingowi i szpiclowi ze zniecierpliwieniem.

- Tylko to ma sens - westchnął Harding. - Nie mogła uciec daleko.

- Rób, jak chcesz. W końcu to twoja karta przetargowa. Ja na własny koszt wyślę do Londynu swojego człowieka. Zobaczymy, co uda mu się znaleźć. Założę się o pięćdziesiąt funtów, że znajdę ją pierwszy.

Harding uśmiechnął się z politowaniem, jakby zapomniał, że jeśli dziewczyna nie zostanie odnaleziona, to on straci coś znacznie cenniejszego niż pięćdziesiąt funtów.

- Dobrze, zakład stoi. Pięćdziesiąt funtów.

Acton wstał z otomany.

- W takim razie wpadnę wieczorem. Muszę poczynić pewne przygotowania. Przekaż wyrazy uszanowania swojej żonie, Harding.

Było jeszcze za wcześnie, by wezwać Paula Digby'ego. Acton wykorzystywał już do rozmaitych brudnych zadań tego mocnego jak wół mężczyznę. Co więcej, Digby, co stanowiło rzadkość u kogoś tak potężnych rozmiarów, był lebskim człowiekiem. Jeżeli Maura znajdowała się w Londynie, to bez wątpienia zostanie odnaleziona.

Maura powitała następny poranek z pozytywnym nastawieniem i gotowym planem. Składając podanie o pracę, nie przypuszczała, że będzie pracować z dziećmi, ale wystarczyło skorygować założenia. Jej własne dzieciństwo nie było jeszcze tak odległe, by nie pamiętała siebie w wieku siedmiu czy ośmiu lat. Mając to na uwadze, wstała wcześniej, kazała podać śniadanie w dzieciennym pokoju i nakreśliła plan dnia. W drodze do pokoju dzieciennego powtórzyła sobie wszystko raz jeszcze: śniadanie, lekcje przedpołudniowe, spacer, po południu nauka dobrych manier przy herbacie, a przed obiadem czas na zabawę. Tak, to rozsądny plan.

Ale kompletnie nie do zrealizowania. Wystarczyło jedno spojrzenie na pokój dziecienny, by Maura wyrzuciła swój plan do kosza. Zastała niewiarygodny bałagan. Na podłodze walały się najrozmaitsze zabawki, inne były poutykane w przeróżnych zakamarkach bez ładu i składu. Wszystkie krzesła były obwieszane niemiłosiernie zmiętymi ubraniami. Maura podniosła jedną z koszul i strzepnęła ją. Tego się nie spodziewała.

Poprzedniego dnia nie miała czasu tu zajrzeć. Dzieci zostały przygotowane na spotkanie z nią i porządnie ubrane. Wybrała się z nimi na spacer do niewielkiego parku po drugiej stronie ulicy. Po powrocie zaś zastała w swoim pokoju „zaproszenie” lorda Chatham na obiad.

- Szósta! - Cecylia wysunęła głowę z niewielkiej sypialni przylegającej do pokoju zabaw. - Jak wcześnie przyszłaś! - Przebiegła przez korytarz do pokoju Williama. - Will, Will, Szósta już jest!

- Pomyślałam, że zjemy razem śniadanie i będziemy mogli lepiej się poznać. - Maura uśmiechnęła się. Wczoraj zrobili całkiem niezły początek, choć Will wykazywał nieco mniej entuzjazmu niż siostra. Podczas spaceru był bardzo cichy i pełen rezerwy.

- Co będziemy dzisiaj robić? - Cecylia wzięła ją za rękę i zaczęła nią kołysać.

- Najpierw coś zjemy, a potem pobawimy się w pewną grę - odparła Maura wesoło. Pociągnęła koc Williama. - Wyskakuj z łóżka, śpiochu. Lada moment podadzą śniadanie.

- Tu, na górze? - zdziwił się chłopiec. - Wujek Ree pozwala nam jeść w pokoju śniadaniowym. Śniadanie jest podawane do jedenastej.

- Czy wujek jada z wami? - dopytała z wahaniem.

- Nie - odparł William ze smutkiem. - On zwykle do południa leży w łóżku.

- Jadacie sami? - Maura zajęła się porządkowaniem pokoju, poprawiając coś bez przerwy czy prostując, żeby jej pytania nie wyglądały na indagację. Tę kwestię musiała wyjaśnić. Nie chciała ingerować w zwyczaje rodzinne i uniemożliwiać wspólnego spożywania posiłków.

- Tak - zapewniła Cecylia z dumą. - Sami nakładamy sobie na talerze i jemy, ile chcemy i co chcemy... Ale krzesła są bardzo wysokie i nie sięgam nogami do podłogi.

Dzieci, które same jadły posiłki, nakładając sobie kopiaste talerze tego, co lubiły, bez żadnego dozoru, to nie był rodzinny rytuał; to była prosta droga do katastrofy. Przyniesiono tace ze śniadaniem i Maura szybko oczyściła okrągły stół na środku pokoju dziecinnego.

- Mmm, pachnie ładnie. - Cecylia przybiegła pędem i Maura zauważyła, że nawet William nie kazał się dwa razy prosić do stołu, kiedy rozłożyła nakrycia i zdjęła pokrywy.

- Co to? - William wskazał talerze z niewielkimi grzankami rozłożonymi wokół kieliszków do jajek.

- Jajka i żołnierzyki. - Maura ustawiła talerz przed każdym z dzieci i usiadła sama. - Nigdy dotąd tego nie jedliście? - To ją zaskoczyło, bo ona była wychowana na takich śniadaniach.

Dzieci pokręciły głowami.

- Żołnierzyki? - zapytał William z zaciekawieniem, tocząc jajko wokół talerza.

- Grzanki to żołnierzyki. - Maura zbiła łyżeczką czubek jajka na miękko. Zdjęła warstwę białka i odsłoniła płynne żółtko. - Weź żołnierzyka i zanurz go w jajku. - Zademonstrowała, jak to należy robić, a następnie włożyła grzankę do ust. - Pyszne. Spróbujcie! - starała się ich ośmielić.

Już po pierwszym kęsie jajka żołnierzyki odniosły spektakularny sukces.

- To lepsze niż owsianka, którą dawały nam poprzednie guwernantki. - Cecylia skrzywiła się, demonstrując odrazę. - Równie dobre jak śniadania z tatą Elliottem - zapewniła z pełnymi ustami. Urwała na moment, żeby przełknąć, i wyjaśniła: - To był brat wujka Ree, ale już nie żyje, tak jak nasz tata. Mam nadzieję, że wujek Ree nie umrze. - To była dziecięca paplanina, ale serce Maury ścisnęło się. Trzeci mężczyzna odgrywający rolę ojca w zaledwie ośmioletnim życiu dziewczynki to stanowczo zbyt wiele.

- Dlaczego to się nazywa jajka i żołnierzyki? - zainteresował się William po pochłonięciu ostatniego kęsa swojej porcji.

Maura pochyliła się do przodu.

- Moja mama mówiła, że jajka i żołnierzyki wzięły się z bajki o Humpty Dumpty. - Wyrecytowała im dziecinny wierszyk. - Te kawałeczki grzanki to żołnierze króla, a jajko na miękko to biedny, stary Humpty Dumpty, którego nie można złożyć z powrotem w całość. - Dzieci roześmiały się, a Maura pozbierała talerze. - Kto jest gotów do zabawy?

- Poprzednie guwernantki nie bawiły się z nami - zauważył William sceptycznie.

- A Szósta się bawi i ja ją lubię - oznajmiła Cecylia z naciskiem, po czym zwróciła na Maurę spojrzenie błękitnych oczu, w których nagle pojawił się cień. - Ale ty nie odejdziesz, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie odejdę - zapewniła Maura. Nie mogła stąd odejść. Odejście oznaczało bezdomność i brak środków utrzymania. Musiała zostać, nawet gdyby dzieci wkładały jej do łóżka ropuchy. - Czy któreś z was wie, co to jest lawa?

Cecylia nie miała pojęcia, ale William wiedział.

- To takie coś gorącego, co wypływa z wulkanów. Tata Elliott opowiadał mi o górze Etna we Włoszech. - Uśmiechnął się. - To brzmiało bardzo fajnie, ten huk i drżenie ziemi. Chciałbym zostać podróżnikiem i pewnego dnia zobaczyć to na własne oczy. Tata Elliott mówił, że podczas ostatniej erupcji Etny jakaś wioska została prawie doszczętnie zniszczona.

- Ta wioska nazywała się Bronte - odpowiedziała Maura. - Będziemy dzisiaj udawać, że pokój dziecinny to ta wioska, a my jesteśmy podróżnikami, którzy przybyli ratować ludzi przed wulkanem. - Maura pochyliła się i podniosła z podłogi szmacianą lalkę. - Mam ją, jest

bezpieczna. Czy ktoś wie, jak ta dziewczynka ma na imię?

- To Polly - odpowiedziała Cecylia.

- Czy możesz zanieść Polly w bezpieczne miejsce i posadzić ją na półce, gdzie lawa jej nie dosięgnie? - Maura podała lalkę dziewczynce. - Cały ten dywan to lawa, musimy przenieść stąd wszystkich ludzi i wszelkie przedmioty w bezpieczne miejsce. Cecylia, czy możesz się podjąć ratowania lalek? Williamie, ty będziesz odpowiedzialny za ocalenie całego dobytku wieśniaków, takiego jak gry i żołnierzyki. Pamiętajcie, żeby szybko schodzić, aby lawa nie poparzyła wam stóp! Ja zajmę się książkami.

Wszyscy troje w podskokach zbierali z podłogi „wieśniaków” i odnosili ich w bezpieczne miejsce. Robili przy tym sporo hałasu, bo czasami ratownicy okazywali się nie dość szybcy i ulegali poparzeniu. Cecylia piszcziała podczas wyimaginowanych kontaktów z lawą. Nawet William dał się wciągnąć i opowiadał o swoich dzielnych żołnierzykach, które przybyły na ratunek, ale zostały odcięte przez niespodziewane trzęsienie ziemi i uwięzione na lewym zboczu góry.

To zajęło niemal godzinę, ale gdy ostatni z wieśniaków został ocalony, podłoga była pusta, a pokój dziecinny porządnie sprzątnięty.

- Super! - Maura padła na niskie krzeselko przy stoliku. - To była ciężka praca. Dobra robota, ratownicy. Popatrzcie, jak ładnie wygląda pokój dziecinny.

- Oszukałaś nas - nadąsał się William nagle. - To wcale nie była zabawa, tylko podstępnie zmusiłaś nas do sprzątnięcia.

- A dobrze się bawiłeś? - zapytała spokojnie Maura.

- Nie najgorzej - przyznał William niechętnie. Bawił się znacznie lepiej niż „nie najgorzej”.

- W takim razie to była zabawa - rozległ się od drzwi męski głos.

- Wujek Ree! - Dzieci podbiegły do niego i objęły go z całej siły. Maura wstała i odsunęła z twarzy kosmyk włosów, który wysunął się ze starannie upiętej fryzury podczas żywiołowej zabawy w „ratowanie wieśniaków”. Wyglądała nieporządnie w porównaniu z lordem Chatham, nieskazitelnie eleganckim w stroju do konnej jazdy, na który składały się spodnie i buty z garbowanej skóry oraz granatowy zakiet, podkreślający kolor jego oczu.

- Usłyszałem straszny rwetes i postanowiłem sprawdzić, co się tutaj dzieje. - Lord Chatham pytająco popatrzył na Maurę ponad głowami dzieci.

- Przepraszam, jeśli zachowywaliśmy się zbyt głośno - powiedziała pospiesznie.

- Nie za głośno, tylko za wcześnie. - Rzeczywiście, wyglądał nieco blado, a jego niesamowicie niebieskie oczy były trochę podpuchnięte.

- Wujek Ree późno chodzi spać i potem odsypia - wyjaśnił William. - Chciałbym być taki jak on. Dlatego leżałem jeszcze w łóżku - oznajmił z dumą. Maura pomyślała o lepszych wzorach do naśladowania dla dzieci, bo mogła sobie wyobrazić, co zatrzymało lorda Chatham poza domem aż do samego rana. Po tym, jak przy obiedzie kreślił kręgi w jej dłoni, udał się zapewne do aktorek lub kurtyzan.

- Ratowaliśmy wieśniaków przed wulkanem! - Cecylia podskakiwała na jednej nodze.
- Najpierw ocaliliśmy Polly. A na śniadanie mieliśmy jajka z żołnierzami.

Lord Chatham uśmiechnął się, wyglądał niesamowicie przystojnie.

- Widzę, że mieliście bardzo pracowity poranek. - Wyjrzał przez okno. - Słońce wyszło zza chmur, a skoro już wstałem, to może macie ochotę na wyprawę do parku? Will, weź ze sobą tę nową łódkę. Wypróbujemy ją. Cecylia, zabierz obręcz i mały latawiec. Wiatr powinien być dzisiaj dość mocny, by latawiec wzbił się w powietrze.

Oszalałe z podniecenia dzieci rozbiegły się po pokoju w poszukiwaniu zabawek.

Maura spojrzała na lorda Chatham niemal z nienawiścią. Jak on śmiał być taki miły, skoro dopiero co przypomniał jej, jaki potrafi być nieprzyjemny. Przehulał całą noc i zamiast odchorowywać swawole, udawał troskliwego ojca i zabierał dzieci do parku.

Nie licząc się z moimi planami? - zapytała się w duchu. Pozwolisz mu wchodzić tu tak znienacka i przewracać do góry nogami wszystkie twoje zamierzenia?

Maura wysunęła się naprzód.

- Lordzie Chatham, to wspaniałomyślna propozycja i z pewnością chciał pan dobrze, ale jestem zmuszona zaprotestować. Jeszcze nie odbyliśmy lekcji. - Starła się mówić ściszym głosem. - Wczoraj rozmawialiśmy o tym, że dzieci powinny mieć stały rozkład zajęć.

Lord Chatham wzruszył ramionami, najwyraźniej nieprzejęty.

- Lekcje mogą poczekać. A słoneczny dzień w Anglii nie zdarza się często. Musimy wykorzystywać piękną pogodę, kiedy raczy się pojawić. - Puścił do niej oko. - Pani również powinna się pośpieszyć, panno Caulfield. Nie jest pani gotowa do wyjścia. - Po czym dodał konspiracyjnie: - A nauka nie ucieknie, przekona się pani.

Zrozumiała, że to koniec dyskusji. Maura nie bała się kłótni i potrafiła obstawać przy swoim podczas gniewnych tyrad i wrzasków znanego z wybuchowego temperamentu wuja. Lord Chatham jednak obrał inną taktykę, na którą nie była przygotowana. Nie musiał uciekać się do krzyku, by dostać to, czego pragnął. On po prostu czarował.

Tym razem ustąpiła, ale rozmowa na temat rozkładu dnia dzieci musiała jednak dojść do skutku. Potrzebowały uporządkowanego życia, poczucia stałości i bezpieczeństwa,

a Maura nie miała szansy im tego zapewnić, jeśli lord Chatham będzie zabierał je na niespodziewane wycieczki, ilekroć zdarzy mu się wcześniej wstać. Stały porządek dnia również jej zapewniał bezpieczeństwo. Nie powinna zbyt często pokazywać się w mieście, przynajmniej na razie, dopóki trwały poszukiwania. Dzisiejszy dzień musiał stanowić wyjątek. Na razie ryzyko nie było wielkie, bo mało prawdopodobne, by ktoś już wpadł na jej trop. Zresztą miała nadzieję, że jej niezbyt rozgarnięty wuj ograniczy rejon poszukiwań do najbliższych okolic Exeter.

Kiedy tylko wyszli, natychmiast zrozumiała, że nie będzie to zwyczajny spacer. Początkowo sądziła, że wybiorą się do parku po drugiej stronie ulicy, w którym była z dziećmi poprzedniego dnia, ale jej złudzenia prysły na widok stojącego pod domem otwartego powozu zaprzęzonego w dwa siwki.

- Usiądź przy mnie, Williamie. - Lord Chatham rozlokował ich wszystkich w powozie z wdziękiem, który chyba nigdy go nie opuszczał. - Mężczyźni zawsze siedzą tyłem do kierunku jazdy, a damy przodem.

Maura poczuła ulgę, bo obawiała się przez chwilę, że będzie zmuszona usiąść obok hrabiego. Nie żeby wydawał jej się odpychający - wręcz przeciwnie, bardzo ją pociągał - ale ten pociąg był w jej sytuacji wyjątkowo nie na miejscu. Lord Chatham był jej pracodawcą i rozpustnikiem, jeśli wierzyć pani Pendergast. Jego zachowanie przy obiedzie zresztą zdawało się to potwierdzać. Bez najmniejszych oporów flirtował z zatrudnianą przez siebie guwernantką. Tak, zdecydowanie wolała siedzieć obok Cecylii. Szybko jednak zrozumiała, że to było jeszcze gorsze. Siedziała naprzeciw hrabiego i jeśli nie chciała być niegrzeczna, to nie mogła odwracać wzroku od jego niebieskich oczu, szerokich ramion i długich, skrzyżowanych w kostkach nóg, znajdujących się niebezpiecznie blisko jej stóp. To tyle jeśli chodzi o unikanie przypadkowego kontaktu.

- Dokąd jedziemy? - Powozik włączył się do ruchu i Maura musiała przyznać, że ogarnęło ją lekkie podniecenie. To jej pierwsza przejażdżka po Londynie. Poprzedniego dnia była zbyt zaabsorbowana czym innym, by wyglądać przez okno dorożki. Zresztą okienko było tak małe, że i tak niewiele miała szansę zobaczyć.

- Do Regent's Parku, panno Caulfield. Dzisiaj jest otwarty dla wszystkich. Nie mogliśmy zmarnować pięknej pogody oraz sposobności obejrzenia parku otwartego tylko dwa razy w tygodniu. To zbyt wielka okazja, by ją przepuścić, prawda? - Błękitne oczy lorda Chatham roziskrzyły się. On wiedział, drań, wiedział, że to dla niej prawdziwa przyjemność, atrakcja taka sama jak dla dzieci.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Dobrze sobie pani radzi z latawcem, panno Caulfield - zawołał Riordan znad stawu, na którym razem z Williamem puszczali nowy model szkunera. Panna Caulfield i Cecylia wolały wykorzystać wiatr. Ciepło mu się zrobiło na sercu na widok dziewczynki, biegnącej po zielonej trawie za latawcem, który jak na komendę wzbił się w powietrze. Spodziewał się, że latawiec połamie się, jak niemal wszystko, co trafiało do rączek Cecylii, więc na wszelki wypadek zabrał ze sobą drugi. Z przyjemnym zaskoczeniem przekonał się jednak, że w sprawnych rękach panny Caulfield ten pierwszy szybował po niebie nienaruszony.

Riordan z uśmiechem obserwował młodą damę, która umiejętnie sterowała latawcem i czuwała, by nie zbliżył się za blisko do kępy drzew. Nowa guwernantka sprawiła mu zresztą miłą niespodziankę już rano, gdy zobaczył ją wesoło baraszkuje z dziećmi. Nie wyznaczyła im zadania i nie nadzorowała z boku jego realizacji jak guwernantka numer Trzy. Całym sercem przyłączyła się do zabawy. Wyglądała rozkosznie z włosami w nieładzie i smugą kurzu na policzku. A gdyby tak jej nieporządny wygląd był dziełem mężczyzny, który wiedział, jak to robić, rozmarzył się mimowolnie Riordan i te rozważania okazały się wyjątkowo podniecające.

Była o niebo ładniejsza od guwernantki numer Cztery, pomarszczonej jędry. Znowu wystąpiła w zieleni, tym razem miała na sobie spacerową sukienkę barwy zielonego jabłuszka i taki sam kapelusz z szerokim rondem. Kapelusz, którego pozbyła się zaraz po przyjeździe na miejsce, jak zauważył Riordan. Jest znacznie bardziej impulsywna, pomyślał z uśmiechem, niż chciałaby się przyznać.

Wiatr zmienił kierunek i latawiec zanurkował. Cecylia pisnęła ostrzegawczo. Panna Caulfield pociągnęła za sznurek, ale latawiec nadal opadał. Riordan ocenił wzrokiem trajektorię lotu. Latawiec kierował się nad jezioro, po którym pływały łódki.

- Proszę pozwolić, panno Caulfield. - Riordan podbiegł, wyjął z jej ręki sznurek i rozkołysał latawiec, dopóki nie złapał on znowu wiatru. - Już w porządku, Cecylie - uspokoił dziewczynkę, która podskakiwała obok niego jak piłka. Nie miał jednak ochoty wypuścić z rąk linki. Już od wieków nie puszczał latawca. W dzieciństwie razem z Elliottem robili i puszczali je bardzo często.

Panna Caulfield spoglądała na niego z ledwo skrywanym zniecierpliwieniem.

Najwyraźniej i ona była w skrytości ducha wielbicielką latawców i Riordan nie zdołał oprzeć się pokusie popisania się przed nią. Zaczekał, aż latawiec zatrzyma się w powietrzu, poluzował linkę, a potem szarpnął ją, wprawiając latawiec w ruch obrotowy, tak swobodny i pełen wdzięku, że przypominał szybującego w przestworzach ptaka.

Cecylia zaczęła klaskać, nawet zafascynowany William porzucił staw i podszedł do nich ze stateczkiem w rękach.

- Zrób to jeszcze raz, wujku Ree!

Powtórzył to nawet kilkakrotnie, przy okazji wyjaśniając Cecylii i Williamowi zasady aerodynamiki. Wreszcie ciekawość dzieci została zaspokojona i pobiegły z powrotem nad staw. Riordan czuł na sobie badawcze, uważne spojrzenie panny Caulfield.

- Jak pan to robi? - zapytała w końcu.

Uśmiechnął się.

- Pokażę pani. - Podał jej wrzeciono ze sznurkiem i usiadł na ziemi. - Lekcja numer jeden. Proszę robić dokładnie to, co powiem. Pierwszym krokiem jest kontrolowane unieruchomienie latawca. Proszę mu pozwolić zawisnąć w powietrzu. Dobrze. - Podparł się na łokciach i wyciągnął się wygodnie na trawie. Obserwował z zachwytem, jak słońce zmienia włosy dziewczyny w płynną miedź. Na grzbiecie jej nosa zaczęły się pojawiać drobniutkie piegi - kara za zdjęcie z głowy kapelusza.

Nowa guwernantka była ładna, nieco tajemnicza i odrobinę impulsywna, a wszystkie te cechy Riordan cenił w kobietach. Pytanie tylko, jak daleko zamierzał się wobec niej posunąć? Była jego pracownicą, ale czy to oznaczało, że nie miał prawa do niewinnego flirtu? Szczególnie że ona również była nim zainteresowana. Podczas wspólnego obiadu zdawała się chwilami zapominać, że nie powinna patrzeć na niego jak na mężczyznę. Zabawnie byłoby ją sprowokować, by zapomniała się jeszcze bardziej.

- Teraz proszę pociągnąć linkę w taki sposób... by skierować nos latawca od siebie. Niech pani zaczeka, aż jedno ze skrzydeł znajdzie się nieco niżej od drugiego, i pociągnie. Nie. - Riordan skrzywił się, gdy latawiec zanurkował w dół i zaczął wymykać się spod kontroli. Czas interweniować. Podniósł się z ziemi, stanął za nią i nakrył rękami jej dłonie obejmujące wrzeciono.

- To kwestia intuicji. Trzeba wyczuć moment, gdy jedno ze skrzydeł zejdzie niżej. - Pachniała cudownie, lekko i świeżo, jak wiosenny wiciokrzew i bez, ale jej ciało było sztywne z napięcia. Taka bliskość onieśmiała ją, podobnie jak w powozie. - Niech pani się odpręży, panno Caulfield. Byłoby mi raczej trudno uwieść panią w publicznym parku - szepnął jej do ucha z rozbawieniem, choć to nie była do końca prawda. Zeszłego lata

udowodnili z panią Lennox w Green Parku, że to całkiem możliwe. A potwierdził tę możliwość zaledwie kilka tygodni temu z lady Granville, ale panna Caulfield nie musiała o tym wiedzieć.

Riordan uspokoił latawiec i wyczuł, że panna Caulfield rozluźniła się, skupiona całkowicie na jego sztuczkach.

- Wyczuwa pani luz? - Celowo utrzymywał niżony ton głosu. - Nie, proszę zaczekać... nie tak szybko. - Mocniej zacisnął ręce na jej dłoniach. - Zaczekajmy na właściwy moment... i... teraz! - Pociągnęli razem i latawiec swobodnie obrócił się w powietrzu.

- Zupełnie jak ptak w locie - szepnęła panna Caulfield.

- Tylko na tyle panią stać? - zakpił Riordan. Te słowa były zdecydowanie zbyt wyważone jak na tak swobodny, elegancki obrót spraw. Z pewnością kobietę, która bez zastanowienia zrzuciła w parku kapelusz i zmieniła pokój dziecienny w zalaną lawą wioskę Bronte, stać na więcej.

- To adekwatne określenie - odparła z urazą. - A do czego pan by to porównał?

Przysunął się bliżej i mocniej objął jej trzymające wrzeciono dłonie, po czym wykonał kolejny pełen gracji obrót latawca.

- Moim zdaniem to jak kochanie się z kobietą. - Zbliżył usta do jej ucha i wdychał jej świeży zapach. - Dobry kochanek nie traci cierpliwości. Dobry kochanek potrafi czekać do odpowiedniej chwili... aż do szczytowego momentu...

- Dość już, lordzie Chatham. - Panna Caulfield przykucnęła i wysunęła się z obręczy jego ramion. - Jest pan rzeczywiście nazbyt śmiały.

Jej twarz była zaróżowiona, ale nie tylko z zażenowania.

Riordan roześmiał się na widok jej zawstydzenia.

- Może odrobinę. - Wykonał jeszcze kilka zapamiętanych z dzieciństwa sztuczek, które panna Caulfield obserwowała, przesłaniając ręką oczy. Zdecydowanie wolała patrzeć w niebo na latawiec niż na niego.

- W dzieciństwie obaj z bratem spędzaliśmy całe zimy na strychu, budując latawce. - Riordan odwrócił latawiec na plecy. - Z nadejściem wiosny puszczaliśmy je przy każdej okazji. Urządzaliśmy sobie turnieje. - Od dawna już nie myślał o tamtych czasach. - Zaczęliśmy, kiedy byliśmy niewiele starsi od Williama. - Ta fascynacja latawcami trwała całkiem długo. Nawet kiedy Elliott wyjechał do szkoły, puszczali je zawsze, gdy wracał do domu na wakacje.

- Tęskni pan za bratem - zauważyła cicho panna Caulfield. - Byliście sobie bliscy. Jego śmierć z pewnością jest dla pana okropnym ciosem.

- Tak. - Cieszył się, że nie patrzyła na niego. Przez dłuższą chwilę koncentrował się na latawcu w oczekiwaniu, aż chwila wzruszenia minie. Nie przeoczył faktu, że użyła czasu teraźniejszego. Wszyscy inni mówili, że śmierć brata „była” okropnym ciosem, jakby to przeboleł i przeszedł nad tym do porządku dziennego. A tak nie było. Każdego dnia tęsknił za Elliottem. Tęsknił za pocuciem, że Elliott gdzieś tam jest, pilnuje porządku i czyni dobro. Jak zawsze.

Panna Caulfield pozwalała mu milczeć. Była mądrą kobietą, która wiedziała, kiedy dać mężczyźnie spokój. Po chwili Riordan zaczął zwijać linkę i przyciągać latawiec.

- Może zawoła pani dzieci i wybierzemy się do Guntera na lody?

Podniosła z ziemi kapelusz i ruszyła w stronę stawu. Nie miał pojęcia, dlaczego opowiedział jej o budowaniu latawców. Przecież była obca. Może chciał ją w ten sposób przeprosić za niestosowne porównanie albo nie chciał, żeby miała go za całkowitego bezecnika.

- Zawsze tu taki ruch? - Maura rozejrzała się dokoła z pełnym zachwytem zdumieniem. Zatrzymali się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko cukierni Guntera, w długim szeregu eleganckich powozów ludzi z towarzystwa, którzy również postanowili wykorzystać piękną pogodę. Kelnerzy biegali w pośpiechu od cukierni do powozów, dostarczając klientom lody i inne smakołyki. Nie mogła wyjść z podziwu, jak udaje im się omijać końskie odchody. W każdej chwili spodziewała się katastrofy.

- Zawsze. A wie pani dlaczego? - Lord Chatham pochylił się do przodu z uśmiechem na ustach. Zamierzał z niej zakpić i Maura nauczyła się już rozpoznawać ten uśmiech. Zmobilizowała się.

- Oczywiście. To nie ma nic wspólnego z jakością wyrobów - odparła chłodno Maura, ale na wszelki wypadek rozejrzała się, żeby sprawdzić słuszność swej hipotezy. Młodzi mężczyźni jedli lody, opierając się o drzwiczki powozów, w których siedziały młode damy. Wyglądało to całkiem niewinnie. Na pewno nie tak podejrzanie, jak zdawał się sugerować znizony głos lorda Chatham.

Wzruszył ramionami, jakby jej uwaga wydała mu się dyskusyjna.

- Wszystko zależy od tego, z kim się je lody.

Kelner podszedł, by przyjąć od nich zamówienie, i Maura przeżyła chwilę paniki. Co wybrać? W domu wuja podawano niekiedy lody, ale nigdy nie było tylu smaków do wyboru. Dzieci zdecydowały się na truskawkowe. Lord Chatham zamówił orzechowe. Maura wahała się nieco zbyt długo.

- Dla pani proszę czekoladowe. - Lord Chatham puścił do niej oko. - Są naprawdę...

dekadenckie.

Maura zarumieniła się. Zamówił dla niej deser i po raz pierwszy potraktował ją jak prawdziwą damę. Rozumiała, że nie powinna przywiązywać do tego większego znaczenia, bo hrabia miał po prostu doskonale maniery. A jednak było jej miło. Nikt dotychczas nie czuł się w obowiązku jej usłużyć.

Lody czekoladowe były rzeczywiście dekadence. Rozkosznie zimny, pełen bogatych smaków deser powoli spłynął z ust do gardła Maury. Poczula na sobie spojrzenie lorda Chatham.

- Smakuje? - zapytał, choć musiał z góry znać odpowiedź. - Możemy zamówić stałą dostawę do domu. Będzie pani miała lody codziennie.

- Codziennie? - Maura uniosła brew. - To się nazywa luksusowe życie.

- Włosi jadają je na co dzień. We Florencji jest pełno gelaterii. Po włosku lody to *gelati* - wyjaśnił dzieciom, które dosłownie chłonęły jego słowa. - Oszłupielibyście na widok tego wyboru smaków: czekoladowe, waniliowe, truskawkowe, migdałowe... I to nie wszystko! Chyba mają wszystkie, jakie tylko można wymyślić.

- Chciałabym tam mieszkać - westchnęła Cecylia. - Codziennie jadłabym lody.

Lord Chatham poruszył ciemnymi brwiami i spojrzał na nią z udawaną powagą.

- Ja tam mieszkałem i rzeczywiście codziennie jadłem lody. To jedna z największych zalet życia we Włoszech.

- A jakie były inne? - zainteresował się William, przerywając na moment pochłanianie lodów. - Wulkany? Etna jest we Włoszech.

- Podobnie jak Wezuwiusz. Kiedyś wdrapałem się na tę górę i...

Przez resztę popołudnia lord Chatham zabawiał dzieci opowieściami o życiu za granicą. Maura również dała się wciągnąć. Hrabia potrafił barwnie opowiadać, a temat był zajmujący. Nie spotkała dotąd nikogo, kto tyle widział. Cudownie byłoby móc tak podróżować! - westchnęła tęsknie w duchu. Lord Chatham ewidentnie wspominał swoje wyprawy z przyjemnością. Jego twarz złagodniała, a spojrzenie było odległe, gdy opisywał wąskie uliczki położonych na wzgórzach miasteczek, bogaty smak wina i pysznych potraw podawanych w przewiewnych willach. Świat, który znała, wydał jej się teraz bardzo mały. Najdalszą podróżą w jej życiu był wyjazd z Exeter do Londynu i trudno to uznać za wyprawę. To była zwykła ucieczka.

Cecylia oparła główkę na jej ramieniu, więc Maura opiekuńczo przytuliła zaspaną dziewczynkę.

Wracali do domu w ślimaczym tempie, a uliczny hałas uniemożliwiał rozmowę.

Maura zatęnęła w myślach krążących głównie wokół siedzącego naprzeciw niej mężczyzny. Okazał się on bowiem człowiekiem zagadkowym: kochającym i surowym na przemian; beztroskim, a równocześnie wrażliwym; przystojnym i stworzonym do flirtu. Był chodzącą pokusą, pokusą, której za wszelką cenę musiała się oprzeć. Od tego zależała jej posada. Nie powinna nawet o tym myśleć, choćby nie wiadomo jak ją uwodził uśmiechami i słowami obliczonymi na rozpalenie jej ciekawości i namiętności.

Maura skarciła się w duchu za chwilę słabości. Ten mężczyzna flirtował z każdą kobietą, to oczywiste, a ona nie mogła sobie pozwolić na to, by zostać jego kolejną zdobyczą. To chore, że już po jednym dniu pracy rozmyślała o takich rzeczach! Może właśnie dlatego odeszły poprzednie guwernantki. Może były ulepione z twardszej gliny.

- Pensa za pani myśli. - Lord Chatham rozprostował nogi. Hałas uliczny stawał się coraz mniej dotkliwy, gdy wjechali do spokojniejszej, bardziej elitarnej dzielnicy. - A może są więcej warte?

- Zastanawiałam się nad przyczynami odejścia poprzednich guwernantek. - To naprawdę stanowiło dla niej zagadkę. Dzieci były może czasem nieco rozbrykane, bo brakowało im dyscypliny, ale w gruncie rzeczy okazały się całkiem miłe. Dom znajdował się w dobrej dzielnicy, a praca nie przekraczała standardowych oczekiwań wobec guwernantki. Krótko mówiąc, posada nie miała wad. A tymczasem pani Pendergast stwierdziła bez ogródek, że sytuacja była nie do zniesienia.

- Podejrzewam, panno Caulfield, że to ja im się nie spodobałem. - Na jego ustach pojawił się cień łobuzerskiego uśmiechu.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Najprawdopodobniej spodobał im się aż za bardzo.

- To miał być komplement? - Parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał. - Zapewniam panią, że pomarszczonej jędry, to znaczy guwernantce numer Cztery, nie spodobałem się ani trochę. Zbyt często przerywałem jej lekcje. Zagroziła, że jeśli przeszkodzę jej jeszcze raz, to odejdzie. Więc przerwałem...

- Może dlatego, że nazywał ją pan pomarszczoną jędzą. - Uwadze Maury nie umknęły następne zdania. Czy było to ostrzeżenie? Zamierzał przeszkadzać w lekcjach tak jak dzisiaj, ilekroć przyjdzie mu na to ochota? - A jeśli chodzi o porządek dnia, lordzie Chatham... - zaczęła Maura.

- Nie podobały się pani dzisiejsze lekcje? - przerwał jej z ciepłym uśmiechem.

- Lekcje?

- Powiedziałem pani, że nauka nie ucieknie, i nie uciekła. Mieliśmy lekcję etykiety obejmującą zasady siadania w powozie. Mieliśmy przyrodę - wiedzę o wietrze, o wznoszeniu

się i trochę również o wodzie, gdy byłem z Williamem nad stawem. Mieliśmy również historię i geografę, informacje o Włoszech i o wulkanach.

- Rzeczywiście - przyznała Maura z lekkim zaskoczeniem. Wykazał się sporą wiedzą i inwencją. Niewielu znała podobnych ludzi. A właściwie nie spotkała dotąd żadnego.

Znowu puścił do niej oko.

- Nie tylko pani potrafi uczyć poprzez zabawę, panno Caulfield.

- Dzisiaj było bardzo przyjemnie, ale systematyczność ma również swoje zalety. - Maura nie zamierzała ustąpić. - Można zaplanować wyjścia. Przeznaczyć na nie określony dzień tygodnia - zaproponowała ustępstwo. - Nie twierdzą, że nie możemy wychodzić z domu. Z całego serca popieram wycieczki.

Powóz zatrzymał się właśnie przed domem, skutecznie kładąc kres rozmowie. Zdołała wydobyć od lorda Chatham jedynie coś w rodzaju „zobaczmy”, zanim zajęli się dziećmi. Maura pomogła zaspanemu Williamowi wejść po schodach, a hrabia wziął na ręce pogrążoną we śnie Cecylię. Wyglądał w tym momencie bardziej jak ojciec niż hrabia. Ten chwytający za serce widok mógł wyjednać mu przebaczenie miliarda grzechów: obojętność na fakt, że dzieci jadały same, bałagan w dziecinnym pokoju, chaos panujący w miejskiej rezydencji i rozpustę, która kazała mu bezwstydnie flirtować z każdą napotkaną kobietą.

Z pewnością człowiek tak dobry dla dzieci nie mógł być do końca zły, co tylko utrudniało sytuację. Byłoby jej łatwiej, gdyby Chatham okazał się takim niepoprawnym łajdakiem jak Wildeham. Wiedziałyby wówczas, jak sobie z nim radzić.

Kameryner Fielding wyszedł im na spotkanie z surową miną.

- Milordzie, pański prawnik czeka. Jest tu już od drugiej. - Maura wyczuła w jego głosie pretensję.

Chatham zacisnął zęby, ale poza tym nie wydawał się poruszony.

- Panno Caulfield, czy mogłaby pani wziąć ode mnie Cecylię? - Lord Chatham złożył dziecko w jej ramiona. - Okazuje się, że zapomniałem o umówionym spotkaniu. Fielding, wprowadź Browninga do gabinetu. Spotkam się z nim od razu.

Maura weszła po schodach ze swym brzemieniem. William dreptał obok niej. Zaczynała rozumieć powody zaniedbań hrabiego. Nic dziwnego, że nie interesował się rozkładem dnia dzieci i nie dostrzegał znaczenia systematyczności, skoro nie potrafił utrzymać porządku we własnym życiu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Tak? - Riordan zasiadł za ogromnym, orzechowym biurkiem i utkwiał w prawniku spojrzenie, które - przynajmniej taką miał nadzieję - zostanie uznane za „władcze”.

- Nie mam dobrych wiadomości. - Pan Browning środkowym palcem poprawił na nosie okulary. Ten gest zawsze irytował Riordana.

- To oczywiste.

Pan Browning jakoś nigdy nie przynosił dobrych wiadomości.

- Lady Cressida Vale i jej małżonek wicehrabia chcą przejąć opiekę nad dziećmi. - Pan Browning przynajmniej nie próbował owijać niczego w bawełnę. Riordan poczuł lodowate ukłucie strachu.

- Chciał pan powiedzieć, że chcą przejąć kontrolę nad ich pieniędzmi. - Riordan ledwo zdołał powściągnąć gniew. Spodziewał się tego. Lady Vale wystąpiła z tym żądaniem już podczas pogrzebu Elliotta.

Pan Browning rzucił mu karcące spojrzenie sponad okularów, urażony tak otwartym postawieniem sprawy.

- Nie mamy dowodu, że taki jest motyw ich działania.

- Ona jest kuzynką ojca tych dzieci po kądzieli, a ja po mieczu. Łączy nas z dziećmi tak samo bliskie pokrewieństwo, ale moja rodzina roztoczyła opiekę nad nimi, gdy tylko zostały sierotami, podczas gdy oni nie byli wówczas tym zainteresowani.

- Teraz sytuacja uległa zmianie. - Pan Browning wyraźnie kręcił, co oznaczało, że to nie koniec złych wieści.

Riordan odchylił się na krzesło i podniósł ręce do góry.

- Oczywiście, że uległa zmianie. Elliott dobrze zabezpieczył dzieci finansowo, bo Ishmael, ich ojciec, pozostawił im w spadku tylko majątek w ruinie.

- Zmienił się również opiekun prawny dzieci. - Pan Browning poruszył się niespokojnie na krzesło. - Poprzedni hrabia był uważany za odpowiedniego opiekuna.

- Sugeruje pan, że ja nie jestem odpowiedni? - Zaczął narastać w nim gniew.

- Ja nie. Oni. - Browning wskazał głową papier, którego Riordan jeszcze nie przeczytał.

Riordan rzucił okiem na długą listę swoich grzechów i zapłonął gniewem. Zarzucali

mu niewłaściwy tryb życia, twierdzili, że był kobieciarzem i hazardzistą, że nie potrafi zorganizować dzieciom życia ani zapewnić odpowiedniej edukacji... Lista ciągnęła się jeszcze długo. Temu wszystkiemu mogła zapobiec jedynie obecność w domu osoby, która potrafi zastąpić sierotom matkę, w domyśle: lady Vale. Śmiechu warte! Lady Vale tak nadawała się na matkę jak... nie przychodziło mu do głowy żadne trafne porównanie.

- Dzieci będą miały odpowiednio zorganizowane życie. Niech pan to powtórzy Vale'om. - Riordan z satysfakcją przesunął po blacie papier w stronę prawnika. - Przyjąłem guwernantkę. - Vale'owie chcieli, by dzieci miały odpowiednią edukację i stały rozkład zajęć, proszę bardzo. Panna Caulfield i jej pragnienie ustalenia harmonogramu zyskały potężne wsparcie.

Pan Browning chrząknął i poruszył się nerwowo.

- Z całym szacunkiem, milordzie, ale miał pan już pięć guwernantek.

- Wcale nie miałem pięciu guwernantek.

Pan Browning zachłysnął się, słysząc to wulgarnie określenie.

- Zatrudniał pan. W stosunkowo krótkim czasie zatrudnił pan aż pięć guwernantek.

- I co z tego? - Jeśli ta chuderlawa fretka zamierzała wspierać jego przeciwników, to bardzo szybko przekona się, że Riordan znajdzie sobie innego prawnika!

- Cóż, milordzie, ta liczba raczej zmniejsza pańskie szanse zamiast je zwiększać.

- To pańska opinia. - Riordan przygwoździł adwokata twardym spojrzeniem. - Brat pozostawił mi te dzieci w spadku. Nie zostawił ich Vale'om i miał ku temu powody. Vale'owie mogą się ze mną spierać do woli, ale testament Elliotta jest niepodważalny. - Szukał oparcia w niewzruszonym angielskim prawie.

Browning nie odezwał się, ale niewypowiedziane przez niego słowa wisiały w powietrzu, ciężkie jak kamienie.

- Niech pan coś powie, panie Browning - rzekł wreszcie spokojnie Riordan.

- Głęboko panu współczuję z powodu straty brata, milordzie. Bardzo lubiłem hrabiego. - Dawał do zrozumienia, że za obecnym hrabią już tak nie przepadał. Riordan przywykł do takich reakcji. Nie pierwszy raz był porównywany z Elliottem i nie wychodził z tego porównania zwycięsko. - Ale charakter śmierci hrabiego stawia pod znakiem zapytania prawomocność jego ostatniej woli.

- Niech pan to powie po angielsku.

- Vale'owie mogą zakwestionować jego poczytalność.

Riordan wbił wzrok w swoje dłonie.

- Wygrają?

- Nie wiem. Czy to ważne? - zapytał Browning.

To nie było ważne. Ważny był skandal spowodowany wniesieniem przez nich sprawy o obalenie testamentu. Pamięć Elliotta zostałaby skalana. Riordan chciał temu zapobiec, jeśli to tylko możliwe. Jego brat był niemal świętym człowiekiem, którego spotkał tajemniczy koniec. Nie zasługiwał na to, by jego śmierć była publicznie omawiana i oceniana.

Riordan znowu sięgnął po papier. Wpatrywał się w listę zarzutów pod swoim adresem: kobieciarz, prowadzący niestabilizowany tryb życia, brak w domu osoby, która mogłaby zastąpić dzieciom matkę. Browning miał, niestety, rację. Guwernantka nie mogła uzupełnić tych braków.

W zamyśleniu bębnił palcami o blat biurka. Guwernantka nie mogła, ale żona tak. W jego głowie zaczął kiełkować pomysł, który mógł uchronić pamięć Elliotta, a równocześnie ocalić dzieci. Spojrzał na Browninga.

- A gdybym się ożenił? - Musiał szybko znaleźć odpowiednią kandydatkę i pośpieszyć się z małżeństwem. Przyszła żona powinna być kobietą bez skazy. Małżeństwo Riordana wytrąciłoby Vale'om z ręki argument, że w jego domu brakowało kobiety mogącej zastąpić dzieciom matkę. Tak, to mogło się udać. - Chce mi pan coś jeszcze przekazać? - W sprawie Vale'ów nic więcej nie można było na razie zrobić, ale może Browning miał dla niego lepsze wiadomości w innych sprawach.

Browning rozczarował go jednak. Potrząsnął głową.

- Dochodzenie w sprawie śmierci pańskiego brata nie posunęło się naprzód. Przepytaliśmy cały personel domu w Sussex. Nikt nie zauważył niczego niezwykłego w dniach poprzedzających wypadek.

Riordan spochmurniał.

- A poczta? Może brat dostał jakiś list albo wiadomość, która go zdenerwowała czy przygnębiła? - zapytał, choć sam w to nie wierzył. Elliott był człowiekiem stabilnym, niełatwo było wyprowadzić go z równowagi.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. A przeszukaliśmy cały dom.

- Jakież związki? - Riordanowi ledwo te słowa przeszły przez usta. Czuł się tak, jakby bezcześcił pamięć brata. Wszelkie inne sprawy jednak zostały zbadane i nic nie dały. Finanse były w idealnym porządku. Elliott nie miał żadnych długów. Przyczyna śmierci wciąż pozostawała nieznana.

- Nie bardzo wiem, o co panu chodzi, milordzie. - Browning ściągnął brwi. Riordan żałował, że prawnik choć raz nie puścił wodzy wyobraźni i nie oszczędził mu przykrości wyrażenia tego w niezawołowany sposób. Najwidoczniej jednak musiał mówić bez ogródek.

- Czy mój brat miał kochankę? - wycodził Riordan przez zaciśnięte zęby. Znał mężczyzn, którzy zabili się, żeby zapobiec ujawnieniu swoich skłonności lub po ich ujawnieniu, nie mogąc przeżyć hańby. W ubiegłym roku piąty syn księcia Amherst został przyłapany z kochankiem, a w trzy dni później wyłowiono go z Tamizy. Elliott miał przecież trzydzieści trzy lata, a - o ile Riordanowi wiadomo - nigdy nie był zakochany i nie ubiegał się o rękę żadnej damy, choć zdawał sobie przecież sprawę, że spoczywał na nim obowiązek zapewnienia kontynuacji rodu i spłodzenia dziedzica tytułu. Miał jednak nadzieję, że wiedziałby o tym, bo z bratem byli zawsze blisko.

Twarz Browninga spurpurowiała z zażenowania.

- Nic na to nie wskazuje - zapewnił z urazą, głosem schrypniętym z oburzenia, że w jego obecności został podjęty taki temat.

- Jakaś przyczyna jednak musiała być. Proszę szukać dalej. Proszę pytać. Z pewnością jest ktoś, kto coś wie, i w końcu do niego trafimy. - To była odprawa. Już dość złych wiadomości na dzisiaj. Browning zepsuł mu taki przyjemny dzień. Zaraz Riordan wróci do zwyczajnego życia: do kobiet i wina, w których znajdzie zapomnienie.

Zaczął od wina, a właściwie brandy. Gdy tylko Browning został wyprowadzony za próg, Riordan nalał sobie hojną porcję trunku i rozsiadł się w swym ulubionym fotelu przy kominku. Może potem przyjdzie czas na kobiety, pomyślał. Poprzedniego wieczoru u Rutherfordów lady Hatfield wyraźnie okazywała mu zainteresowanie, ale to nie obraz lady Hatfield pojawił mu się przed oczami. Zamiast niej zobaczył cynamonowe loki i zielone oczy dziewczyny, która była zuchwała i ostrożna zarazem, wybuchowa i pełna rezerwy, spragniona życia i namiętności, gdyby starczyło jej odwagi... I gdyby jemu starczyło odwagi. Ale na razie jedynie ta dziewczyna zapewniała jego domowi minimum przyzwoitości. Zdrowy rozsądek ostrzegł Riordana, że dopóki nie wprowadzi swojego planu w życie, nie może sobie pozwolić na jej odejście.

Wielka szkoda! Dziś po południu, kiedy razem puszczali latawce, w jego ramionach była taka rozkoszna. Delikatnie zaokrąglone biodra, wąska talia, kuszące piersi, idealnie pasujące do męskich dłoni - nie mógł tego wszystkiego nie zauważyć. Jak cudownie byłoby wyzwolić te skarby z ubrania.

Riordan wstał i ponownie napełnił kieliszek, po czym przeniósł karafkę na niski stolczyk obok fotela. Nie było sensu wstawać za każdym razem, kiedy miał ochotę dolać sobie alkoholu, a tego wieczoru zamierzał robić to dość często. Chciał pozbyć się wątpliwości dręczących go od śmierci Elliotta. Kogo próbował oszukać? Te wątpliwości nawiedzały go jak zmory już na długo przed śmiercią brata. Pragnął przegnać je jak najszybciej i udowodnić,

że Vale'owie się mylili.

Tak, ożeni się, zdecydował w duchu. Na pewno nie podejrzewali, że mógłby się do tego posunąć. Nie przypuszczali, że był zdolny postąpić honorowo i poświęcić się dla innych. Nie rozumieli jego miłości do Elliotta. Aby wynagrodzić bratu wszelkie rozczarowania, jakie mu sprawił w życiu, gotów był zrobić wszystko. Riordan zagłębił się w fotelu i wychylił kieliszek do dna. Za dnia łatwiej było odpychać od siebie wspomnienia, na przykład znajdując sobie jakieś absorbujące zajęcie. Jak dzisiaj, kiedy zabrał dzieci do parku. Jednak nocami, gdy nie mógł rzucać się z jednej aktywności w drugą, wspomnienia dopadały go jak psy spuszczone z łańcucha i szarpały, nie dając spokoju. Niech więc przyjdą, niech narastają w nim wątpliwości, a potem niech odpłyną w strumieniach brandy...

Riordan do końca życia nie zapomni tamtej grozy, upiornego poczucia, że tonie, gdy przeczytał list podany mu na wystawie malarstwa. Cztery krótkie linijki tekstu, których Riordan wbrew logice nie potrafił wybaczyć Browningowi. Został hrabią i ojcem w rezultacie zdarzenia eufemistycznie określonego jako postrzał w głowę z własnej ręki. Te słowa, sugerujące wypadek podczas polowania, były jednak synonimem samobójstwa. Jeśli jednak odrzucić towarzyskie subtelności, znaczenie listu było następujące: w wieku trzydziestu trzech lat zszedł z tego świata hrabia Chatham, trojga imion Elliott Randolph Fitzsimmons Barrett, a jego cieszący się znacznie gorszą opinią brat, zaledwie dwojga imion Riordan Christopher Barrett, drugi syn bez szans na jakiś znaczniejszy majątek, pozostał - niestety - przy życiu jako żalony substytut zmarłego. To on powinien spoczywać w trumnie, a nie Elliott.

Elliott po śmierci ojca wszedł w rolę hrabiego z taką łatwością, jakby rozgrywał set meczu na wypielęgowanej, zielonej murawie Sussex. Nie miał żadnych trosk finansowych. Zasiadał z powodzeniem w Izbie Lordów. Jego pozycja towarzyska była bez zarzutu, wszystkie domy w Londynie stały przed nim otworem. Każda gospodyni marzyła, by zaszczycił ją swą obecnością. Nie miał najmniejszego powodu, by położyć kres swemu nieskazitelnemu życiu w tak gwałtowny i skandaliczny sposób.

Podczas pogrzebu wszyscy myśleli wyłącznie o tym. Na stypie goście jeden po drugim podchodzili do Riordana i zadawali mu szeptem te same pytania. Czy wiedział, co mogło doprowadzić brata do tak desperackiego kroku? Dlaczego Elliott nie przyjechał do Londynu, jak to miał w zwyczaju? Pod tymi pytaniami kryło się niewypowiedziane na głos oskarżenie: gdyby Riordan tam był, mógłby zapobiec nieszczęściu.

Riordan zresztą zadreślał się tym samym. Gdyby zaczekał, gdyby zdecydował się wrócić do Londynu razem z bratem i przy nim pozostał... Rozstali się zaledwie cztery

tygodnie przed samobójstwem Elliotta, pod koniec marca, i wszystko wydawało się być w idealnym porządku. Odnosił wrażenie, że brat miał się świetnie, a przecież Riordan miał dobry kontakt z bratem. Byli sobie naprawdę bliscy, choć już nie tak jak w dzieciństwie. Nigdy nie było między nimi żadnych animozji, choć Elliott odziedziczył cały majątek, a Riordan musiał znaleźć inny sposób na życie. Spotykali się wielokrotnie w ciągu roku. Coś musiało jednak umknąć uwadze Riordana podczas ostatniej wizyty u Elliotta. Nie mógł sobie wybaczyć, że wcześniej wrócił do Londynu.

Nie udało mu się znaleźć zapomnienia, choć w karafce zostało już niewiele alkoholu. Zamierzał jednak nadal próbować i szło mu całkiem nieźle, dopóki strumień światła z korytarza nie wdarł się zniemacka do pokoju oświetlonego tylko słabym ogniem żarzącym się na kominku.

Riordan osłonił oślepienie przez intruza oczy i wymamrotał przekleństwo.

- Wynoś się, Fielding. Nie potrzebuję niczego.

Maura stłumiła jęk. Popelniła podwójną pomyłkę. Ten pokój nie był biblioteką i nie był pusty.

- Przepraszam. Myślałam, że nie ma pana w domu.

Przyjęła założenie, że gdzieś wyjechał, ponieważ nie przyszedł powiedzieć dzieciom dobranoc i nie przysłał jej zaproszenia na obiad. Założenie okazało się fałszywe, przez co znalazła się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Weszła do gabinetu lorda Chatham o najmniej odpowiedniej porze, w dodatku w szlafroku narzuconym na nocną koszulę.

- Jak pani widzi, jestem jak najbardziej w domu. - Lord Chatham wstał z fotela i szeroko rozłożył ramiona, prezentując się w całej okazałości. W ręce trzymał kieliszek.

Maura obrzuciła pełnym dezaprobaty spojrzeniem zarówno kieliszek, jak i prawie już pustą karafkę. Nie potrafiła się zorientować, jak bardzo był pijany. Podszedł do niej pewnym krokiem, nie zataczając się, ale jego strój pozostawiał wiele do życzenia. Hrabia zdjął marynarkę i został tylko w kamizelce narzuconej na koszulę, tę samą, którą miał na sobie w parku. Najwyraźniej od spotkania z adwokatem nie opuszczał tego pokoju.

- Muszę już iść. Szukałam biblioteki. - Z doświadczenia wiedziała, że należało unikać pijanych mężczyzn, niezależnie od stopnia ich upojenia. Wildeham po alkoholu stawał się potworem. Zaczęła się cofać do wyjścia, choć trochę wbrew sobie, bo była ciekawska z natury, a lord Chatham nie wydawał jej się szczególnie niebezpieczny. Najwyżej niebezpiecznie przystojny. Szczególnie że włosy opadły mu na twarz jak wtedy, gdy wpadł na nią pierwszego dnia.

- Niech pani nie odchodzi. Proszę zostać i napić się ze mną. W karafce zostało jeszcze

po łyczku dla dwojga.

- Chyba już dość pan wypił - stwierdziła, ale jakoś ciężko jej było go opuścić.

- Nie jestem tak bardzo pijany, Mauro.

Kiedy wymówił jej imię, Maurze zabrakło tchu. Kto by pomyślał, że to krótkie słówko może być wypowiedziane w tak uwodzicielski sposób.

- Gdybym był kompletnie pijany, nie mógłbym zrobić tego. - Z lekkim uśmiechem na ustach przeszedł wzdłuż wzoru na dywanie, stawiając jedną stopę przed drugą, z rękami rozłożonymi na boki, jak cyrkowiec spacerujący po linii. A potem nagle wzbił się w powietrze, objął kolana rękami i wylądował z powrotem na linii, nie tracąc równowagi.

Maura wbrew sobie musiała się roześmiać.

- To dowodzi czegoś wręcz przeciwnego.

Zatrzymał się w połowie następnej ewolucji i spoważniał.

- Nieprawda. Powszechnie wiadomo, że pijany nie zdoła przejść po prostej linii. A już z pewnością nie skoczy w górę i nie wyląduje, nie tracąc równowagi.

- Niby tak, ale na trzeźwo nikt nie próbuje tego robić - zauważyła Maura.

Lord Chatham wbił wzrok w dywan i zastanowił się nad jej odpowiedzią.

- No, dobrze, a co pani powie na to? Proszę patrzeć na medalion na środku dywanu.

Czy pijany człowiek mógłby zrobić coś takiego? - Lord Chatham stanął na samym środku ornamentu i zaczął tańczyć. To był atletyczny i bardzo męski taniec, składający się z serii drobnych kroczków i ostrych skrętów, które nie przypominały figur żadnego ze znanych Maurze tańców. - To *zebekikos*. Pochodzi z Grecji - rzucił lord Chatham przez ramię, wykonując ostatni skręt. - No i co, myśli pani, że pijany człowiek mógłby zrobić coś takiego?

- Jest pan niemożliwy - stwierdziła Maura.

- Rozpuściła pani włosy. - Był przy niej blisko, tak blisko, że wsunął rękę w jej włosy i zaczął przesuwać je między palcami. - Są piękne. Myślałem o tym dzisiaj w parku. Zawsze powinny być rozpuszczone. - Jego głos był cichy. Maura wyczuwała zmianę nastroju. Rozbawienie, towarzyszące żartobliwym próbom trzeźwości, ustąpiło miejsca czemuś znacznie potężniejszemu, czemuś łatwopalnemu, co tylko czekało na iskrę, by buchnąć potężnym płomieniem... Czemuś całkowicie różnemu od sprośnych nagabywań Wildehama. Najwyższy czas, by Maura stąd wyszła, zanim ulegnie pokusie lub ciekawości.

- To niestosowne, lordzie Chatham - stwierdziła, choć jej puls wyraźnie przyspieszył.

Może to rzeczywiście nie było stosowne, za to bardzo podniecające. Nigdy dotąd nie znajdowała się tak blisko przystojnego mężczyzny. Coś w niej krzyczało, że może już nigdy nie będzie miała takiej szansy; że może warto podjąć ryzyko i przekonać się, dokąd to ją

doprowadzi; przekonać się, czy wszystkie pocałunki były równie obrzydliwie mokre i brutalne jak Wildehama.

Hrabia położył palec na jej ustach i pokręcił głową.

- Zwracaj się do mnie po imieniu, Riordan, a ja będę cię nazywać Maurą. Skończmy wreszcie z lordem Chatham i panną Caulfield.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł. - Zbytnią familiarność mogła wywołać różnego typu problemy, a przede wszystkim wzbudzić podejrzenia, że ich wzajemne stosunki były bliższe, niż powinny, i nie ograniczały się do normalnych kontaktów między pracownicą a pracodawcą.

- Ja tak nie myślę - odparł Riordan z przekonaniem, a jego dłonie jakby mimochodem objęły jej biodra w sposób bardzo intymny, niemal zaborczy.

- Pan pił - przypomniała Maura, ale bez specjalnego oburzenia.

- Robiłem dziś wieczór wiele rzeczy, Mauro. - Wymówił jej imię niskim, gardłowym głosem, demonstracyjnie ignorując jej protest. Czowała ciepło rąk, obejmujących jej biodra, i odpowiedź własnego ciała, gdy przyciągnął ją do siebie. Jego błękitne oczy nie pozwalały jej opuścić wzroku. - Skakałem, tańczyłem, a przede wszystkim byłem w jednym pokoju z piękną dziewczyną... a jeszcze jej nie pocałowałem.

Dotknął jej ust w taki sposób, że dech jej zaparło. Czowała ciepło jego warg pachnących brandy i dotyk jego twardego ciała. Poddała się, przyłgnęła do niego i chłonęła nowe doznania: ciepło dłoni obejmujących jej biodra, zapach mydła i ukłucia jednodniowego zarostu na policzkach. Ta intymność uderzyła jej do głowy. Delikatnie, na próbę, skubnęła zębami jego dolną wargę, jakby eksperymentując z narastającym między nimi napięciem. Ucieszyła się w duchu, gdy w odpowiedzi wydał niski pomruk aprobaty.

- Na Lucyfera, skusiłabyś samego diabła, Mauro.

W tym momencie zrozumiała, że powinna przestać, nieważne, jak bardzo pragnęła, by ten pocałunek trwał. To mogło się skończyć poważnymi kłopotami, może nawet już wpadła w tarapaty. Odsunęła się i zrobiła jedyną rzecz, na jaką ją było w tym momencie stać - uciekła jak Kopciuszek o północy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

A niech to! Głośny pisk i trzask gwałtownie wyrwał Riordana ze snu. Wielkie nieba, co czwórka dzieci robiła w jego sypialni? Riordan potrząsnął głową. Nie, tylko dwoje, na szczęście. I zaraz... nie był przecież w swojej sypialni. To gabinet. Przesunął ręką po włosach i znowu opadł na sofę.

Wszystkie szczegóły poprzedniego wieczoru wróciły do niego z niezwykłą wyrazistością - no, prawie wszystkie. Niestety, złe wieści pamiętał najdokładniej. Vale'owie chcieli zabrać dzieci... a właściwie chcieli zdobyć kontrolę nad ich majątkiem. Pił, czego najlepszym dowodem była pusta karafka stojąca na stoliku obok jego ulubionego fotela.

Cecylia wirowała przed nim w tańcu, wystrojona w zdecydowanie na nią za dużą jedwabną suknię barwy akwamaryny, spadające z nóg pantofelki i zarzucony na ramiona przezroczysty szal.

- Bawimy się w przebierańców! - donośny głosik dziewczynki boleśnie dudnił w już i tak obolałej głowie Riordana. - Mogę dać ci szal, wujku. Będzie ci w nim ładnie, pasuje do twoich oczu. Idziemy na bal.

- Bawimy się w chowanego! - poprawił siostrę William. Mówił szeptem, ale z naciskiem, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, że on za żadne skarby świata nie bawiłby się w przygotowania do balu. Przykucnął za fotelem. - Schowaj się, Szósta może się pojawić w każdej chwili.

Szósta. Guwernantka. Panna Caulfield. Maura. Jego pracownica. Kobieta, którą minionej nocy całował. Niemożliwe, by po tej nocy był w stanie zwracać się do niej: panno Caulfield.

Jęknął.

W tym stanie nie mógł się jej pokazać. Powinien ją przeprosić, jak tylko zdoła sobie przypomnieć za co. Chwilowo nie miał jasności, jak daleko się posunął. Może on również powinien się schować? Problem w tym, że z tą pulsującą bólem głową nie był w stanie zwlec się z kanapy. Cecylia skuliła się za jej oparciem.

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i Riordan zmówił w duchu modlitwę, by nie zostały głośno zatrzaśnięte. Zamrugał powiekami, żeby poprawić ostrość widzenia. Wyglądało na to, że tylko dzieci bawiły się w chowanego, Maura najwyraźniej nie brała

udziału w zabawie.

- Dzieci, wiem, że tu jesteście. Koniec zabawy - powiedziała surowo. - Dzieci... - Zauważyła Riordana na sofie i stanęła jak wryta. - Och, milordzie, nie zauważyłam pana.

To było dość upokarzające, tym bardziej że poprzedniej nocy również go nie zauważyła.

Wyglądziła rękami fartuszek narzucony na sukienkę i wyraźnie walczyła, by nie wybuchnąć śmiechem. Nie takiej reakcji się spodziewał. Myślał, że będzie zakłopotana, tak jak on. Riordan rzucił wyzwanie losowi i usiadł. Bardzo powoli. Świat pozostał na swoim miejscu.

- Muszę pana przeprosić - powiedziała Maura i dygnęła w lekkim ukłonie.

To przypomniało Riordanowi, że to on powinien przeproszać za wczorajszy wieczór, niezależnie od tego, co zrobił. Ironia sytuacji nie umknęła jego uwadze i pewnie uśmiechnąłby się, gdyby nie pękająca z bólu głowa. On trapił się tym, że nie pamiętał, za co powinien ją przeprosić, a ona nie bała się, że może zostać zwolniona. A tymczasem nawet gdyby codziennie wstawiała w południe, to i tak nie mógł jej zwolnić w sytuacji, gdy Vale'owie rzucili mu wyzwanie. Byłoby po nim, gdyby zwolnił szóstą guwernantkę.

- Dzieci mi uciekły. Zaspałam. To się już więcej nie powtórzy. - Ewidentnie była poważnie zaniepokojona, że Riordan ją odprawi, a jednak mówiła z takim pośpiechem, jakby się obawiała, że jeśli na chwilę zamilknie, to parsknie śmiechem. Nie rozumiał, co ją tak rozbawiło.

- Dzieci, wyjdźcie z kryjówek. Maura was znalazła - zawołał Riordan. William i Cecylia z ociąganiem wypełzli, z wyrazem skruchy na twarzach. Dopiero w tym momencie Riordan naprawdę przyjrzał się sukni. To była kosztowna, doskonale skrojona kreacja, zdecydowanie zbyt piękna, by dziewczynka mogła ją znaleźć w dziecięcej garderobie. - Skąd wytrzasnęłaś tę suknię, Cecylia?

Cecylia wydeła usteczka, a w jej niebieskich oczach zaczęły się zbierać łzy.

- To sukienka panny Caulfield - odpowiedziała niemal szeptem. - Jest taka ładna, że chciałam ją przymierzyć.

Riordan rzucił Maurze błagalne spojrzenie. Wobec łez Cecylii czuł się całkiem bezradny. Zawsze tak było, nawet kiedy nie miał kaca. Maura wzięła dziewczynkę za rękę.

- Dama nigdy nie myszkuje w cudzych rzeczach bez pozwolenia. Z pewnością pokazałabym ci suknię, gdybyś o to poprosiła.

Maura miała surową minę, ale nie była zła. Guwernantka numer trzy, Żelazna Zołza, dałaby Cecylii po łapach - zrobiła to zresztą i właśnie z tego powodu nie zagrzała tutaj

miejsca. Mało brakowało, a Riordan własnoręcznie wyrzuciłby tę żołą na ulicę. Maura tymczasem wyciągnęła drugą rękę do Williama.

- Nie stało się nic takiego, czemu nie mogłoby zaradzić dobre śniadanie.

Podejrzewam, że właśnie głód wygnał was na dół. Na górze czekają na nas ropuszki w dołkach.

Zawstydzone spojrzenie Williama świadczyło o tym, że Maura właściwie odczytała zachowanie dzieci. Chłopiec był przyzwyczajony jadać na dole, więc zszedł na dół, kiedy zgłodniał.

- Wiesz, co to są ropuszki w dołkach, Will? - zapytała Maura. - To takie specjalne grzanki z otworami w środku, w które wkłada się kielbaski.

Will najwyraźniej nie mógł się doczekać powrotu do pokoju dzieciennego, ale Riordan nie zamierzał tak łatwo wypuścić Maury. Zaczekał, aż podejdzie do drzwi, rozmawiając z dziećmi, i dopiero wtedy ją zatrzymał.

- Mauro, kiedy usadzisz dzieci do jedzenia, zejdź do biblioteki. - Nie miał ochoty odbywać tej rozmowy w gabinecie, który był miejscem wczorajszej katastrofy.

Drzwi zamknęły się za nimi, został sam. Najwyższy czas wstać i przystąpić do realizacji planu. Przede wszystkim powinien się ogolić. Przesunął ręką po twarzy.

Co, do licha? Zerwał się raptownie, jakby zapomniał, że świat zacznie wirować przy każdym jego zbyt gwałtownym ruchu. Przytrzymał się oparcia fotela i powolutku ruszył w stronę lustra wiszącego na ścianie. Spojrzał i jęknął. Do diabła! Na obu policzkach miał wymalowane ciemnoróżowe kolorki, oczy - od brwi aż po kości policzkowe - grubo obwiedzione węglem, a na ustach czerwoną szminkę. Teraz rozumiał, dlaczego Maura z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Cecylia wymazała jego twarz taką ilością kosmetyków, jakby był cyrkowym klaunem.

W pół godziny później Maura stała pod drzwiami biblioteki i zbierała się na odwagę. Czowała, że zamierzał ją zwolnić. Najchętniej sama zabawiłaby się w chowanego, żeby uniknąć konfrontacji z Riordanem Barrettem i nie usłyszeć złych wiadomości. Dzień rozpoczął się marnie. Zaspała, wskutek czego dzieci wypacykowały twarz wuja miesięcznym zapasem kosmetyków. Nie wspominając już wieczornego incydentu z pocałunkiem.

Nie trzeba było mieszkać w Londynie, żeby znać świat i wiedzieć, co może wyniknąć z całowania się z pracodawcą. Nawet w Devonshire wiedziano, że winę za to zawsze ponosiła kobieta. Zatem to jej wina, że baron Wildeham dopadł ją w spizarni wuja, bo gdy odrzuciła jego awanse, nazwał ją dręczycielką. I to również jej wina, że lord Chatham pocałował ją, będąc pod wpływem alkoholu i nie do końca wiedząc, co czyni.

Gdzie miała teraz pójść? Co zrobi? Pani Pendergast bardzo jasno zapowiedziała, że Maura nie miała po co wracać do agencji. Może hrabia da jej referencje? Ale spodziewać się tego to byłby chyba nadmiar optymizmu. Spędziła w jego domu zaledwie trzy dni. Już sobie wyobrażała, jak mogłyby one wyglądać: „Zainteresowanych usługami panny Caulfield informuję, że za dnia lubi puszczać latawce, a nocą całować się”. Nie na wiele by się zdały.

Maura starała się nie wpaść w panikę. Jeszcze nie została odprawiona. Nie powinna się poddawać, trzeba myśleć pozytywnie i...

- Nie zamierza pani wejść do środka? - Lord Chatham stanął w drzwiach biblioteki, świeżo ogolony, ubrany w brązowe bryczesy i ciemnozielony żakiet. I na szczęście, bez makijażu. - Już kilka minut temu pani spódnica mignęła mi na korytarzu. Myślałem, że zaraz pani wejdzie, ale skoro nie zrobiła pani tego, postanowiłem wyjść na poszukiwania. - Gestem ręki zaprosił ją do pokoju i przymknął nieco drzwi. Najwyraźniej chciał jej powiedzieć coś, co wymagało dyskrecji.

Biblioteka była imponującym, wyłożonym ciemną boazerią pomieszczeniem, od podłogi do sufitu biegły półki pełne książek. Jedną ze ścian zdominował rzeźbiony kominek, przy którym ustawiono sofę i fotele. Środek pokoju zajmował długi stół do czytania. To bardzo męskie i oficjalne pomieszczenie zdecydowanie kontrastowało z charakterem swego właściciela. Wątpiła, by lord Chatham spędzał tu wiele czasu. Nie żeby nie był męski - co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości - ale z całą pewnością nie był tak oficjalny.

Zaprosił gestem, by usiadła na sofie, co stanowiło kolejne potwierdzenie, że nie przywiązywał wagi do form. Pracownicy nie przyjmowali zazwyczaj reprimendy na siedząco. Oboje stali przed wielkim biurkiem, wyłamując sobie palce ze zdenerwowania.

- Mogła mi pani przynajmniej o tym powiedzieć. - Wskazał na swoje gładko wygolone, wolne od kosmetyków policzki.

Maura zarumieniła się.

- Pewne rzeczy lepiej odkryć samemu.

- Następnym razem proszę mi jednak powiedzieć. - Uśmiechnął się szeroko i w sercu Maury zabłysła iskierka nadziei.

- Następnym razem, milordzie?

- Z pewnością będą następne razy, Mauro, z dziećmi nie może być inaczej. I proszę się wreszcie odprężyć. Nie zamierzam pani zwolnić. - Lord Chatham parsknął śmiechem, jego swoboda stanowiła całkowite przeciwieństwo sztywnej z napięcia Maury.

- Nie zwolni mnie pan? - powtórzyła, jakby chciała się upewnić, że dobrze usłyszała. Poczwała ulgę. Była bezpieczna.

- Nie zwolnię. Znalazłem się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji, ponieważ muszę prosić panią o wybaczenie i o przysługę równocześnie. - Oparł ręce na kolanach i pochylił się do przodu. - Bardzo przepraszam, jeśli wczorajszej nocy zdenerwowałem panią swoim zachowaniem.

Maura pomyślała, że trudno określić to, co się wydarzyło jako denerwujące. Raczej stymulujące czy podniecające. Nie zamierzała go jednak o tym informować. Nie potrzebował dodatkowej zachęty. Przybrała więc możliwie najbardziej oficjalny ton.

- To był tylko pocałunek, lordzie Chatham. - Z udziałem rąk, ciał, języków, najbardziej poruszający i namiętny pocałunek, daleko przewyższający wszystko, czego dotychczas w życiu zaznała. W błękitnych oczach Barretta dostrzegła wyraźną ulgę, która kazała jej zwątpić, czy pamiętał cokolwiek z tego, co razem robili. Do licha! Każda dama pragnie być zapamiętana.

Lord Chatham odchrząknął.

- Nie byłem sobą, jak słusznie pani zauważyła. Mam na swoje usprawiedliwienie tylko tyle, że zostałem doprowadzony do rozpacz i szczerze proszę panią o wybaczenie.

Podwójne do licha! Rozpacz skłoniła go do całowania jej? Nie na takie romantyczne przeprosiny liczyła; spodziewała się raczej czegoś w rodzaju „zachłyśnięcia się pani urodą” czy „zniewolenia przez pani wdzięk”. Jaka była właściwa reakcja na tego typu wyznanie? Maura nie знаła żadnej.

- Przyjmuję przeprosiny, lordzie Chatham.

- Już po raz trzeci nazwała mnie pani lordem Chatham w ciągu ostatnich pięciu minut. Myślałem, że skończyliśmy z tym minionej nocy. - Utkwił w niej pytające spojrzenie, jakby prowokował ją do sprzeciwu.

- O ile sobie przypominam, ta kwestia nie została rozstrzygnięta. Pan uznał to za znakomity pomysł, a ja za marny. Znaleźliśmy się więc w impasie. - Zwracanie się do siebie po imieniu to poufalość, na którą nie mogła sobie pozwolić. Dla własnego dobra. Już to, że ilekroć spojrzała na Chathama, myślała o pocałunku i o jego rękach obejmujących jej biodra, było wystarczająco złe. Ale gdyby zaczęła myśleć, że te ręce, te wargi należały do Riordana, to tak, jakby go ponownie zapraszała albo gorzej - jakby tego pragnęła.

- Chciał mnie pan prosić o jakąś przysługę? - Maura zmieniła temat w nadziei, że skłoni go w ten sposób do porzucenia kwestii imion.

- Tak, o ogromną przysługę. Podczas naszego wspólnego obiadu mimowolnie zwróciłem uwagę na pani nienaganne maniery przy stole i doszedłem do wniosku, że mogłaby mi pani pomóc w pewnej sprawie. - Urwał na chwilę, najwyraźniej szukał

odpowiednich słów, odpowiednich argumentów, by ją przekonać. - Chciałbym prosić, żeby pomogła mi pani zorganizować przyjęcie dla niewielkiej grupy osób, niezbyt wystawne ze względu na żałobę po śmierci brata.

Zdziwiła ją próba zminimalizowania niestosowności tej prośby. Jeszcze wczoraj lord Chatham był autentycznie przybity śmiercią brata. Słyszała w jego głosie prawdziwy ból, nosił czarną opaskę na rękawie. Nie mieściło jej się w głowie, że w ogóle pomyślał o przyjmowaniu gości. Z drugiej strony jednak uczestniczył przecież w życiu towarzyskim. Pierwszego wieczoru, który spędziła pod jego dachem, nie mógł się już doczekać, by rzucić się w wir rozrywek.

- Skoro jest pan w żałobie, lordzie Chatham, to czemu w ogóle wydaje pan przyjęcie? Chwilę wpatrywał się w swoje splecione na kolanach dłonie.

- Zrozumiałem, że muszę się ożenić. I to szybko. Nie mogę sobie pozwolić na luksus odwlekania małżeństwa do przyszłego roku. Muszę wykorzystać ten sezon. - Obdarzył ją smętnym uśmiechem. - Przynajmniej raz moja reputacja na coś się przyda. Nikt nie oczekuje, że przez pół roku będę przestrzegał żałoby. Wystarczy, że zachowam umiar, a wszyscy chętnie przymkną oko na moje grzeszki, szczególnie jeśli dzięki temu jedna z ich córek będzie miała szansę poślubić hrabiego. Młodzi arystokraci stanu wolnego nie rodzą się na kamieniu.

A więc zamierzał się ożenić! Całował ją, planując małżeństwo z inną?

- Rozumiem - powiedziała lakonicznie. - Z kim?

- Z jedną z nich. - Machnął ręką z lekceważeniem. - Nieważne z którą, bylebym się ożenił. Właśnie dowiedziałem się od adwokata, że muszę zapewnić dzieciom opiekę macierzyńską.

- Rozumiem - stwierdziła znowu.

- Wątpię. - Oparł się plecami o oparcie fotela. - Zrobi to pani? Zorganizuje pani eleganckie przyjęcie dla kilku młodych dam?

A czy miała jakiś wybór? Czy mogła odmówić pracodawcy, choć to nie oznaczało bynajmniej, że podobał się jej ten pomysł? Przyjęcie oznaczało zaproszenie do domu licznych gości, a im mniej osób przychodziło do rezydencji lorda Chatham, tym mniej osób miało szansę zobaczyć Maurę. Zdecydowanie bardziej odpowiadała jej ścisła, tradycyjna żałoba. Przypomniała sobie jednak, że miała jedynie zorganizować przyjęcie. Nie musiała w nim uczestniczyć.

- Kiedy ma się odbyć to przyjęcie?

- Pod koniec miesiąca.

- Czyli mam na wszystko tylko dwa tygodnie! - zawołała Maura. - Nie wiem, czy starczy mi czasu. Trzeba zaplanować menu, wypisać i rozesłać zaproszenia. Nie wiem nawet, kto powinien się znaleźć na liście gości. - Maura pomagała ciotce w organizacji przyjęć, a właściwie więcej, niż pomagała, ponieważ roztrzepana ciotka zapominała o wielu drobiazgach. Maura wiedziała więc doskonale, ile pracy wymagało przygotowanie udanego przyjęcia.

- Moja ciotka Sophie pomoże pani sporządzić listę gości - odparł lord Chatham takim tonem, jakby to rozwiązywało wszelkie problemy. - Zresztą, co w tym trudnego? Zaproszenie kilku osób i postawienie jedzenia na stole.

Maura wyprostowała się na całą wysokość.

- Zapewniam pana, lordzie Chatham, że przyjęcie to coś znacznie więcej niż, jak pan to określił, „postawienie jedzenia na stole”.

Uśmiechnął się, w jego oczach zamigotały iskierki satysfakcji.

- W takim razie dziękuję Bogu, że przygotowania spadną na panią, a nie na mnie. Ja nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć, a pani najwyraźniej wie.

William i Cecylia wymienili zdumione spojrzenia i po cichutku odeszli spod drzwi.

- Małżeństwo! Wujek Ree zamierza się żenić!

William wciągnął Cecylię do niewielkiego pokoiku w głębi korytarza i zamknął drzwi.

- Ja nie chcę, żeby wujek Ree się ożenił - nadała się Cecylia.

- A przynajmniej nie z kimś, kogo nie lubimy - mruknął William. - Pamiętasz te wszystkie panie, które przychodziły na herbatę do taty Elliotta? Były okropne. I nie przepadały za nami. - Tata Elliott wyjaśnił im, że małżeństwo to obowiązek hrabiego. Ale te panie wcale nie stały się przez to miłsze. A im były bogatsze, tym gorsze. Teraz wujek Ree został hrabią i on również musi się ożenić.

Cecylia wydała głośne prychnięcie.

- Te panie, które przychodziły z wizytą do taty Elliotta wcale nie chciały się z nami bawić. Chcę, żeby wujek Ree znalazł sobie taką żonę, która będzie się z nami bawiła. Bo inaczej koniec ze zjeżdżaniem po poręczach.

- W tym rzecz, Cee-Cee! - zawołał William. - Zrobimy listę cech, które powinna mieć żona wujka Ree. Jeśli on ożeni się z kobietą, którą my polubimy, to zupełnie co innego.

Cecylia podniosła głowę.

- Powinna być ładna i ślicznie pachnieć.

William kiwnął głową.

- Powinna się z nami bawić. I zabierać nas do parku.

Cecylia pokręciła główką.

- Gdzie my znajdziemy taką panią?

Ramiona Williama opadły bezradnie.

- Nie wiem. - Pocierał czoło, przebiegając w myślach nieliczne znane sobie damy.

Ośmioletni chłopcy nie znają zbyt wielu kobiet. Ale jedną znał. Naraz rozpromienił się. -

Cee-Cee, a co powiesz na pannę Caulfield?

Cecylia przechyliła głowę na bok i zamyśliła się.

- Szósta jest ładna, ślicznie pachnie i bawi się z nami.

- Zmusza nas do nauki - włączył się William - więc jest dość stanowcza.

- Moglibyśmy co rano dostawać ropuszki w dołkach i żołnierzyki! - Podekscytowana

Cecylia zaczęła dostrzegać plusy takiego mariażu. - Co zrobimy?

- Nooo... - William przez chwilę rozważał poważnie tę kwestię. - Myślę, że przede wszystkim powinniśmy ich zmusić, żeby się w sobie zakochali.

- Tylko tyle? - Cecylia uśmiechnęła się. - To łatwe. Opowiemy jej o wszystkim, co wujek Riordan z nami robi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poszło dobrze. Zdziwiająco dobrze. Riordan uczcił sukces drinkiem w bibliotece. Maura nadal tu była, pomimo tamtego namiętnego, choć niestosownego pocałunku. Nie zmyła mu głowy za narzucanie się jej pod wpływem alkoholu i zgodziła się spełnić jego prośbę. Niesamowite, pomyślał Riordan. Tak niesamowite, że uznał za stosowne wysłać do pani Pendergast list z zapytaniem, skąd agencja wytrzasnęła guwernantkę idealną, która przywiozła ze sobą jedwabne suknie i potrafiła nie tylko puszczać latawce, ale również organizować przyjęcia dla hrabiów... i jeszcze całuje jak syrena. Po namyśle postanowił jednak pominąć tę ostatnią zaletę, bo w oczach pani Pendergast nie znalazłaby przypuszczalnie uznania, choć on sam wysoko ją sobie cenił.

Całował już mnóstwo kobiet, w większości równie doświadczonych jak on. Maura była inna - bez wątplenia naiwna i niewinna, ale namiętna z natury. Kiedy już zaczął ją całować, nie miał ochoty przestać. Zwyciężyły jednak resztki trzeźwości i pozwolił jej odejść. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że tak było lepiej. Problem w tym, że wciąż chciał więcej; że chciał rozkoszować się znowu jej ustami, chciał ją znowu ośmielić, ale tym razem z czystej żądzy, a nie jakiejś głupiej zabawy w uwodziciela.

Pocałunki nie były jedyną umiejętnością Maury Caulfield, która budziła jego uznanie. Nie przeoczył jej reakcji na widok Cecylii wystrojonej w jej suknię balową. A właściwie braku jakiegokolwiek reakcji. Należałoby się bowiem spodziewać, że kobieta o ograniczonych środkach finansowych przeżyje szok na widok swej najpiękniejszej kreacji na pozbawionej kobiecych kształtów siedmiolatce, która właśnie wymazała kosmetykami twarz wuja. Tymczasem Maura nie wpadła w panikę ani nie skarciła dziewczynki. Może miała jeszcze inne jedwabne suknie? Może, jak podejrzewał, zwykła na co dzień chodzić w jedwabkach?

Riordan roześmiał się na głos, uświadomiwszy sobie, że snuje fantazje na temat sekretnej życia swej guwernantki. Rozmyślania na temat Maury były jednak znacznie przyjemniejsze od pisania listu do ciotki. Wiadomość, że ma pełnić honory pani domu podczas przyjęcia, które zamierzał wydać za dwa tygodnie, z pewnością przyprawi ją o spazmy.

Ciotka Sophie była rozświergotaną, małą kobietką, a wuj Hamish chuderlawym fircykiem, który wyróżniał się tylko tym, że posiadał wysoki faeton, którym czasami pozwalał

Riordanowi przejechać się wokół miasta. To jednak była właściwie jedyna rodzina, jaka mu pozostała. Przyjęcie miało zostać wydane tutaj, w Chatham House, a nie mógł zaprosić młodych dam do domu, w którym brakowało gospodyni. Zresztą ciotka Sophie, pomimo swego dziwnego zachowania, będzie wiedziała, kogo zaprosić. Resztę weźmie na siebie Maura.

I znowu wrócił do tematu, od którego próbował uciec. Wyglądało na to, że wszystko prowadziło do Maury. Riordan wiedział z własnego doświadczenia, że z taką obsesją trudno walczyć. Zazwyczaj jeśli nie potrafił uwolnić się od myśli o jakiejś kobiecie, to zaczynał się do niej zalecać, ale z Maury Caulfield nie powinien robić sobie zabawki. Zresztą teraz należało skoncentrować się na popołudniowym spotkaniu z prawnikami Vale'ów, upomniął się, które z pewnością nie będzie jedynym, a raczej pierwszym z wielu. Mogło się okazać, że korowody prawne potrwią cały tydzień, zanim Riordan zdoła w końcu ich zniechęcić, i miał nadzieję, że to zmusi go do trzymania się z dala od pokoju dziecinnego i od Maury.

Riordan odsunął się od biurka. List do ciotki Sophie mógł poczekać. Teraz musiał się przejść.

Acton Humphries rzucił na biurko ciężką sakiewkę. Wreszcie zaświtała iskierka nadziei. Paul Digby wrócił do przydrożnych zajazdów i pytał o rysopisy pasażerek, które przewinęły się tam w okresie zniknięcia Maury. Detektywi Lucasa Hardinga ograniczyli się do sprawdzenia nazwisk pasażerów na listach przewozowych. A nazwiska mogły być fałszywe. Digby zrozumiał to, inaczej sformułował pytanie i dzięki temu wreszcie odniósł pewien sukces. Barman w jednym z przydrożnych zajazdów zapamiętał rudowłosą dziewczynę, która wykupiła miejsce w dyliżansie pocztowym do Londynu pod nazwiskiem Ellen Treywick. Informacja ucieszyła Actona, ale i przeraziła zarazem. Wreszcie trafili na nią prowadzącą do celu, ale potwierdziły się jego obawy. Maura była w Londynie, zdana na łaskę i niełaskę wielkiego miasta, o którym nic nie wiedziała.

Stojący po drugiej stronie biurka potężny mężczyzna nie odrywał oczu od sakiewki i starannie ważył słowa, by ten fascynujący obiekt nie zniknął ponownie w czeluściach szuflady.

- Muszę uczciwie przyznać, sir, że to nie musiała być panna Harding. Na liście pasażerów nie znalazłem jej nazwiska, a na świecie jest mnóstwo rudowłosych kobiet.

- Ale to mogła być ona. - Acton wstał z fotela, podszedł do okna i wyjrzał na ogród. Chciał wykorzystać szansę, jaką dawał rysopis. - Jest wystarczająco inteligentna, by posłużyć się fałszywym nazwiskiem. A ponieważ nie mamy żadnych innych tropów, musimy przyjąć, że ta „Ellen Treywick” to ona. Może to nazwisko pozwoli nam odnaleźć ją w Londynie.

Maura w Londynie! To było podniecające. Na samą myśl o tym krew w nim zawrzała. Pozostawało jednak pytanie: gdzie dokładnie? Acton postawił je Digby'emu.

- Dokąd mogła pójść? Co mogła zrobić? - Pewne możliwości z góry wykluczył. Maura z pewnością nie znajdzie sponsora, który sfinansuje jej sezon. Harding nie miał w Londynie takich koneksji, nawet gdyby dziewczyna w swej głupocie była gotowa z nich skorzystać. Bo przecież pojawienie się u któregoś z nielicznych londyńskich znajomych wuja było równoznaczne z wysłaniem do domu listu z aktualnym adresem.

Ten tok rozumowania zakładał, że Maura była bezpieczna i mogła swobodnie kierować swoimi krokami. Acton miał nadzieję - ze względu na własny egoistyczny interes - że Maura nie wylądowała w slumsach lub, co gorsza, w jakimś burdelu. Chciał dostać ją czystą i nietkniętą, by osobiście ją poskromić. Decydujące znaczenie miało tempo i efektywność działania.

- Ja na jej miejscu ukryłbym się, sir - odpowiedział Digby po chwili namysłu. - Schowałbym się tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie.

- Gdzie? Ty jesteś mężczyzną, Digby, masz wiele możliwości. Co może kobieta?

- Pracować, sir. Musi znaleźć pracę.

- W takim razie zacznij poszukiwania od magazynów z odzieżą. Maura umie szyć, więc niewykluczone, że znalazła tam zatrudnienie. - Spodobał mu się ten pomysł. To miało sens. - Pakuj się, Digby, jedziemy do Londynu.

- My, sir?

- Tak, jadę z tobą. - Podjął tę decyzję pod wpływem impulsu, ale nie miał ochoty czekać, aż Digby przywiezie Maurę z powrotem do domu. Chciał być przy tym, jak ją dopadnie; chciał widzieć jej twarz w momencie, kiedy zrozumie, że gra skończona. Za trzy dni powinni dotrzeć do Londynu.

Minął już tydzień, a jeszcze nie udało jej się omówić z lordem Chatham harmonogramu zajęć dzieci. W rezultacie Cecylia i William wystawiali jej cierpliwość na ciężką próbę. Każdego dnia budzili się z nadzieją, że wujek Ree zburzy cały plan dnia, i kładli się spać zawiedzeni. Ten dzień przebiegał podobnie. Maura nie pamiętała już, ile razy musiała odwoływać Williama od okna i ponownie zwracać jego uwagę na zadania z arytmetyki. Przez cały tydzień utrzymywała się piękna pogoda, więc dzieci nie traciły nadziei, że wujek Ree wpadnie niespodziewanie i przerwie lekcje. Energia dosłownie je roznosiła, a tego dnia były szczególnie trudne do utemperowania. Maura była kompletnie wykończona.

- Spróbujmy jeszcze raz - zwróciła się łagodnie do Williama, który znowu pomylił się w tabliczce mnożenia. - Ile jest cztery razy siedem?

- Dwadzieścia jeden. Nie, dwadzieścia osiem - poprawił się szybko nadąsany William. Był równie rozdrażniony jak ona. Skrzyżował ramiona na znak sprzeciwu. - Wolę arytmetykę z wujkiem Ree niż te głupie, stare metody.

- Z pewnością. - Cierpliwość Maury była już na wyczerpaniu. Miała na końcu języka cierpką uwagę, że wolał arytmetykę z wujkiem Ree, bo wujek bardzo rzadko zapędzał go do nauki. Nie mogła się jednak zmusić do deprecjonowania swego pracodawcy. Przez cały tydzień dzieci w kółko opowiadały o wujku Ree i o tym, co z nim robiły: jak bawili się razem w chowanym, jak zawsze dostawały od niego najwspanialsze prezenty na Gwiazdkę, jak ich uczył cudownych gier. Było oczywiste, że dzieci go uwielbiały.

Jednak pomimo swych heroicznych cnót od czasu wyprawy do parku „wujek Ree” pokazał się tylko kilka razy i dzieci bardzo za nim tęskniły. Ona również, przyznała Maura przed sobą. Kiedy był w pobliżu, w powietrzu czuć było energię, niemal iskry latały, bo nigdy nie było wiadomo, co się stanie za chwilę.

- Nie rozumiem, co mi przyjdzie z tabliczki mnożenia - nadął się William.

- Matematyka przydaje się do prowadzenia domu i finansów. Kiedy będziesz starszy, dostaniesz kieszonkowe i będziesz chciał wiedzieć, jak dysponować pieniędzmi, żeby wystarczyły do następnej wypłaty. - Maura starała się wytłumaczyć mu korzyści płynące z matematyki na praktycznym przykładzie. Takiej samej lekcji udzieliła jej przed laty mama, kiedy uczyła ją prowadzenia gospodarstwa domowego. To podsunęło jej pomysł. Może następnego dnia urządzi „gospodarstwo domowe” dla Cecylii i Williama, aby wprawiały się w gospodarowaniu.

William wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie zrobiła na nim wrażenia.

- Jak mi zabraknie pieniędzy, to je wygram, jak wujek Ree. Wujek Ree pokazał mi, jak się to robi. - Oczywiście, pomyślała Maura. Lord Chatham nie tylko po mistrzowsku puszczał latawce, ale był również hazardzistą. Nie powinna być tym zdziwiona. Wielu dżentelmenów uprawiało hazard, także jej wuj Lucas. Ale lord Chatham powinien to robić dyskretniej, żeby nie zarazić nałogiem dzieci.

- Mnie też pokazał. - Cecylia podniosła oczy znad kreślonych na tabliczce literek alfabetu. - Postawię swoje pieniądze i będę najbogatszą dziewczynką w Londynie.

To zadecydowało. Maura postanowiła, że od następnego dnia będzie ich uczyć prowadzenia gospodarstwa. Powinna również zrobić im wykład o niewłaściwości hazardu, ale ciekawość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem.

- A co właściwie wujek wam pokazał?

- Stawki. - William rozpromienił się. - Jeśli jest osiem do pięciu, to znaczy, że

dostajesz osiem funtów za pięć postawionych, czyli masz trzy funty zysku. Więc jeżeli postawię dziesięć funtów na konia, zarobię osiemdziesiąt funtów. Gdyby stawka była sześć do pięciu i postawiłbym piętnaście funtów, to dostałbym siedemdziesiąt dwa; już nie tak dobrze. - William przez dłuższą chwilę kontynuował obliczenia, mnożąc i dzieląc w takim tempie, do jakiego nie zdołała go zmusić przez całe popołudnie.

Maura nie mogła się zdecydować, czy pochwalić go za biegłość w mnożeniu, czy pouczyć go surowo o żalosnych skutkach hazardu, które odczuła na własnej skórze. W końcu zdecydowała się na łagodną reprimendę.

- Przez cały czas przyjmujesz założenie, że wygrasz. A przecież gdyby wszyscy wygrywali, to bukmacherzy nic by nie zarabiali.

- Ja wygram - zapewnił William bez śladu niepokoju, że mógłby znaleźć się wśród przegranych. - Wujek Ree powiedział mi, na co zwracać uwagę, jak się obstawia konia: przede wszystkim na długość kości śródstopia.

- Mam nadzieję, że kiedy dorośniesz, będziesz stawiał rozsądnie, Williamie. To znaczy wyłącznie takie sumy, na których stratę będziesz mógł sobie pozwolić. - Tym razem ton Maury był bardzo stanowczy. Lord Chatham najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak podatne na wpływy były dzieci w tym wieku.

- Wiem! - zawołała Cecylia z pełną aprobatą. - U White'a był pewien dzentelmen, który przegrał w karty swój dom i potem nie miał gdzie mieszkać.

- U White'a? - Nawet Maura słyszała o tym elitarnym klubie. - Skąd o tym wiesz? To klub dla dzentelmenów. - Jeśli lord Chatham powtarzał dzieciom historie zasłyszane podczas nocnych hulank, to będzie musiała przestrzec go, by tego nie robił. Tego typu opowieści nie nadawały się dla dziecięcych uszu.

- Byliśmy tam. Wujek Ree nas zabrał.

- Byliście tam? - powtórzyła Maura z niedowierzaniem.

- Po odejściu guwernantki numer Cztery nastąpiła przerwa, zanim pojawiła się Piąta - wyjaśniła Cecylia. - Wujek Ree zabrał nas ze sobą parę razy wieczorem. Siedzieliśmy w kuchni i zajadaliśmy biszkopty z cukrem, ale kucharz pozwalał nam zaglądać przez szparę w drzwiach, kiedy działo się coś ciekawego.

Najwyraźniej „ciekawie” było, gdy ktoś przegrywał dom w karty. Cecylia posmutniała na chwilę.

- Mam nadzieję, że niedługo tam znowu pójdziemy. Tym razem będzie jeszcze lepiej, bo ty wybierzesz się z nami.

Wykluczone! - pomyślała Maura, ale wreszcie zrozumiała, dlaczego dzieci były tak

roztargnione. Tęskniły za wujkiem. Ostatnio lord Chatham rzadko się pokazywał w pokoju dzieciennym. Nie było więcej wypraw do parku ani przerywania zajęć. W rezultacie dzieci były rozczarowane, a ona sama spięta. Przez cały tydzień go wyglądała, spodziewała się, że w każdej chwili może zmaterializować się nagle w progu pokoju dzieciennego albo wezwać ją na obiad.

Potem przekonywała samą siebie, że lepiej, że tak się nie stało. Była zajęta pracą z dziećmi i przygotowaniem przyjęcia. Nie miała czasu na żadne niespodzianki. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że - podobnie jak dzieci - czuła się nieco rozczarowana i odrobinę zła. Lord Chatham nie powinien odnosić się do dzieci tak niefrasobliwie. To nie zabawki, które można rzucić w kąt, kiedy się znudzą, a zaczynała się obawiać, że tak właśnie się stało w tym wypadku. Przez miesiąc bawił się w ojca i teraz miał już tego dość.

To zadecydowało. Maura postanowiła, że jeśli lord Chatham nie pojawi się przed położeniem dzieci spać, to ona poszuka go i poprosi o posłuchanie. Dzieci potrzebowały uporządkowanego trybu życia, w tym regularnych spotkań z wujkiem. Po wszystkich nieszczęściach, jakie na nie spadły, zasługiwały na stabilizację i poczucie bezpieczeństwa.

Do siódmej po południu lord Chatham się nie pokazał, nie było go w domu, jak poinformował Fielding. Przez cały dzień miał spotkania i jeszcze nie wrócił. Służący przypuszczał, że pan przebierze się w klubie i w ogóle nie wróci do domu przed wieczornymi imprezami towarzyskimi.

Maura postanowiła zaczekać. Zasiadła z szyciem i książką w niewielkiej bawialni i nastawiła się na długie oczekiwanie. Tutaj bez wątplenia od razu usłyszy kroki wracającego do domu hrabiego.

Wrócił zaraz po jedenastej. Maura odłożyła robótkę, serce waliło jej jak młotem. Miała cztery godziny, by przemyśleć wszystko, co mu chciała powiedzieć; długie cztery godziny, by wzmocnić swe święte oburzenie z powodu jego całotygodniowego lekceważenia. Wyszła do ciemnego holu.

- Lordzie Chatham, możemy zamienić parę słów?

Zatrzymał się, jego ramiona opadły ledwie zauważalnie, ale nie odwrócił się.

- Czy to nie może poczekać do rana?

Był zmęczony. Zabawne, nie wyobrażała sobie, że mógłby odczuwać zmęczenie. Zawsze był tak pełen życia... Postanowiła nie dać się zbyć i oparła ręce na biodrach.

- Nie. Musimy wreszcie porozmawiać o rozkładzie dnia dzieci. Odkładamy to już od tygodnia i wskutek tego mam za sobą upiorny dzień. Dzieci również. Tęsknią za panem.

Wzmianka o dzieciach dokonała cudu. Odwrócił się i wyprostował ramiona. Musiała

przyznać, że w ciemnym, wieczorowym ubraniu prezentował się imponująco, nawet gdy był bardzo zmęczony. Na jego twarzy pojawił się charakterystyczny, łobuzerski uśmiech, który natychmiast odmienił jego wygląd.

- A więc mamy ze sobą coś wspólnego. Dla mnie ten dzień również był upiorny. - Zbliżył się do Maury, jakby chciał jej powierzyć jakiś sekret. - Ma pani szczęście. Tak się składa, że znam doskonały sposób na upiorne dni. Potrzebujesz drinka, Mauro Caulfield.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Nie potrzebuję drinka - wymamrotała, wchodząc z Riordanem do bawialni. - Potrzebuję rozmowy o planie zajęć dzieci.

Musiała rzeczywiście mieć za sobą upiorny dzień, skoro czekała na niego, choć zwykle o tej porze już dawno leżała w łóżku, pomyślała. Wedle jego standardów noc była jeszcze młoda, ale ona rozpoczęła dzień znacznie wcześniej od niego.

- Ależ tak, potrzebuje pani. Znam się na tym. - Riordan podszedł do stojącej na bocznym stoliku karafki i nalał brandy do dwóch kieliszków. Jeden z nich podał Maurze, nie zważając na jej protesty, i wznosił toast. - Za upiorne dni, moja droga. Proszę pić powoli, bo jeśli ktoś nie jest przyzwyczajony, to alkohol pali w gardle.

Posłuchała, ale nie odrywała od niego spojrzenia, na wypadek gdyby miał złe zamiary. Uśmiechnął się, odstawił kieliszek i usiadł w fotelu naprzeciw sofy, na której zajęła miejsce ona.

- A teraz proszę mi opowiedzieć o tym dniu. - Nie mógł być gorszy od jego spotkania z Vale'ami i chmarą ich doradców prawnych. Stary pesymista Browning nie mylił się. W razie potrzeby byli gotowi obalić ostatnią wolę Elliotta. Dzisiaj niedwuznacznie dali mu do zrozumienia, że jeśli nie przekaze im dzieci bezzwłocznie, to wniosą sprawę o unieważnienie testamentu. W tym momencie Riordan zerwał się z miejsca i złapał prawnika numer jeden za fraki i trząśł nim tak długo, aż ten odzyskał odrobinę rozumu.

- Musimy porozmawiać o Williamie i Cecylii. To świetne dzieciaki, ale kompletnie rozpuszczone. Te wycieczki i zabawki, których mają tyle, że nie nadążają się nimi bawić, nie wyszły im na dobre. Bardzo źle zniosły ten tydzień. - Przełknęła kolejny łyżeczek brandy.

- Piękna pogoda tak działa na dzieci. - Riordan kiwnął głową, nie odrywając oczu od jej szyi, gdy złocisty płyn powoli spływał jej do gardła.

- Podobnie jak ukochani wujkowie. Przez cały tydzień czekały na pana, każdego dnia liczyły, że wreszcie się pan pojawi. I codziennie przeżywały rozczarowanie. - Rzuciła mu surowe spojrzenie sponad krawędzi kieliszka. - Zorientowałam się również, że zwykł pan zabierać je do White'a.

A więc dowiedziała się o tym, pomyślała. Powinien był ostrzec dzieci, by bardziej uważały na słowa. Riordan wzruszył ramionami.

- White to nie dom publiczny, Mauro. Dzieci zostawały w kuchni. Na pewno to przeżyją. - Przechylił głowę na bok i przyjrzał się jej badawczo. - Pytanie tylko, czy pani to przeżyje.

Wyglądała na bardzo zmęczoną. Dostrzegł cienie pod jej zielonymi oczami. O tej porze powinna już spać, ale wysoko upięte włosy i sukienka z niebieskiego muślinu świadczyły o tym, że jeszcze się nie kładła. Czy naprawdę czekała na niego tylko po to, żeby porozmawiać o dzieciach?

Nalał sobie drugi kieliszek. Jej był jeszcze do połowy pełny.

Pobiegła wzrokiem do karafki.

- Czy ma pan karafkę w każdym pokoju?

Kiwnął głową z poważną miną, chciał wywołać na jej twarzy uśmiech.

- Tak, trudno przewidzieć, kiedy człowiekowi przyjdzie ochota na kieliszek.

Większość z tych karafek przywiozłem z Wenecji.

Uśmiechnęła się. Grzał się w ciepłe tego uśmiechu.

- Bardzo pan lubi Wenecję.

Uwielbiał, kiedy się uśmiechała i kiedy wybuchała głośnym śmiechem, choć wiedziała, że nie powinna. Gdyby tylko częściej tak się do niego uśmiechała... Ale musiałyby częściej być przy nim, a nie był pewien, czy w obecnym stanie rzeczy to rozsądne.

- Lubię. Bezspornie to były najlepsze lata w moim życiu.

Wypiła kolejny łyk brandy, zaczynała się przyzwyczajać do szczypania alkoholu na języku. Zrzuciła z nóg pantofle i schowała bose stopy pod spódnicę.

- Proszę mi opowiedzieć o Wenecji.

Zaczął mówić i nagle odkrył, że nie potrafił powstrzymać potoku słów. Opowiedział jej, jak razem z przyjaciółmi - Ashe'em, Merrickiem i Jamiem - wyruszyli na wielką wyprawę; opowiedział o dniach spędzonych w Wiedniu przed wyjazdem do Włoch, o figlach, jakie płątali w czasie karnawału, i o przyjęciu, jakie wydali w domu obcego człowieka.

- Wydrukowaliśmy nawet zaproszenia z jego adresem.

- A on nic nie wiedział? - Na roześmianej twarzy Maury pojawił się wyraz niedowierzania.

- Nic. Zorientował się dopiero po powrocie do domu, który już z daleka jarzył się światłami. Miał wspaniały, kryształowy żyrandol, który widać było nawet z Wielkiego Kanału, jeśli płonęły w nim świece. - Na to wspomnienie również Riordan parsknął śmiechem. To był jego pomysł. Do końca karnawału wszyscy w Wenecji, także hrabia, któremu splotali tego figła, żartowali, że najlepszy bal w mieście został wydany pod

nieobecność gospodarza.

Maura wytarła zażawione od śmiechu oczy.

- Ja nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś równie skandalicznego. Chociaż raz, wspólnie ze starszą kuzynką, zamówiliśmy dla starej panny Templeton prenumeratę plotkarskiej gazety, o której wypowiadała się z największą odrazą. Długo oszczędzałyśmy na subskrypcję, ale było warto! To było świętoszkowate babsko, które miało się za autorytet w dziedzinie moralności i nie omieszkalo wszystkich pouczać. Wiedziałyśmy, że ogarnie ją autentyczna zgroza, kiedy w swojej pocztce znajdzie to skandaliczne pisemko... I będzie dla niej jasne, że pocztylion włożył ją między jej listy i widział adres. - Maura puściła do niego oko. - A pocztylion był strasznym plotkarzem. W ciągu paru godzin mówiła o tym cała wieś.

- Mauro Caulfield, jest pani okropną psotnicą. - Riordan roześmiał się i napełnił ponownie jej kieliszek.

Z wdziękiem wzruszyła ramionami.

- Może troszeczkę, ale na pewno nie taką jak pan. Zawsze był pan nicponiem?

- Zdecydowanie tak. Byłem prawdziwym dopustem bożym dla rodziców. - Uraczył ją opowieściami ze swego dzieciństwa i lat młodzieńczych, aż oboje płakali ze śmiechu. - Raz zakradłem się nad jezioro i zabrałem ubrania syna wiejskiego szlachcica. Musiał wracać do domu na golasa. Ale zemścił się na mnie. W kilka dni później to ja pływałem w jeziorze, a on zabrał moje ubrania. Zostawił mi za to dziewczęcą sukienkę. Miałem dwanaście lat i wstydzilem się wracać do domu nago. Więc skradałem się, kryjąc się za krzakami, w stroju pastereczki. Wyglądałem cudacznie, bo byłem wysoki jak na swój wiek i miałem okropnie długie, patykowate nogi. Spódnica nie sięgała mi nawet do kostek. Teraz myślę, że lepiej było paradować nago.

Riordan zanosił się od śmiechu, a ona mu sekundowała. Wreszcie złapali oddech i Maura wzięła łyk brandy. To jednak nie był jeszcze koniec tej historii. Niestety, Riordan nie zaczął z jej dokończeniem, aż dziewczyna przełknie.

- Tak czy owak, do przebrania brakowało mi tylko owieczek, więc porwałem po drodze trzy z cennych, nagradzanych na wielu wystawach owiec pana Mathesona, zawiązałem im na szyjach kolorowe wstążeczki i przyprowadziłem ze sobą do domu.

Naraz stała się rzecz niesłychana. Maura śmiała się tak, że brandy wypłynęła jej nosem.

- Och! Och! Pali! - gorączkowo machała ręką, próbując jednocześnie zetrzeć plamę z sukienki i wachlować nos.

Riordan chciał się zachować jak dżentelmen i zdjął nawet krawat, by przytrzymać go

pod nosem Maury, ale śmiał się przy tym tak bardzo, że jego starania nie na wiele się zdały. Może i udałoby mu się opanować i potraktować sytuację z należytą powagą - brandy w nosie naprawdę musiała boleć - ale Maura zaczęła w tym momencie kichać i ta seria alkoholowych kichnięć dziwnie przypominała piski. Radosne piski. Był zgubiony.

- To nie jest śmieszne! - protestowała bez powodzenia, bo oboje wiedzieli, że nie mówiła poważnie. Riordan od wieków tak się nie śmiał.

Nie wrócił już na swój fotel. Opowiedział jej, jak stojąc na grzbiecie swojego ogromnego wierzchowca objeżdżał dookoła dziedziniec.

- Wszystko szło znakomicie, dopóki nie nadziałem się na nisko rosnącą gałąź i rąbnąłem na ziemię z łoskotem.

- Zrobił pan sobie krzywdę?

- Nie, o dziwo, wyszedłem z tego właściwie bez szwanku. Skończyło się na drobnym skaleczeniu. - Riordan odgarnął włosy z czoła. - Została mi cieniutka blizna na linii włosów. - Zobacz, Mauro. Możesz się przysunąć. Ja nie gryzę. - Kłamstwo. Był znany z tego, że gryzie.

- Miał pan szczęście.

Maura pochyliła się, poczuł jej oszłamiający, lekki, kwiatowy zapach. Chłodna dłoń odsunęła mu włosy z czoła. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się poczucie bliskości, śmiech zamarł, ustępując miejsca czemuś znacznie potężniejszemu od rozbawienia. Była tak blisko, że mógł ją pocałować.

- A co było najgorszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłeś, Riordanie? - zapytała szeptem.

Poczuł słodycz zwycięstwa. Trzeba było dwóch kieliszków, żeby zwróciła się do niego po imieniu. Była na rauszu, rozbrojona opowieściami o jego szczeniackich wybrykach. Tej nocy zakochała się w niegrzecznym chłopcu, zakochała się w szalonych psotach i w jego serdecznym śmiechu.

Ciekawe, jak zareagowałyby na odpowiedź: „Uwiodłem guwernantkę moich podopiecznych”. Choć właściwie to nieprawda. Jeszcze jej nie uwiodł, ale wkrótce to zrobi.

Był twardy jak skała z pożądania, chciał całować jej roześmiane usta i pieścić krągłości ukryte pod poplamionym stanikiem sukni.

- Na pewno chcesz wiedzieć? To szokujące.

- Bardziej szokujące niż jazda na oklep? Bardziej szokujące niż wydawanie przyjęcia w cudzym domu? Albo powrót do domu w stroju pasterki? Wątpię, by na tym etapie coś mogło mnie jeszcze zaszokować.

To stwierdzenie najbardziej wskazywało, jak daleko posunęli się o tej późnej, nocnej godzinie. Jeszcze nigdy nie zatopił się do tego stopnia we wspomnieniach i nigdy nikomu nie

opowiadał tych historii. Nie rozśmieszył kobiety do tego stopnia, że brandy wypłynęła jej nosem.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A może się założymy? Jeśli zdołam cię zaszokować, będę mógł zażądać fantu.

Brandy dodała jej śmiałości.

- Dobrze, zakład stoi. - Oczy roz błysły jej w oczekiwaniu. - Mów. Nie, zaczekaj.

Odstawię najpierw kieliszek.

Zapewne nie powinien jej o tym mówić, ale chciał wygrać; chciał zażądać od niej fantu. Chciał tego bardziej niż cokolwiek na świecie. Przysunął się bliżej i szepnął jej do ucha:

- W wieku szesnastu lat straciłem dziewictwo. - Zrobił pauzę, ale Maura jeszcze nie była zaszokowana. Więc dodał: - Z kochanką ojca. To była jej inicjatywa.

- O rany! - sapnęła Maura. - To rzeczywiście draństwo.

Widział pulsującą na jej szyi żyłkę. Najwyraźniej Maura nie wiedziała, czy powinna być bardziej podniecona, czy zaszokowana.

- Tak. - Riordan pocałował jej szyję. Upajał się jej niepowtarzalnym, wiosennym zapachem, składającym się z leciuteńkiej nuty bzu, wiciokrzewu i róż. Zawładnęło nim pożądanie. Było już późno, miał za sobą ciężki dzień. Chciał zapomnieć o batalii, jaką stoczył o Elliotta i dzieci. Chciał się zatracić, zapomnieć o własnych problemach, obserwując namiętność budzącą się w tej dziewczynie.

Riordan zamknął jej usta pocałunkiem i bez reszty zatonął w rozkoszy. Całował jej wargi, podbródek, czuł jej uległość, gdy kładł ją na sofie.

- Poddaj się temu, Mauro. I razem ze mną bądź występna - szepnął.

To szaleństwo! - pomyślała, choć śmiało odpowiadała na pocałunki Riordana. Włosy opadły mu na twarz, gdy pochylił się nad nią, i w ciepłym blasku lampy wyglądał kusząco jak sam grzech. Uwodzicielsko ocierał się biodrami o jej biodra. Instynktownie wygięła się ku niemu.

- Moja dziewczynka - mruknął z aprobatą i przeniósł wargi z jej szyi na pierś, która prężyla się już w oczekiwaniu na dotyk. Ciepło jego oddechu przeniknęło przez cienką tkaninę. To było podniecające. Jęknęła cichutko, czując narastający w głębi ciała żar, gotowa i zaciekawiona.

Riordan spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się. W jego oczach wyczytała zrozumienie. Przesunął się aż do jej stóp. Wstrzymała oddech, zahipnotyzowana ruchami jego rąk, które objęły kostki jej nóg i powędrowały w górę, aż zniknęły pod spódnicą. Zatrzymały

się na moment na krawędzi pończoch, a potem zaczęły je zsuwać w dół. Wargami znaczył każdy cal odsłanianej skóry, od wrażliwego zagłębienia pod kolanem poczynając, poprzez kształtną łydkę, aż do wąskiej kostki. Wreszcie pończochy wylądowały na podłodze obok sofy. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegł Maurę, że to nie w porządku, że to złe i niebezpieczne... Ale nic jej to nie obchodziło.

- Czy wiesz, że na Dalekim Wschodzie stopy uważane są za wrota ciała? - Niski głos Riordana sączył się w ciemnościach, wprowadzając Maurę w zakłęty świat intymnych przeżyć. Jego palce uciskały podeszwę jej stopy, głaskały i masowały. Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś równie dekadentckiego. Nie wiedziała nawet, że taki dotyk był możliwy.

Kontynuował.

- Niektórzy uzdrowiciele twierdzą, że to miejsce ma łączność z płucami. Masując je, oczyszczamy płuca. - Pociągnął delikatnie jeden z palców. - Ten palec odpowiada za ucho, a ten za oko. Natomiast ta część dużego palca za gardło.

Maura słuchała zafascynowana.

- Co jeszcze? - Prawie nie śmiała oddychać, żeby nie rozwiać czaru chwili.

Riordan uśmiechnął się lekko i przesunął rękę na niewielkie zagłębienie za kostką.

- Dotykając tego miejsca, można odczytać, ile kobieta ma dzieci. - Puścił do niej oko.

- Ty nie masz żadnego. - Nagle przesunął się nad nią i unieruchomił jej ręce nad głową. - Jakim cudem tak dobrze sobie z nimi radzisz?

- Mam małych kuzynów, bliźnięta niewiele starsze od Cecylii i Williama. Kiedy zamieszkałam u wujostwa, pomagałam ciotce w opiece nad nimi. - Maura prosiła w duchu, by nie pytał o więcej. Nie chciała psuć tych czarodziejskich chwil. Z zuchwałością, która zaskoczyła ją samą, wygięła się i pocałowała go. Przy okazji odkryła z satysfakcją, że nie tylko ona była podniecona ich grą. Dowód jego podniecenia dotykał jej uda. Dziwne, ale teraz nie odczuwała zagrożenia, zupełnie inaczej było z Wildehamem - to kolejne wspomnienie, które musiała odepchnąć od siebie. Tej nocy nie było miejsca na przeszłość.

Wolną ręką podciągnął jej spódnice. Chłodne powietrze przeniknęło przez cieniutką bieliznę, podkreślając przez kontrast ciepło jego dłoni spoczywającej przy złączeniu jej ud. Przyjemność, jaką sprawiał jej ten ciepły dotyk, wzbudziła na moment jej wątpliwości.

- Rozluźnij się, Mauro - wyszeptał jej do ucha Riordan. - Najlepsze dopiero przed tobą, zapewniam cię. - Pokrywając pocałunkami jej policzki, wsunął dłoń w pantalon. Niesamowite doznania sprawiły, że natychmiast zapomniała o niesłychanej zuchwałości tego czynu. Reakcja jej ciała na tę najintymniejszą pieszczotę była tak potężna, że wyleciały jej z głowy wszelkie pytania. To była prawdziwa magia i Maura poddała się jej całkowicie.

Przyjemność narastała, a ona wychodziła jej naprzeciw, wyginała się z gardłowym pomrukiem, aż wreszcie wstrząsnął nią gwałtowny spazm rozkoszy.

- Leć, Mauro, leć do nieba - wyszeptał Riordan schrypniętym głosem, nie odrywając spojrzenia płonących, błękitnych oczu od jej źrenic. - Leć, bądź moim latawcem...

Więc poleciała w niebo, szybowała w górze, unosiła się na wyżynach, aż wreszcie zaczęła powolutku opadać, spiralnie zbliżała się do ziemi, aż wreszcie wylądowała bezpiecznie w ramionach Riordana. I zrozumiała, co to znaczy być latawcem wirującym w obłokach, co to znaczy być kobietą w szponach miłości.

- Podobało ci się? - Riordan przyciągnął ją do siebie.

- Co to było? - zapytała Maura bez tchu. Z pewnością coś tak cudownego miało jakąś nazwę.

Riordan roześmiał się cicho, nie wypuszczając jej z objęć.

- To była, kochanie, rozkosz, jaką można przeżyć, nie zdejmując ubrania.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Chciał na zawsze zapamiętać jej spojrzenie - pełne zdumienia i zachwytu tym, co się stało. Wtedy uświadomił sobie, czego pragnął.

- Chodź ze mną na górę - szepnął Riordan. - Chcę ci coś pokazać.

To „coś” to był pokój, do którego nie wchodził od powrotu z Włoch. Pokój, do którego ciężko mu było wejść, bowiem był pełen wspomnień zarówno pięknych, jak i przykrych. Tej nocy, po raz pierwszy od pięciu lat, zapragnął malować.

- Dokąd idziemy? - Maura, na skutek wypitego alkoholu i zmęczenia, zachwiała się lekko na schodach. Riordan podtrzymał ją i otoczył w pasie ramieniem.

- Do mojej pracowni. Chcę ci pokazać swoje szkice. - Zaśmiał się cicho. - I zażądać obiecanej nagrody.

- Myślałam, że już ją dostałeś. - W ciemności rozległ się ciepły śmiech Maury; śmiech, który dodał mu odwagi.

Dotarli do szczytu schodów. Pracownia znajdowała się na końcu korytarza, za sypialnią Maury i pokojem dziecięcym. Riordan otworzył drzwi. Pokój nie był zamknięty na klucz, choć od tak dawna tu nie zaglądał. Wypuścił na moment rękę Maury, żeby pozapalać lampy. Stopniowo wydobywał z mroku kolejne sekcje pracowni.

Czas zatrzymał się tutaj w miejscu. Na środku pomieszczenia królowała ogromna wenecka otomana, nabyta na długo przed jego wyprawą na kontynent. Maura głośno wciągnęła powietrze na jej widok.

- Jaka cudowna! - Pieszczotliwie przesunęła palcami po drewnianej ramie oparcia.

- Możesz na niej usiąść. - Riordan uśmiechnął się na widok jej zachwytu. - Ojciec był wściekły, że ją kupiłem. Wydałem na nią lwią część kwartalnej wypłaty, ale kiedy ją znalazłem w sklepie z używanymi rzeczami w Cheapside, wiedziałem, że muszę ją mieć. Choćby wbrew woli ojca.

Podszedł do sterty blejtramów opartych o ścianę, zaczął je przeglądać i wreszcie jeden ustawił na sztaludze. Bez trudu poruszał się po pracowni, wszystko było na swoim miejscu, zupełnie jakby nigdy stąd nie wychodził. Ulubione pędzle w szklanym słoju na stole obok kanapy tylko czekały, by znów po nie sięgnął. Pod ścianą stały okryte płótnem obrazy.

Wiedział, co każdy z nich przedstawiał. Chatham Court w letniej scenerii. Widok na

Tower Bridge. Parlament. Naraz ogarnęła go nostalgia. Pewnie pod wpływem brandy. Zawsze tak reagował na nadmiar alkoholu. Najpierw była euforia i wszelkie problemy odchodziły w niepamięć, potem nostalgia i smutek, wreszcie gniew i żal. Odepchnął je wszystkie. Ta noc była inna.

- Ty malujesz? - Pytanie Maury wyrwało go z zamyślenia. Przyglądała mu się swoimi zielonymi oczami z takim uśmiechem, jakby dostała najwspanialszy prezent. - To chyba pierwsza naprawdę istotna informacja, jaką mi dałeś o sobie. - Rozejrzała się po pracowni, zwracając uwagę na każdy drobiazg. - Ten pokój jest dla ciebie ważny, prawda? To nie jest jedno z wielu zwyczajnych pomieszczeń.

Tak, ten pokój był ważny. W nim kryła się jego dusza, to, co stanowiło treść jego istoty. Riordan przeglądał schowane w szufladzie szkice, próbując ubrać tę myśl w słowa. Jak jej to wytłumaczyć?

- Ten pokój to ja. To człowiek, jakim chciałbym być. Kiedy biorę pędzel do ręki i dotykam nim płótna, jestem wolny. Mogę odtworzyć piękno otaczającego mnie świata i stworzyć nowe piękno... piękno obrazów, które mam w głowie. Mogę wyobrazić sobie wszystko. - Nie najlepiej mu szło to tłumaczenie, brzmiało głupio i pretensjonalnie. Dotknął palcem czubka pędzla, który zachował dawną sprężystość. - Nie wchodziłem do tego pokoju od powrotu z Włoch, a nic się nie zmieniło. Wszystko stoi nienaruszone, dokładnie tak, jak to zostawiłem.

- Skoro tak bardzo kochałeś malowanie, to czemu przestałeś? - Maura była obdarzona niezwykłą intuicją, choć dotychczas to on rozszyfrowywał innych. Znalezienie się po drugiej stronie było trochę denerwujące. Riordan przecesał palcami włosy i jeszcze raz sprawdził, czy wszystko było na swoim miejscu.

- Ojciec tego nie znosił. Uważał, że syn hrabiego, nawet drugi, nie powinien parać się malarstwem.

- To coś więcej niż amatorskie „paranie się” malarstwem - stwierdziła Maura z przekonaniem. Na jej twarz wystąpiły rumieńce. Była zdenerwowana albo podniecona, a może jedno i drugie. Rozmowa wciągnęła ją, ale nie pozwoliła jej do końca zapomnieć, po co tu przyszli. On również pamiętał. Należała mu się wygrana i wiedział już, czego zażądać.

- Kłóciliśmy się o to. Bardzo. - Riordan usiadł obok niej na otomanie. - Kiedy byłem we Włoszech, ojciec zmarł i zniknęła szansa na pojednanie. Nie jestem dumny z tego, jak się wobec niego zachowywałem - wyznał cicho. - Wydaje mi się, że nie jestem z gruntu złym człowiekiem, ale wobec niego byłem w pewien sposób okrutny.

Musiał zapisać Maurze na plus, że kiwnęła tylko głową w milczeniu. Nie próbowała

go usprawiedliwiać ani osądzać.

- Jestem gotów upomnieć się o swoją wygraną, Mauro. - Podniósł rękę do jej włosów.

- Mogę? - Delikatnie wyjął pierwszą spinkę.

- Przyprowadziłeś mnie tutaj po to, żeby mi rozpuścić włosy? - zdziwiła się Maura.

- Nie, przyprowadziłem cię tutaj po to, żeby cię namalować. - Wyjął drugą spinkę, odłożył ją na bok i zerknął z ukosa. - A myślałaś, że co zrobię? - Nie musiał o to pytać. Niewątpliwie podejrzewała go o znacznie bardziej dekadentkie zamiary. - Masz nieczyste myśli, Mauro - mruknął. Nie mógł powstrzymać się od lekkiej złośliwości.

Odłożył na bok ostatnie spinki i rozrzucił jej rozpuszczone włosy na oparciu otomany.

- Jesteś piękna. Masz tycjanowską urodę. On najbardziej lubił takie złotorude włosy.

Byłby tobą zachwycony. - Odetchnął głęboko. - Wyglądasz jak wcielenie kobiety zaspokojonej. Mogę uczynić cię sławną.

- Możesz jedynie okryć mnie niesławą. - Maura zmieniła nieco pozycję.

- Nie ruszaj się. Masz być nieruchoma, całkowicie nieruchoma. - Riordan wstał i podszedł do sztalug. Naprawdę w ciepłym blasku lamp była prześliczna. Tak śliczna, że uderzała do głowy, jakby mało mu było brandy. Sprawiała, że zapomniał się jak nigdy dotąd. Wygadywał rzeczy, o których nikomu nie wspominał, odsłonił swe słabe punkty... Ale mroczne sekrety prowadziły do zakazanych przyjemności. Głosem i pędzlem będzie się z nią kochał, a jej rozkosz uwieczni na płótnie i zachowa dla siebie na zawsze.

Riordan wybrał pędzel i zaczął malować. Posiadał wrodzony dar, nie potrzebował wstępnych szkiców i tę zdolność wykorzystywał w tej chwili. Jego palce wyczarowywały na płótnie obraz pięknej dziewczyny o wargach obrzmiałych jeszcze od pocałunków i twarzy rozmarzonej po niedawno przeżytej rozkoszy. Tak, to właśnie pragnął utrwalić: istotę świeżo zaspokojonej kobiety.

- Podłóż rękę pod głowę, jakbyś zastępowała nią poduszkę - poinstruował Riordan cichym głosem, by nie zburzyć nastroju chwili, magii tworzonej przez światło lamp i intymność sytuacji. - Rozchyl odrobinę wargi. Tak, znakomicie. Zupełnie jakbyś przed chwilą była całowana. Drugą rękę połóż u nasady szyi, jakbyś bawiła się naszyjnikiem... A teraz odwróć lekko głowę i patrz na mnie, po prostu na mnie patrz.

Maura czuła, że powinna to przerwać. Nie powinna się zgadzać, by ją malował. Każde pociągnięcie pędzlem, każde wypowiedane przez niego słowo było uwodzeniem. Nawet jej nie dotknął, a była rozpalona tak jak niedawno na dole. Istniały miliony powodów, by przerwać tę sesję, ale jakie mogły mieć znaczenie wobec narastającej w niej tęsknoty za rozkoszą? Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że hrabia nie wiązał z nią żadnych planów;

że była dla niego rozrywką na jedną noc. Szukał zony. Nie mógł mieć wobec niej poważnych zamiarów. Ona również ich nie miała. Ukrywała się przecież. Nawet gdyby guwernantki poślubiły hrabiów, ona nie mogła tego zrobić. Dla niej to musiało się skończyć na tej jednej nocy, podobnie jak dla niego. Zresztą, już przecież zgrzeszyli. Co szkodziło posunąć się jeszcze dalej? Nawet jej nie dotykał, a cała płonęła.

- Nie ruszaj się - szepnął Riordan i odszedł od sztalug. - Muszę tylko wziąć pędzel. -

Przechylił się ponad wyciągniętą na otomanie Maurą, by wyjąć pędzel ze słoja stojącego obok jej głowy. Jego ciało przygniotło ją lekko na moment.

Wygięła szyję, by śledzić jego ruchy. Wyjął ze słoja pędzel w kształcie wachlarza.

- A ten po co? Nigdy dotąd nie widziałam takiego kształtu. - Jej głos był dziwnie rozmarzony, jakby nie z tego świata.

Przesunął miękkim włosiem wzdłuż linii jej szczęki.

- Do przechodzenia z jednego koloru w drugi. Każdy pędzel ma inne przeznaczenie. -

Jego głos był nieco ochryply, na skutek brandy, późnej godziny, a może czegoś znacznie potężniejszego, czegoś podobnego do tej fali żaru, jaka zalała ją, gdy się do niej zbliżył. Może on również to czuł, zastanawiała się, gdy sięgnął po inny pędzel.

- To filbert. Najlepszy do malowania sylwetki. - Powoli przesunął pędzlem tym razem wzdłuż szyi Maury, nie odrywając spojrzenia od jej oczu.

Wiedziała, co z nich wyczytał: podniecenie, irracjonalne pragnienie, które spychało na bok wątpliwości; namiętność, która wzięła ją we władanie. Jakby jeden pocałunek mógł rozświetlić mrok. Riordan, którego odkryła dzisiaj, smutny Riordan, pełen żalu, noszący w duszy ciemność, był równie pociągający jak ten, którego poznała wcześniej - radosny i jasny. Był tuż przy niej, twardy i podniecony. Nagle olśniło ją, że mogła dać mu rozkosz, tak jak on jej. Wyciągnęła rękę i przez wieczorowe spodnie przesunęła palcami wzdłuż całej męskości.

- Może ja również mogłabym cię namalować.

- Weź mnie, jeśli chcesz, Mauro. - Te słowa były jak niski, pierwotny pomruk. Pomógł jej rozpiąć spodnie. Jego zazwyczaj płynne, pełne gracji ruchy tym razem były śpieszne i nerwowe. - Weź mnie do ręki, Mauro. Proszę. - To było błaganie, niemal modlitwa. Dała się porwać jego pożądaniu, szczęśliwa, że każdy ruch jej ręki przybliżał go do spełnienia. Czowała, jak ożywał pod jej palcami, twardy na całej długości i delikatny na końcu. Zaczął pulsować, więc instynktownie zwiększyła tempo, aż wreszcie Riordan wydał głęboki pomruk, drgnął gwałtownie i doznał spełnienia.

To była najbardziej intymna chwila w jej życiu. Czy mogło być coś bardziej

intymnego niż widok mężczyzny, który doznaje rozkoszy? Szczególnie gdy tym mężczyzną był Riordan?

Przyciągnął ją do siebie i przez parę chwil leżeli w milczeniu, przytuleni do siebie. Oparła głowę na jego piersi, rytmicznie unoszącej się i opadającej w oddechu i w końcu zapadła w sen.

Obudziła się we własnym łóżku, całkowicie ubrana, z bólem głowy. Jaskrawe światło poranka sprawiło, że natychmiast zacisnęła powieki. Po raz pierwszy ucieszyła się, że nie miała tu własnej pokojówki. Jak wytłumaczyłaby ciekawskiej służącej, dlaczego leży w łóżku ubrana, skoro sama tego nie rozumiała? Przecież nie mogła wyjaśnić, że zapomniała się z panem domu i wdała się z nim w najbardziej intymne stosunki. I jak miała rzeczonemu lordowi spojrzeć w oczy i udawać, że nic się nie stało? A z pewnością takiego zachowania od niej oczekiwał.

Zaprosił ją na drinka. Wyżalili się sobie nawzajem na upiorny dzień. I tak, bez wątplenia na skutek brandy, samotności i chorej logiki, która w świetle dnia wydawała się znacznie mniej logiczna, do tego doszło. A teraz, za dnia, wszystko wróciło na swoje tory. Maura jęknęła na wspomnienie śmiechu wartych argumentów, którymi usprawiedliwiała przed samą sobą to, czego nagle impulsywnie zapragnęła. Teraz będzie musiała żyć z konsekwencjami swego zachowania.

Niepokój sprawił, że zamarudziła w swoim pokoju dłużej niż zwykle. Gdy pojawiła się wreszcie w pokoju dzieciennym, William i Cecylia poinformowali ją ze smutkiem, że wujek Ree musiał z samego rana wyjechać do Sussex. Został pilnie wezwany do swej posiadłości, ponieważ zarządca majątku doznał poważnego wypadku przy pracy.

- Obiecał, że wróci na przyjęcie i przywiezie mi nową lalkę - dodała Cecylia, starając się myśleć pozytywnie. - Ile jeszcze dni do przyjęcia?

Maura uśmiechnęła się.

- Zrobimy z tego zadanie matematyczne, dobrze? Dzisiaj zapoznam was z kalendarzem.

Zupełnie niespodziewanie zyskała na czasie. A czas to najlepsze lekarstwo. Zostało jej oszczędzone poczucie zakłopotania typowe dla następnego poranka po... Całkiem możliwe, że dzięki temu będą mogli przed sobą udawać, że tamtej szalonej nocy wcale nie było. Riordan wróci do domu jak gdyby nigdy nic, weźmie udział w przyjęciu, ożeni się z odpowiednią dziewczyną i nigdy nie wspomną nawet o tamtej chwili zapomnienia.

Bardzo wygodne. I bardzo przygnębiające.

Nie będzie więcej malowania ani rozmów o Tycjanie. Oczywiście cała ta propozycja

od początku była bez sensu. Tylko że Maura uświadomiła sobie płynące z niej zagrożenia dopiero później, w świetle dnia. Nie mogła ryzykować, że ktoś zobaczy ten obraz. To mogło naprowadzić wuja na jej ślad, nie mówiąc już o tym, jak bardzo ucierpiałaby jej reputacja. A jako pozbawiona majątku siostrzenica prowincjonalnego szlachcica nie miała nic poza reputacją, która i tak została już nadszarpnięta w momencie, gdy wsiadła do dyliżansu pocztowego w Exeter. Taką cenę musiała zapłacić za ucieczkę od Actona, barona Wildeham.

Co dwie głowy, to nie jedna, myślał Acton Humphries, delektując się popołudniowym drinkiem w luksusowym holu Grillona. Przyjazd do Londynu okazał się słuszną decyzją. Zasięg poszukiwań przekroczył możliwości Paula Digby'ego. Nikt nie pamiętał, dokąd udała się Maura po opuszczeniu dyliżansu. Najwyraźniej była dość bystra, by nie wchodzić do budynku stacji, tylko została na zewnątrz i zapytała kogoś o drogę.

Następną przeszkodą było to, że Paul Digby nie wszędzie miał prawo wstępu. Nikt nie mógł przez pomyłkę wziąć go za dżentelmena, a w kolejnym etapie poszukiwań niezbędny był udział dżentelmena właśnie. Po siedmiu dniach odwiedzania rozmaitych magazynów odzieżowych Paul Digby wyczerpał listę miejsc, w których mogła znaleźć zatrudnienie dziewczyna taka jak Maura. Na wszelki wypadek sprawdził również londyńskie burdele, ale nigdzie nie trafił na jej ślad.

Przyszła pora, by zbadać kolejną możliwość: podjęcie przez nią służby. Prostacki osiłek w typie Digby'ego nie mógł bez wzbudzania podejrzeń prowadzić dochodzenia w renomowanych agencjach, a Wildeham nie chciał dopuścić, by Maura została uprzedzona, że ktoś się nią interesuje. Skoro uciekła raz, mogła to zrobić ponownie, tym razem skuteczniej.

To, czego nie był w stanie zrobić Digby, wziął na siebie baron Wildeham. On mógł nie tylko rozpytywać w renomowanych agencjach zatrudnienia, ale również rozmawiać z innymi dżentelmenami w klubach. Postanowił zacząć przyjmować zaproszenia na przyjęcia i wdawać się w pogawędki z paniami domu na temat pomocy w prowadzeniu jego posiadłości w Devonshire. Potrafił być czarujący, kiedy mu na tym zależało. Jeśli Maura znalazła schronienie w domu jakiegoś arystokraty, to Acton osobiście ją stamtąd wykurzy.

Wildeham otworzył gazetę na rubryce towarzyskiej. Skoro zamierzał włączyć się do życia towarzyskiego Londynu, powinien trzymać rękę na pulsie i śledzić najświeższe doniesienia. Wystarczyło sprawdzić, czyje nazwisko było wymieniane najczęściej, by zorientować się, skąd wiatr wieje. Od razu rzuciła mu się w oczy nieobecność dwóch nazwisk: Merricka St. Magnusa i Ashe'a Bedevere'a. Ci znani londyńscy rozpustnicy pożenili się i na scenie został już tylko najbardziej godny zaszczytnego miana rozpustnika wszech

czasów Riordan Barrett. Wildeham był o kilka lat starszy i nie znał go osobiście, ale wiele o nim słyszał. Wszyscy w Londynie o nim słyszeli. Wyglądało jednak na to, że w końcu nawet Barrett został zmuszony do ustatkowania się. „Hrabia Ch., dawniej pan B., wydaje przyjęcie, by rozpocząć poszukiwania przyszłej żony...” - głosił nagłówek. Odziedziczenie tytułu i majątku wiązało się z przyjęciem na siebie pewnych obowiązków i najwyraźniej Riordan Barrett również został nimi spętany.

Szkoda, pomyślał beznamiętnie Wildeham. Jego własne małżeństwo również wiązało się z ograniczeniem wolności, ale odkąd spotkał Maurę, te okowy zaczęły mu się wydawać podniecające.

Przyjęcie! Wildeham prychnął. Biedak, już został okiełznany. Od kiedy to rozpustnicy podejmują proszonymi obiadami przyzwoitych ludzi?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Riordan otworzył kopertę kieszonkowego zegarka. Teraz już musiał stawić jej czoło. Nie mógł tego odkładać na później. Dotarł do Londynu zaraz po pierwszej i ukrył się u White'a. Wolał przesiedzieć chaos panujący w jego domu przed proszonym przyjęciem w wygodnym klubowym fotelu. Nie, kogo on próbował oszukać? Chaos stanowił jedynie dogodną wymówkę dla znajomych zatrzymujących się przy nim, żeby zamienić parę słów. Prawdziwym powodem, dla którego nie miał ochoty wrócić do domu, była Maura.

Nie żałował jednak tego, co zrobili, tylko tego, co jej powiedział. Odsłonił swoje słabe strony i stał się bezbronny - wszystko za sprawą brandy. I Maury. Zachęcała go do gadania, chłonęła każde jego słowo, więc opowiadał historyjkę za historyjką. Te z wczesnego dzieciństwa były w porządku, niosły z sobą sporo humoru, ale potem przyszły bardziej ponure, żalodne opowieści o latach męskich. Prawdziwe, owszem, niemniej jednak żalodne wyznania o biednym bogatym chłopcu, który pragnął malować i chciał dorównać wielkim mistrzom. Co Maura o nim myślała po tych niepotrzebnych wynurzeniach?

Nie było czasu na wyjaśnienia, bowiem Browning wezwał go z samego rana i musiał pilnie wyjechać. Nieszczęsny zarządca wyzionął ducha w niespełną godzinę po przyjeździe, a jego ostatnie słowa rzuciły nieco światła na tajemniczą śmierć Elliotta. Stanowiły klucz do rozwikłania zagadki.

Teraz, po powrocie do domu, Riordan musiał się zmierzyć z Vale'em i tym przeklętym przyjęciem. Oraz z Maurą. Zastanawiał się, co myślała o jego nieobecności. Tym bardziej że wrócił później, niż zamierzał. Musiał zostać na pogrzebie i znaleźć następcę zmarłego. Ciekawe, czy rozumiała to? A może uznała, że uciekł jak tchórz? Że wykorzystał ją bez skrpułów i że była dla niego tylko zabawką? Czy w ogóle myślała o nim pod jego nieobecność? Oczywiście, że tak. Co do tego jednego mógł być spokojny. Maura z pewnością nie potraktowała ich spotkania lekceważąco.

Jeśli zaś o niego chodzi, to stale była obecna w jego myślach. Ciągle miał przed oczami jej tycjanowskie włosy połyskujące w świetle lamp, rozpalone namiętnością zielone oczy, ciało ozywające pod jego dotykiem. Jednak nie tylko jej uroda zrobiła na nim takie wrażenie. Również szczerść i uczciwość, autentyczna troska o dzieci oraz uwaga, z jaką słuchała jego słów. To działało na niego niezwykle silnie właśnie teraz, w okresie żałoby

i osamotnienia, procesu i niepewności. Brat umarł, a Vale'owie zagrażali dzieciom. Riordan nigdy w życiu nie czuł się taki samotny, a gdyby nie Maura, byłby całkiem sam.

To nie fair, że wykorzystał jej dobroć, ale już niedługo przestanie być samotny. Tego wieczoru zrobi pierwszy krok na drodze do małżeństwa i rozpocznie poszukiwanie partnerki życiowej. Ta perspektywa jednak nie napełniła go oczekiwanym poczuciem satysfakcji. Nie miał pojęcia, kim będzie ta kobieta, a trudno wyobrazić sobie ukojenie u obcej osoby...

Nie fizyczne ukojenie. To mógł sobie wyobrazić bez trudu i miał w tej dziedzinie bogate doświadczenie. A jednak tamte chwile zaspokojenia wypadały błado w porównaniu z tym, czego zaznał z Maurą.

Podszedł służący z pytaniem, czy jego wysokość życzy sobie jeszcze czegoś. Riordan potrząsnął głową. Jeśli nie wyjdzie z klubu natychmiast, to nie starczy mu czasu na przebranie się i spotkanie z dziećmi, zanim zaczną napływać goście. W bagażach miał lalkę dla Cecylii, a dla Williama łódeczkę, którą sam przed laty wystrugał. Może znajdzie również chwilę, żeby zobaczyć się z Maurą.

Niespodziewanie wyobraźnia podsunęła mu obraz spokojnego powrotu do domu do stęsknionych dzieci. Cecylia usiądzie mu na kolanach, tuląc do siebie lalkę. William będzie się bawił łódką u jego stóp, udając, że dywan to ocean. Maura uśmiechnie się serdecznie do dzieci, a potem zbeszta go po cichu za to, że przerwał im lekcję i że je rozpuszcza, ale w końcu na jego prośbę usiądzie w fotelu naprzeciwko i wysłucha jego relacji z podróży, czego się dowiedział i co to oznaczało.

Tak rodzinnie, tak domowo i tak inaczej niż w jego życiu. Nie próbował analizować tej wizji, ale dzięki niej wyszedł od White'a, wsiadł do karety i ruszył do domu. Kiedy stanął na progu, wizja powrotu do spokojnego domu prysła jak bańka mydlana. Rzeczywistość przedstawiała się zupełnie inaczej. Pokojówki i lokaje biegali we wszystkie strony, zaaferowani, z wazonami pełnymi kwiatów i tacami sreber stołowych. Nad nimi, na półpiętrze, stały dzieci i obserwowały z góry całe to zamieszanie. Gdy dostrzegły Riordana, wydały przenikliwy pisk radości i z impetem zjechały po wypolerowanej poręczy wprost w kotłowanie służby i kryształowych wazonów.

- Nie! Cecylino, uważaj! - Maura wyskoczyła nagle jak spod ziemi i zdążyła zapobiec zderzeniu. Wyglądała na straszliwie znękaną, niesforne loki wymykały się z koka upiętego na karku. Wyczerpana, ale piękna, pomyślał Riordan.

Uniknąwszy katastrofy, dzieci puściły się biegiem w jego stronę. Przykląkł, żeby je objąć. Rzuciły się w jego ramiona znacznie bardziej żywiołowo, niż to sobie wyobraził. Bardziej żywiołowo, ale nie mniej gorąco. Stęsknił się za dziećmi. Ponad ich głowami

pochwycił spojrzenie Maury. Oparła ręce na biodrach. Zapomniał o wszystkim, co miał jej powiedzieć, i wykrztusił tylko krótkie:

- Jestem w domu.

- Najwyższy czas - odparła oficjalnym tonem. - Pora zabrać dzieci do parku.

Riordan roześmiał się. Choć była podenerwowana, nie potrafił się oprzeć. Uśmiechnął się.

- Na pewno? Przecież to wyjście kłóci się z ich rozkładem dnia.

Uśmiechnęła się leciutko, jej napięcie nieco zelżało.

- Na pewno.

Zdecydowanie nie tak wyobrażał sobie powrót do domu, musiał jednak przyznać, że i to powitanie było miłe. Wziął dzieci za ręce i zaprowadził je do parku po drugiej stronie ulicy. Pamiętał dni przyjęć ze swego dzieciństwa. Matka robiła wszystko, by pozbyć się z domu jego i Elliotta w czasie, gdy dostarczano do domu potrawy i kompozycje kwiatowe. W głosie Maury brzmiało to samo napięcie, co w głosie matki, gdy z ostateczną desperacją wołała: „Niech ktoś zabierze chłopców na dwór, tam nie narobią szkód”.

Żałował tylko, że nie będzie miał czasu na rozmowę.

Riordan był w domu. Zdołała przetrwać pierwsze spotkanie, ale choć było krótkie, to nie wyszła z niego bez szwanku. W chwili, gdy spojrzał jej w oczy ponad głowami dzieci, jej żołądek się skurczył, a umysł zaczął podsuwać ciepłe obrazy szczęśliwej rodziny składającej się z nich czworga. Potem w te wyobrażenia wtargnęła rzeczywistość. Nie było miejsca na tego typu fantazje. Za trzy godziny zaczną się zjeżdżać młode damy, by współzawodniczyć o prawo dzielenia z nim życia, tego prawdziwego życia, a ona zaszyje się w dzieciennym pokoju, z dala od ludzkich oczu, z dala od jego oczu i myśli. Tak powinno być i tak będzie.

Maura poprawiła aranżacje kwiatowe na długim stole w jadalni, odsunęła się i przyjrzała się swemu dziełu z satysfakcją. Jadalnia była całkowicie odmieniona po tym pełnym chaosu dniu. A już zaczynała wątpić, czy zdążą wszystko przygotować.

Riordan pojawił się we właściwym momencie. Nie sposób pogodzić opieki nad dziećmi z przygotowaniem domu do wielkiego przyjęcia. Rano znalazła Williama i Cecylię pod stołem w jadalni, gdzie próbowali zbudować fort, podczas gdy służba ustawiała już na obrusie cenną porcelanę i kryształowe kieliszki.

Dla pewności Maura zajrzała jeszcze pod stół, żeby się upewnić, czy Dolly Polly powędrowała na górę z Cecylią. Lepiej żeby nikt z gości nie nadepnął niespodziewanie na skarb dziewczynki. Podczas proszonego przyjęcia tego typu przeoczenia były niedopuszczalne. Wszystko musiało być idealne.

Przygotowania wreszcie dobiegały końca. Maurze pozostało już tylko ostatni raz sprawdzić, jak sobie radzi kucharka i kamerdyner, a potem mogła zaszyć się w dziecinnym pokoju.

Nie przesadzała, ostrzegając Riordana, że dwa tygodnie to bardzo mało czasu na przygotowania. Przecież nie chodziło o zwyczajny prowincjonalny obiad dla najbliższych sąsiadów. To miało być przyjęcie wydawane w Londynie przez hrabiego, w dodatku kawalera, który rozglądał się za małżonką. Goście będą mieli spore oczekiwania.

Riordan mógł nie orientować się we wszystkich niuansach tej sytuacji, ale Maura zdawała sobie z nich sprawę bardzo dobrze. Nie było mowy o zwyczajnym postawieniu jedzenia na stół. Istniały pewne reguły, których należało przestrzegać, i goście, mający tego wieczoru zasiąść przy stole, doskonale je znali.

Maura przebiegła w myślach listę spraw, o które należało zadbać. Jadalnia była gotowa, dywan oczyszczony, ogień w kominku rozpalony, parawan rozstawiony, by ogień z paleniska nie upiekł żywcem siedzących najbliżej biesiadników. Srebra rodowe lśniły na rzeźbionych kredensach pod ścianami, robiąc odpowiednie wrażenie. To był wkład ciotki Sophie w organizację przyjęcia. Świącie wierzyła w demonstrację bogactwa Chathamów.

- Ojcowie chcą wiedzieć, do jakiej rodziny wejdą ich córki - oznajmiła.

Maura zastosowała się do jej woli w zamian za rezygnację z rozstawienia srebrnych pater na stole i dołączenie ich do pozostałych ciężkich sreber na kredensach. Usunięcie ze środka stołu masywnych dekoracji było decyzją nieortodoksyjną, ale Maura obstawała przy tym, że konwersacja potoczy się swobodniej, jeśli rozmówcy będą się widzieli.

Żeby ucieszyć oczy gości, napełniła patery błękitnymi niezapominajkami i żółtymi żonkilami oraz rozmieszczonymi w strategicznych punktach ciemnoróżowymi tulipanami, pasującymi kolorystycznie do znacznie mniejszych kompozycji rozstawionych na całej długości stołu. W rezultacie ciężkie, masywne patery ożywiły wystawę sreber rodowych i rozweseliły jedną ze ścian wszystkimi kolorami wiosny. Nie dostrzegła najmniejszych uchybień. Sala była gotowa. Pora przejść do kuchni.

W kuchni, zgodnie z jej przewidywaniami, panował kompletny chaos. Nie mogło być inaczej, skoro na obiedzie miało być czternastu mężczyzn i osiem dań. Kucharka jednak okazała się prawdziwym błogosławieństwem. Poprzedni hrabia często przyjmował i doskonale wiedziała, co robić. W niektórych sprawach aż nazbyt dobrze.

Początkowo wyciągnęła jedno z ulubionych menu poprzedniego pana, ale Maura uznała, że lord Chatham z pewnością wolałby, aby tego wieczoru nie przypomniano mu tak nachalnie zmarłego. Ułożyła więc zupełnie inne menu: na początek homar i turbot w sosie

holenderskim, świeże ostrygi, a potem mięsa podane *à la jardinière*, aby wykorzystać sezonowe produkty z targowisk. Na deser sorbety i lody.

Jedzenie, powiedziała Maura kucharce, powinno zawierać przesłanie. Nastął nowy lord Chatham, a wraz z nim nowe obyczaje, choć nieodbiegające zbyt od tradycji. To w żadnym razie nie były dania egzotyczne. Jeżeli reputacja lorda Chatham była rzeczywiście tak skandaliczna, jak utrzymywał, to serwowane na jego przyjęciu potrawy miały informować, że nie przestał być stuprocentowym dżentelmenem. I nie zapomniał reguł obowiązujących w towarzystwie.

Dlatego właśnie ostatnią rozmowę odbyła z Fieldingiem. Maura znalazła go w kredensie ze srebrami, gdzie ostatni raz sprawdzał zastawę stołową. Nie zazdrościła mu czekających go tego wieczoru obowiązków. Znał swój fach, podobnie jak kucharka. Od ponad dwóch dekad obsługiwał przyjęcia wydawane przez Elliotta i jego ojca. Ten wieczór miał być jednak inny, po raz pierwszy to Riordan występował w roli gospodarza, wspierany jedynie przez nominalną gospodynię. Bo ciotka Sophie, zgodnie z przewidywaniem, okazała się pomocna w bardzo ograniczonym zakresie - tylko przy układaniu listy gości i wysyłaniu zaproszeń. Maura wątpiła, by ta głupiutka kobietka potrafiła poradzić sobie z jakimkolwiek „kryzysem” towarzyskim, gdyby się taki pojawił. Oczywiście, gdyby doszło do czegoś naprawdę złego, gospodyni miała bardzo niewielkie pole manewru. Nie mogła przecież wstać od stołu w trakcie obiadu, żeby coś poprawić czy zmienić instrukcje wydane służbie. Sukces przyjęcia spoczywał więc w znacznym stopniu na barkach kamerdynera.

- Jesteś gotów, Fielding? - zapytała Maura. - Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

- Wszystko przygotowane, panno Caulfield. - Fielding był, jak zwykle, bez zarzutu.

Jeśli w związku ze zbliżającym się wieczorem odczuwał pewien stres, to nie dawał tego po sobie poznać.

- A lokaje? Zostali poinstruowani, jak serwować posiłek *à la Russe*? - *À la Russe* oznaczało nakładanie gościom każdej potrawy przez lokajów. - Jeśli potrzeba więcej służby, można wypożyczyć pokojowego lub ogrodnika. - Na prowincji Maura z ciotką często były zmuszone szukać dodatkowej służby i zdarzało im się kierować pokojowego lub ogrodnika właśnie do obsługi gości.

Fielding zdawał się urażony jej sugestią.

- Mój personel jest obeznany z oboma sposobami obsługi.

Maura nie chciała go obrazić. Służba hrabiego była bez wątpienia liczniejsza niż w domu jej wuja. Fielding nie musiał szukać dodatkowych ludzi w stajni czy ogrodzie.

- Dobrze więc. Widzę, że masz wszystko pod kontrolą. Rano wypytam was dokładnie

o przebieg wieczoru... Już się nie mogę doczekać.

I ruszyła do drzwi, choć nagle zrobiło jej się dziwnie ciężko na sercu. Dochodziła piąta. Za dwie godziny zaczną się zjeżdżać goście, a ona nie będzie uczestniczyła w przyjęciu, które organizowała przez dwa tygodnie, zwijając się jak w ukropie. Nie zobaczy, jak ono przebiega, nie zapobiegnie ewentualnym niedociągnięciom. Nie przypuszczała nawet, że będzie się czuła tak odpowiedzialna za samo wydarzenie i jego gospodarza, zupełnie jakby to ona była panią domu.

Ale tak było lepiej. Powinna dziękować Bogu, że choć mieszkała w Londynie już od miesiąca, to nic nie świadczyło o tym, że wuj próbował o nią pytać. Możliwe jednak, że była poszukiwana, więc nadal powinna się ukrywać. Miesiąc to zbyt krótki okres, by wuj zrezygnował. Jeszcze nie mogła pogratulować sobie sukcesu, choć była coraz bliższa ostatecznej wygranej. Im dłużej przebywała na wolności, tym trudniej trafić na jej ślad. Trop stygł, a Maura zrobiła wszystko, co w jej mocy, by jak najstaranniej go za sobą zatrzyć: podała fałszywe nazwisko, rezerwując miejsce w dylizansie, i inne fałszywe nazwisko w agencji pani Pendergast. Liczyła, że to wystarczy.

Była bezpieczna i mogła rozpocząć nowe życie. Małżeństwo z Wildehamem mogło jej przynieść tylko nieszczęście i degradację. Nie potrafiła się do tego zmusić, nawet żeby ocalić wuja. Musiał znaleźć inny sposób spłacenia długu.

Zajrzała do pokoju dziecinnego. Riordan i dzieci zdążyli już wrócić ze spaceru. Riordan leżał na brzuchu na dywanie i grał z nimi w... oczko? Czy nie mógł zagrać z nimi w Czarnego Piotrusia? - zastanowiła się.

- Może chcesz podnieść stawkę, skoro masz jedenastkę i ciągniesz jeszcze jedną kartę? - Riordan namówił chłopca, żeby dorzucił jeszcze kilka kulek do puli, i rzucił mu kolejną kartę: królową.

- Oczko! Wygrałem! - wrzasnął William i kątem oka dostrzegł Maurę. - Widziałas, Szósta?

- Widziałam - zapewniła z uśmiechem.

Riordan wstał i obciągnął kamizelkę.

- Oczko to doskonale ćwiczenie arytmetyczne, uczy szybkiego dodawania - wyjaśnił, nieco skruszony.

- Podobnie jak fiszki - odparła spokojnie Maura. - Mamy własne gry. Cecylio, pokazałaś wujkowi swój kalendarz?

- Pokazałam. I obrazki, które namalowałam też. - Jednak była zbyt zaabsorbowana własnymi sprawami, żeby poświęcić kalendarzowi więcej uwagi. - Widziałas nową lalkę,

którą przywiózł mi wujek Ree? Nazywa się Heather. I ma prawdziwe włosy. Czy na dole jest pięknie? Jak wyglądają kwiaty?

Maura roześmiała się. Pogoda Cecylii przepędziła dręczące ją demony smutku. Objęła dziewczynkę, usiadła przy niej na podłodze i zaczęła jej opisywać dekoracje. William przysunął się, również zainteresowany efektami zamieszania, które zapanowało w domu przez ostatnie dwa dni. Gra w oczko poszła w zapomnienie.

- Na stole są kompozycje z błękitnych niezapominajek i żółtych żonkili. Karty menu zostały ozdobione w dolnym rogu złotym emblematem z kwiatami w tym samym kolorze. To musiało zająć wiele godzin, bo wszystkie obrazki zostały wykonane ręcznie.

Cecylia wydała teatralne westchnienie.

- Chciałabym to zobaczyć!

- Panie mogą zabrać menu do domu na pamiątkę - powiedziała Maura. - Ale jeśli któreś zostanie, to poproszę Fieldinga, żeby je schował dla ciebie. Każdy z gości dostanie też kotylion. - Kotyliony pojawiały się zwykle na balach, ale ciotka Sophie uznała, że będzie to dobre posunięcie. - Od Guntera przysłano specjalne czekoladki o nadzieniach w różnych smakach. Przywieziono je w wyjątkowo eleganckich białych pudełkach przewiązanych wstążeczkami w kolorze kwiatów. Niektóre czekoladki mają nadzienie truskawkowe, inne migdałowe, a jeszcze inne...

- Panno Caulfield! Tu pani jest! - Ciotka Sophie wpadła do pokoju dzieciennego bez tchu. - Wszędzie pani szukałam!

To była ciężka przesada, jako że jeszcze pół godziny temu Maura była na dole. A poza tym, gdzie by miała być guwernantka, jeśli nie w pokoju dzieciennym? Postanowiła jednak zachować tę dość oczywistą uwagę dla siebie.

- Czy coś się stało?

- Nie coś, ale najgorsze! Katastrofa! Całkowita katastrofa! - Maura wymieniła spojrzenia z Riordanem. „Najgorsze” mogło się okazać zarówno rozruchami ulicznymi, jak i stłuczonym talerzem. - Chodzi o Langleyów! - Ciotka Sophie nerwowo kręciła w palcach chusteczkę. - Ich córka Susannah najadła się wczoraj truskawek i zeszła dziś rano obsypana wysypką. Możecie sobie wyobrazić, jak wygląda! I w rezultacie wszyscy troje nie przyjdą. To doprawdy całkowity brak ogłady, żeby w ostatniej chwili powiadomić o zwolnieniu trzech miejsc przy stole! I gdzie ja teraz znajdę brakujące trzy osoby?

- Ciocia chce powiedzieć, że brakuje jednej osoby. - Riordan wstał z podłogi i wyprostował się na całą wysokość swoich ponad sześciu stóp wzrostu. Stanowił przeciwieństwo swej drobniutkiej, zwariowanej krewnej. - Wystarczy jedna, by do stołu

zasiadł równy tuzin biesiadników. Nie musimy mieć przy obiedzie czternastu osób.

- To nie takie proste - zachnęła się ciotka. - Przecież to nie może być byle kto, tylko koniecznie kobieta, żeby zgadzała się liczba kobiet i mężczyzn. A żadna porządna kobieta nie zgodzi się przyjść sama, więc w rezultacie będzie trzynaście osób. - Podniosła rękę do nieba. - Trzynaście! Pomyśl tylko, Chatham. To przyniesie pecha.

Riordan uśmiechnął się znowu, Maura w jednej chwili przejrzała jego myśli i cofnęła się o krok, jakby chciała uciec przed następnymi słowami.

- Nie, ja nie pójdę! - zawołała, żeby ubiec jego prośbę. - Nie mogę.

- Owszem, możesz - odparł Riordan z przekornym uśmiechem. - I nie próbuj mi wmawiać, że nie masz w co się ubrać. Oboje wiemy, że masz.

Kiedy spoglądał na nią w ten sposób, czuła się tak, jakby byli w pokoju sami, jakby ciotka Sophie nie stała trzy stopy od nich, przenosząc spojrzenie z jednego na drugie, starając się nadążyć za rozmową, z której nieoczekiwanie została wykluczona.

- Cudownie! - Cecylia z podniecenia kręciła się jak fryga. - Pomogę ci się ubrać, Szóstka. Zupełnie jakbyś była Kopciuszkiem, który wybiera się na bal. Musisz iść, los tak chciał - zakończyła stanowczo.

- To przesądza sprawę. - Riordan założył ramiona i uśmiechnął się z satysfakcją. - Jeśli chcesz, to przyślę na górę pokojówkę, żeby ci pomogła. Wydaje mi się, że jedna z dziewcząt ma pewną wprawę w układaniu włosów.

- Jestem guwernantką, to byłoby w najwyższym stopniu niestosowne. - Maura zwróciła się do ciotki Sophie w ostatniej rozpaczliwej próbie uniknięcia udziału w przyjęciu, ale Riordan uprzedził odpowiedź ciotki.

- Jeśli stajenny może pełnić funkcję lokaja, to guwernantka może być gościem. - W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. - Wpadłaś we własne sidła. - Na jego ustach błąkał się leciutki uśmieszek, zdecydowanie zbyt intymny jak na stosunki pracodawca-pracownica. - Musisz się pośpieszyć, jeśli masz za dwie godziny zejść na dół.

Maura nie mogła walczyć z nimi wszystkimi, choć czuła, że powinna. Brakowało jej jednak amunicji. Nie mogła przecież powiedzieć: „Nie chcę się pokazywać publicznie, żeby nie ryzykować rozpoznania przez kogoś ze znajomych wuja, bo to mogłoby się skończyć odesłaniem mnie do domu i zmuszeniem do małżeństwa, którego chcę uniknąć za wszelką cenę”. Jak Riordan zareagowałby na takie słowa? Pewnie osobiście by ją odesłał. Mężczyźni zawsze popierają się w tego typu sprawach. Nie miała wyboru. Pozwoliła Cecylii wyciągnąć się z dziecinnego pokoju i zacząć się stroić na przyjęcie. Niepokój i podniecenie walczyły w niej o lepsze.

Kiedy pokojówka skończyła układać jej włosy, a Cecylia otoczyła szyję sznurkiem pereł, podniecenie zdecydowanie wzięło górę nad niepokojem i zdrowym rozsądkiem.

Czy wuj szukał jej w Londynie? Jakie było prawdopodobieństwo, że na niewielkim, kameralnym przyjęciu dla dwunastu osób znajdzie się któryś z jego znajomych? A nawet gdyby, to czy ją rozpozna?

Młoda kobieta, która spoglądała na nią z lustra, kobieta o artystycznie wystylizowanej fryzurze, robiła wrażenie wyrafinowanej, światowej damy, a nie młodziutkiej panienki, którą mogli widywać przy stole pana Hardinga z Exeter. Szczególnie że występowała pod nazwiskiem Caulfield, co jeszcze bardziej zmniejszało szanse, że zdołają powiązać ją z wujem.

Szanse... Może nazbyt długo była pod wpływem Riordana? Zaczynała już myśleć tak jak mały William. Udział w dzisiejszym przyjęciu był rzeczywiście rodzajem hazardu, ryzyka, które podejmowała wbrew logice i wbrew ostrożności. Tym razem jednak powinna wygrać. Prawdopodobieństwo, że zostanie zdemaskowana podczas obiadu w niewielkim gronie, było doprawdy znikome.

Cecylia i William przyglądali się zza balustrady gościom, którzy przechodzili przez hol i znikali w drzwiach salonu.

- Nie mogłoby być lepiej, nawet gdybyśmy to sami zaplanowali - cieszył się William.

Siostra przyznała mu rację, nie ochłonęła jeszcze z podniecenia, że pomagała Szóstej wystroić się na bal.

- Wygląda jak księżniczka. Wujek Ree zakocha się, jak tylko ją zobaczy. Do rana będzie po wszystkim.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z każdym daniem pewność siebie Maury rosła. Nabrała przekonania, że podczas tego obiadu na dwanaście osób nie zostanie zdemaskowana. Mogła się odprężyć i cieszyć się przyjęciem. I zapewne cieszyłaby się nim, gdyby nie Riordan. Znowu się na nią gapił. Oczywiście udawała, że tego nie dostrzega. Powinien bardziej nad sobą panować, bo pozostałe panny poczują się lekceważone. W końcu to przyjęcie zostało wydane dla nich. Nie wypadało, żeby gospodarz przez cały wieczór nie odrywał oczu od guwernantki. Nie tylko Maura to zauważyła. Lodowaty uśmiech na twarzy lady Heleny dowodził, że i ona to spostrzegła. Córki markizów nie zwykły przegrywać z guwernantkami.

Maura wzięła łyk wina i udawała fascynację słowami dżentelmena po prawej, barona Hesperly, który mówił wyłącznie o wędkarstwie, ale za to z niezwykłą pasją. Ale czymże był pstrąg z zimnych strumieni w porównaniu z gorącym spojrzeniem błękitnych oczu? Riordan dostrzegał każdy uśmiech kierowany do barona, każdy wybuch jej śmiechu. Widziała to, ale widziała również, że lady Helena zaplątała się już w niewidzialną sieć uroku Riordana.

Czy to lady Helena zostanie jego wybranką? Maura poczuła ukłucie zazdrości. Nie mogła sobie wyobrazić tej obdarzonej klasyczną urodą, ale i chłodem greckich rzeźb, damy u boku żywiołowego i swobodnego Riordana. Lady Helena nie wyglądała na osobę, której spodobałby się piknik w parku połączony z puszczaniem latawców i łódeczek na stawie, bo nie dawało się przy tym uniknąć plam z trawy na sukni.

Właściwie żadna z obecnych na przyjęciu panien nie pasowała do spontanicznego Riordana i rozbrykanych dzieci. Lady Audrey sama wydawała się jeszcze dzieckiem, a lady Marianne była zbyt potulna. Nie, skarciła się w duchu Maura, dość tego. To szczyt podłości siedzieć przy stole i deprecjonować w myślach pozostałych gości.

- A pani lubi łowić ryby, panno Caulfield? - zainteresował się baron.

Maura uśmiechnęła się.

- Ja lubię jeść ryby.

Baron Hesperly roześmiał się nieco zbyt głośno i uderzył się otwartą dłonią w udo.

- Dobrze powiedziane, panno Caulfield.

To ponownie przyciągnęło do niej dwie pary oczu z drugiej strony stołu: chłodne spojrzenie zielonych, kocich lady Heleny i gorące, szafirowych oczu Riordana, który nie

próbował nawet udawać, że na nią nie patrzy. Znowu.

Gdybym zastrzelił barona Hesperly, musiałbym również zabić wszystkich pozostałych, pomyślał Riordan, obserwując, jak Maura czarowała siedzącego przy niej barona. Bo wszyscy byli nią zachwyceni. Ściślej mówiąc: wszyscy mężczyźni. Widział to, zanim jeszcze usiedli do stołu. Maura krążyła dyskretnie po salonie wraz z ciotką Sophie i bawiła gości rozmową.

Ciotka przesadnie nadskakiwała wszystkim dżentelmenom, w sposób zupełnie otwarty i nieco irytujący. Maura zachowywała się znacznie subtelniej - okazywała rozmówcy swoje zainteresowanie lekkim uśmiechem, pytającym uniesieniem brwi zachęcała do kontynuowania tematu, a jeśli gość był nieco spięty, uspokajała go przelotnym dotknięciem rękawa. Potrafiła sprawić, że każdy czuł się ważny i mile widziany.

Riordan dał znak lokajowi, by dołał wina do jego kieliszka, ale ani na chwilę nie spuszczał z oka barona Hesperly, który gapił się na Maurę. A ściślej mówiąc, na jej biust. Riordan uznał, że dekolt akwamarynowej sukni odsłaniał stanowczo zbyt wiele, choć wcale nie był głębszy niż pozostałych pań. Suknia Maury podkreślała jednak jej ponętne kształty w sposób, który nie pozostawiał pola wyobraźni.

Każdy mężczyzna musiał zwrócić na nią uwagę i rzeczywiście zauważyli ją wszyscy, gdy tylko weszła do salonu. Do diabła, był kompletnie skołowany na własnym przyjęciu. Dlaczego? Może to skutek pięciu kieliszków wina? Nie licząc brandy, którą wypił dla kurazu, przebijając się do obiadu.

Oczywiście, wspomniani dżentelmeni mogli zwrócić uwagę na Maurę dzięki jej sztuce prowadzenia rozmowy lub uwadze, z jaką wysłuchiwała ich nudnych, bez wątpienia, opowieści. Ale Riordan wiedział, jakimi drogami podążały myśli mężczyzny, więc podejrzewał, że niewiele uwagi poświęcali jej nienagannym manierom i błyskotliwej konwersacji. Zapewne reagowali podobnie jak on, a jego uwaga koncentrowała się przede wszystkim na szyi Maury, otoczonej pojedynczym sznurkiem pereł, na jej włosach, które w świetle kandelabrow połykiwały cynamonowo, i na nieprzyzwoitych marzeniach o tym, by zsunąć z jej ramion jedwabną suknię i przekonać się gdzieś na osobności, czy te wysokie, twarde piersi pasują do jego dłoni. No, świetnie! Teraz Riordan był już nie tylko pijany, ale i podniecony.

W rozpaczliwym wysiłku, by odzyskać trzeźwość umysłu, Riordan wziął kolejny kawałek sarniny, podawanej *à la jardini re*, i powiódł wzrokiem wzdłuż stołu. Ciotka Sophie postarała się o obecność czterech młodych dam najbardziej pożądanym w towarzystwie, prawdziwych ozdób tego sezonu.

Po lewej ręce Riordana została ulokowana lady Helena Bostwick, córka markiza Southdowne. Przyszła w towarzystwie swego brata, dziedzica tytułu. Lady Helena, ładna, ciesząca się nienaganną opinią blondynka, miała ogromne poczucie własnej wartości i pragnęła je narzucić wszystkim dokoła.

Nieco dalej siedziała panna Ann Sussington, córka barona Hesperly. Dziewczyna o świetlistych, szarych oczach i ostrym dowcipie bawiła wszystkich siedzących w jej części stołu, nic więc dziwnego, że zwróciła na siebie uwagę syna markiza. Ale wobec Riordana, który nawiązał z nią rozmowę przed obiadem, była pełna rezerwy. Dalej była lady Audrey, której największą zaletę stanowił majątek i to właśnie pieniądze przyciągały ku niej powszechną uwagę od początku sezonu. Na samym końcu stołu, obok ciotki Sophie, siedziała lady Marianne, która mogłaby prowadzić błyskotliwą konwersację, gdyby udało się jej dojść do słowa.

Riordan musiał przyznać, że ciotka wybrała najlepsze panny na małżeńskim rynku tego sezonu. To niemal cud, że udało się zgromadzić tak wspaniałe grono pod jednym dachem. Nie miał złudzeń, dlaczego wszystkie przyjęły jego zaproszenie. Z czystej ciekawości. Zaciekawienie młodych dam budziła śmierć jego brata, ale i sam legendarny Riordan Barrett. „Legendarny”, a raczej „występny” albo „niepoprawny”. Bo w jakim innym miejscu panienka z dobrego domu mogłaby z bliska zobaczyć nieuleczalnego rozpustnika bez uszczerbku dla swej reputacji? Frapująca była również data przyjęcia. Dopiero minął pierwszy, najściślejszy etap żałoby, więc po Londynie krążyły plotki, że ten obiad to dowód na to, że nowy hrabia Chatham postanowił jeszcze podczas tego sezonu znaleźć żonę.

To jednak rodziło poważny dylemat. Chatham był atrakcyjną partią. Rodzice każdej panny na wydaniu, która mogła aspirować do godności hrabiny, musieli rozważyć wszystkie za i przeciw takiego małżeństwa: zdobycie wysoce pożądanej godności hrabiowskiej wiązało się z koniecznością poślubienia znanego rozpustnika, a w dodatku na tę godność padał cień niewyjaśnionej śmierci Elliotta. Riordan wyobrażał sobie, jakie dyskusje toczyli półgłosem rodzice córek zaproszonych na dzisiejsze przyjęcie.

- W jaki sposób spędza pan wolny czas, milordzie? - zapytała lady Helena, wrywając go z zamyślenia.

- Ostatnio mam niewiele wolnego czasu - odparł Riordan lakonicznie. Nie pomagał lady Helenie w podtrzymaniu konwersacji, bo zależało mu na łowieniu strzępów rozmowy Maury z owdowiałym baronem, tym bardziej że roześmiała się z czegoś, co jej powiedział, a Hesperly zdecydowanie zbyt interesował się falującym podczas śmiechu stanikiem jej sukni.

- Ale kiedy zdarzy się panu wolna chwila, to w jaki sposób najchętniej ją pan spędza?
Z pewnością ma pan jakieś hobby? - nalegała lady Helena.

- Maluję. - Maura nadal się śmiała. Do licha, nie po to wydał przyjęcie, żeby ona znalazła sobie męża! Nagle ogarnęła go zazdrość. Czy Maura chciała wyjść za mąż? - zastanowił się. Na pewno, wszystkie kobiety tego pragnęły, nawet guwernantki. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Postarał się spojrzeć na barona Hesperly jej oczami. Dla guwernantki mógł stanowić łakomy kąsek: utytułowany wdowiec z dwójką dorosłych dzieci, niewymagających już opieki. Jako mężczyzna jeszcze całkiem atrakcyjny, czterdziestoparoletni, o niezbyt wydatnym brzuszku. Miał takie same szare oczy jak córka, mądre i dobre. Robił wrażenie łagodnego z natury.

Ale Maura potrzebowała od mężczyzny czegoś więcej!

- A co pan maluje? - Lady Helena nie ustawała w wysiłkach podtrzymania rozmowy.

- Trudno powiedzieć, ostatnio niewiele malowałem - odpowiedział uprzejmie Riordan, choć miał ochotę warknąć: „akty”, żeby ją zniechęcić.

- Ma pan ulubionego malarza? Ja podziwiam prace Turnera.

- Tak, Tycjana - stwierdził Riordan z nagłym ożywieniem. Udawał, że patrzy na lady Helenę, choć w rzeczywistości spoglądał poza nią. - Tycjan w niesamowity sposób bawi się kolorem. Godzinami wpatrywałem się w jego obrazy w Wenecji. - Znał dzieła Tycjana na pamięć. Określenie „godzinami” było niedomówieniem. W rzeczywistości całe dnie studiował „Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny” na ołtarzu kościoła Santa Maria Gloriosa dei Frari.

Ręce zaczęły go świerzbic. Najchętniej wyrzuciłby z domu wszystkich gości, zaciągnął Maurę na górę i popracował nad obrazem. Aż do końca obiadu bawił się w myślach obrazami Maury w pracowni: układał ją na otomanie w rozmaitych pozach, z rozpuszczonymi włosami, czasami w ubraniu, a czasami bez, a równocześnie gratulował sobie w duchu prowadzenia gładkiej konwersacji z lady Heleną.

- A więc podróżował pan? - Lady Helena była wyraźnie pod wrażeniem, a zarazem pełna wdzięczności, że wreszcie podsunął jej temat rozmowy. Riordana jednak kompletnie to nie obchodziło. Był zbyt zajęty śledzeniem każdego ruchu Maury.

Dopiero kiedy ciotka Sophie wstała od stołu, by przejść wraz z damami do salonu na herbatę, Riordan zrozumiał, że lady Helena chyba nie do końca uległa jego czarowi. Odezwała się bowiem na tyle głośno, by jej słowa dotarły do stojących w pobliżu osób.

- To było wielce pouczające, lordzie Chatham - oświadczyła, gdy Maura minęła ją

w drodze do salonu. - Zawsze ciekawi mnie, co robi mężczyzna pozostawiony samemu sobie. Mam nadzieję, że znajdzie pan czas, by nacieszyć się swoim, hm, malarstwem.

Przyjęcie wkrótce dobiegło końca. Wielu gości wybierało się jeszcze tego wieczoru na bale. Riordan również. Był oczekiwany na raucie u Dalforthów, ale nie miał szczególnej ochoty tam iść. Chyba że Maura zgodziłaby się mu towarzyszyć, a wiedział, że to niemożliwe. Z trudem zmusił ją do udziału w przyjęciu. Jej opór był jednak zastanawiający. Która dziewczyna nie miałaby ochoty usiąść przy jednym stole z tak szacownym towarzystwem? Nie pojmował powodów jej oporu, ale nie wątpił w jego autentyczność i odczuwał lekkie wyrzuty sumienia.

Chciał z nią porozmawiać i podziękować jej za ten wieczór. Nie miał jednak do tej pory szansy. Baron Hesperly i jego córka również wybierali się do Dalforthów i zaoferowali mu miejsce w swoim powozie. Nie mógł odmówić, żeby nie wzbudzić podejrzeń lady Heleny, która bacznie go obserwowała. Pozwolił sobie jedynie na dyskretne skinienie głową Maurze, zanim został wyprowadzony z domu, mając barona z jednej, a jego córkę z drugiej strony. Córka była zresztą wyraźnie zawiedziona rozstaniem z synem markiza, który miał tego wieczoru inne zobowiązania. Panna Sussington byłaby znacznie bardziej zawiedziona, gdyby wiedziała, że te inne zobowiązania to wizyta w apartamencie przy Piccadilly zajmowanym przez włoską śpiewaczkę operową. Baron również przeżył chwilę rozczarowania, gdy Riordan ostrzegł go, by nie wiązał z panną Caulfield żadnych planów. Miał nadzieję, że pan baron nie poprosi go o podanie powodów, ponieważ jeszcze ich nie wymyślił.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Boże, jak w tym domu było cicho, pomyślała Maura. Wydawało się, że wszystko wokół niej zamarło w dziwnym bezruchu. Ciotka Sophie i wuj Hamish opuścili dom jako ostatni z gości. Odegrała swoją rolę jako dwunasta przy stole, a potem zostawili ją samą. Niczego innego właściwie się nie spodziewała.

Maura uniosła spódnice i z ciężkim westchnieniem zaczęła wchodzić po schodach. Spędziła cudowny wieczór, miała na sobie piękną suknię i jadła wykwintnie podane potrawy. Czekoladowe lody na zakończenie okazały się prawdziwym przebojem i z pewnością będą budziły rozkoszne skojarzenia, gdy któryś z gości pomyśli o nowym hrabim Chatham.

Tego wieczoru Riordan rzeczywiście zachowywał się jak hrabia. Zademonstrował zaskakujący takt i doskonale maniery. Z przekornym uśmiechem, ale szarmancko i z doprowadzonym do perfekcji urokiem, czarował wszystkie damy, nie wyłączając jej. Emanował zmysłowością i chwytął za serca chłopcym, lekko łobuzerskim wdziękiem. Kobiety nie mogły oderwać od niego oczu. W eleganckim, czarnym stroju wieczorowym, ożywionym ciemnoczerwoną kamizelką i diamentowo-onyksową spinką w krawacie, wydawał się kwintesencją męskości.

Maura zamknęła za sobą drzwi sypialni i kopniakiem zrzuciła z nóg pantofelki. Zastanawiała się, co teraz robił Riordan. Może tańczył z panną Sussington? Albo z jakąś inną szczęściarą... Wydawało się jej, że już od wieków nie tańczyła, a tak to kochała - wszystko, od skoczego, ludowego reela, aż po dostojnego, powolnego kadryla. Mało prawdopodobne, by w najbliższym czasie miała okazję zatańczyć.

Zakołysała się, nucąc jakąś melodię, i z przyjemnością poczuła, jak jedwabna spódnica ociera się o jej nogi.

- Tak, drogi panie, z przyjemnością zatańczę. - Dygnęła i uśmiechnęła się do wymyślanego partnera. W pokoju było niewiele miejsca, ale zdołała wykonać kilka kroków ludowego tańca.

Do licha, kto był u niej na górze? Riordan przeżył chwilę paniki. W pierwszej chwili pomyślał, że Hesperly również wymknął się z rautu. Zresztą, niezależnie od tego, z kim była, Maura najwyraźniej bawiła się doskonale.

Zza drzwi znów dobiegł jej radosny śmiech. Wezbrała w nim zazdrość. Jak śmiała! To

niedopuszczalne, by przyjmowała w swoim pokoju mężczyznę, a jego oskarżała o rozwiązłość.

- To mi zupełnie nie przeszkadza - usłyszał jej głos.

Dość tego! Riordan otworzył drzwi znacznie energiczniej, niż to było konieczne.

- Ale mnie przeszkadza. Co się tutaj dzieje? - Rozglądał się po pokoju, jakby spodziewał się znaleźć ukrytego za kotarą łóżka barona Hesperly. Ale barona nie było. Była tylko zarumieniona z zażenowania Maura.

- Tańczyłam. - Dla wyjaśnienia zakłosała lekko spódnicą. - Nie mogłam zmarnować takiej okazji.

Tym razem to Riordan poczuł się głupio. I słusznie, bo nie powinien oceniać Maury własną miarą. On mógł przemycać do swojego pokoju kobiety - właściwie nie „mógł”, jednak robił to niejednokrotnie - ale Maura nie zniżała się do takich sztuczek.

- Przepraszam, usłyszałem głosy i... - Urwał, nie mógł przecież bez ujmy dla jej godności wyjaśnić, o co ją podejrzewał. Uśmiechnął się, przywołując na pomoc swój urok. - Więc tańczyłaś. Bez partnera? - Ujął jej rękę, a drugą objął ją w talii. - Chyba możemy temu zaradzić.

Pociągnął ją do szybkiej polki. Maura bez oporu pozwoliła mu wyprowadzić się w rytm tanecznych kroków na pogrążony w ciemności korytarz.

- Ale co ty robisz w domu? - zapytała bez tchu.

- Nie miałem ochoty tam zostać, więc wyszedłem - stwierdził po prostu. Wyjaśnienie, że nie znalazł u Dalforthów ani jednej kobiety, z którą miałby ochotę zatańczyć, nie przeszło mu przez usta. To przerażające, że chciał tańczyć tylko z Maurą.

- Gospodyni poczuje się urażona.

- Nie ona pierwsza. - Riordan roześmiał się, zawinął nią w tańcu i zawrócił w przeciwną stronę.

- Cicho, obudzisz dzieci. - Maura skarciła go niezbyt szczerze.

Riordan zwolnił nieco, gdy mijali drzwi pokoju dzieciennego.

- Bardziej prawdopodobne, że baron Hesperly będzie urażony. Był bardzo tobą zajęty.

- Riordan starannie dobierał słowa. - Hesperly wypytywał mnie o ciebie w karecie. Co ty na to? - Zatrzymał się, ale nie wypuszczał jej z ramion. Oboje ciężko dyszeli po szybkim tańcu. Maura opierała się plecami o poręcz schodów. Nie miała dokąd uciec, nie mogła odwrócić od niego twarzy. Nie dał jej szansy ukryć przed nim swej reakcji. Gdyby cieszyły ją atencje barona, musiałyby to zauważyć.

- Baron wydaje się miłym człowiekiem. - Maura równie ostrożnie dobierała słowa.

Może wyczuwała irracjonalną złość, jaką budziła w Riordanie sama myśl o baronie.

Parsknął nieprzyjemnym śmiechem.

- Miłym? To określenie zraniłoby jego męską dumę. Żaden mężczyzna nie chciałby uchodzić za miłego. - Zazdrość o barona sprawiła, że posunął się za daleko. Przysunął się i zbliżył usta do jej ucha. - Chcesz wiedzieć dlaczego, Mauro? Bo miły mężczyzna nie jest w stanie zadowolić kobiety. - W przeciwieństwie do mnie. Ja potrafię cię zadowolić na rozmaite sposoby, nawet takie, których nie potrafisz sobie jeszcze wyobrazić. To niewypowiedziane, ciężkie i prowokacyjne przesłanie zawisło między nimi w ciemnościach.

- Dość tego. - W zielonych oczach Maury pojawił się błysk gniewu i rozczarowania. Zawiódł ją i to go ubodło. - Twoje słowa są szokujące, a aluzje jeszcze bardziej. Czy po to wróciłeś do domu?

Rozgniewała się na niego. I słusznie. A przecież nie po to wymknął się z rautu u Dalforthów i popędził do domu. Zamierzał porozmawiać z Maurą, opowiedzieć jej o swoim wyjeździe i o człowieku, który zmarł na jego oczach. Ale teraz, gdy już wrócił, zapragnął czegoś więcej. Chciał ją pocałować, aby przypieczętować swoje prawo do niej. Choć to przecież nie miało sensu, bo nic z tego pocałunku nie mogło wynikać. A przynajmniej nic trwałego. Musiał się ożenić, żeby ratować dzieci.

Jednak w tym momencie desperacko pragnął zaznaczyć, że należała do niego. Nie do barona Hesperly ani do żadnego z mężczyzn, którzy dzisiaj na nią patrzyli. Do niego. Zaczynał rozumieć, że urok Maury polegał na czymś więcej niż tylko na urodzie.

Objął dłonią jej policzek i pogładził kciukiem. Złość powoli zaczęła ich opuszczać. Riordan spotykał już w życiu kobiety, które przyciągały mężczyzn jak magnes, ale Maura robiła coś więcej, ona zmieniała ich na lepsze.

Spojrzała mu w oczy pytająco, niepewna, co się zaraz stanie ani co powinno się stać. Istniały powody, by oboje jak najszybciej umknęli do swoich sypialni, ale Riordan nie należał do ludzi, którzy kierują się rozsądkiem.

Pochylił się do jej ust.

- Przyszedłem do domu po to.

Oby bogowie mieli go w swojej opiece, pomyślał, ponieważ istniało ryzyko, że również i jego Maura zdoła zmienić na lepsze.

Dwie jasne główki przyłgnęły do szpary w drzwiach pokoju dziecinnego i gapily się w osłupieniu. Wujek Ree całował Szóstą! Wszystko szło znakomicie i to bez ich udziału.

- Mówiłam, że do rana będą w sobie zakochani - stwierdziła Cecylia z zadowoleniem.

- Zupełnie jak w bajce.

Praktyczny z natury William zmarszczył czoło.

- Ale zwykle w tym momencie staje się coś złego, prawda? Zła wiedźma znajduje księżniczkę albo czar pryska.

Cecylia wyduła wargi i zastanawiała się przez chwilę. Brat dał jej do myślenia.

- No, takie rzeczy zdarzają się tylko w bajkach. A to jest prawdziwe życie, Will. Nie ma złych wiedźm ani czarów. Co złego mogłoby się wydarzyć?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Riordan odłożył gazetę i spojrzał w pełne przerażenia oczy ciotki. Przyjechała do niego z samego rana i nietrudno się domyślić dlaczego. Kolumna towarzyska porannego wydania gazety nie była dla niego łaskawa. Ktoś zadał sobie nieco trudu i udzielił prasie poufnych informacji o przebiegu przyjęcia. Domyślał się, kim mógł być ten ktoś.

- "Lord Ch. spoglądał głównie na pannę C., nie zwracając uwagi na wyżej stojących w hierarchii towarzyskiej i zamożniejszych gości. Najbardziej szokujący w tym wszystkim jest fakt, że panna C. to nikt inny jak zatrudniona w jego domu guwernantka. To zainteresowanie nie było zapewne przypadkowe. Z innych źródeł dowiadujemy się, że lord Ch., wkrótce po przybyciu na raut u Dalforthów, wymknął się ukradkiem do domu. Takie zachowanie rodzi wątpliwości, czy lord Ch. naprawdę rozgląda się za żoną, czy też ma to stanowić zasłonę dymną dla jego kolejnego romansu". - Ciotka Sophie odczytała notatkę na głos na wypadek, gdyby Riordan nie znał jej jeszcze na pamięć. - Jesteśmy skompromitowani! I to już na samym początku.

- Nonsens, ja byłem całkowicie skompromitowany na długo przed tym przyjęciem, a ty, ciciu, jesteś już przecież zamężna. Dla ciebie ten skandal nie ma znaczenia. - Riordan zlekceważył narastającą histerię ciotki. On sam nie przykładął najmniejszej wagi do publikacji w kolumnach towarzyskich, natomiast jeśli chodzi o ciotkę Sophie i wuja Hamisha, to już od dawna mieli wyrobioną opinię w towarzystwie. Martwił się jedynie o Maurę. To ona została najbardziej oszkalowana. I przejmował się, oczywiście, reakcją Vale'ów. To była woda na ich młyn, kolejny dowód, że Riordan Barrett nie nadawał się na opiekuna dzieci.

- W tej chwili, ciciu Sophie, musimy wykonać pewien manewr, żeby uciszyć te plotki.

- To nie plotki, Chatham, to zostało wydrukowane w prasie! - zawołała Sophie piskliwie.

Riordan złożył serwetkę i położył ją obok talerza.

- Zaproszę pannę Sussington na wycieczkę, najlepiej razem z dziećmi. To powinno wyglądać na taką szacowną, niemal rodzinną rozrywkę. I ludzie zapomną o tym, co jak im się wydawało, widzieli na moim przyjęciu.

Ten pomysł przywrócił ciotkę do życia.

- Twój wuj jest członkiem Królewskiego Towarzystwa Zoologicznego. Możesz ją zabrać do ogrodu zoologicznego w Regent Parku.

Riordan kiwnął głową z aprobatą. Zoo było dostępne wyłącznie dla członków Towarzystwa. Kto by pomyślał, że wuj Hamish może okazać się użyteczny? To znakomity pomysł. Dzieci będą uszczęśliwione.

- Od razu wyślę list z zaproszeniem.

- A więc to będzie ona? - zapytała ciotka Sophie po chwili milczenia. - Zdecydowałeś się na pannę Sussington?

Idiotka.

- To tylko manewr dla zamydlenia ludziom oczu - wyjaśnił cierpliwie Riordan. - Zastanów się, ciociu, czy mogłem tak szybko podjąć decyzję? Przecież dopiero ją poznałem.

Wybrał pannę Sussington, żeby zminimalizować ryzyko. Poprzedniego wieczoru zauważył, że zdecydowanie wolała syna markiza. Jeśli postanowiła złowić tamtego, tym lepiej. Mało prawdopodobne, by oczekiwała bądź pragnęła kolejnych awansów z jego strony. Dla niego miała stanowić jedynie krótką przerwę w poszukiwaniu kobiety, o której względu naprawdę będzie chciał zabiegać. A musiał znaleźć ją szybko, bo Vale'owie nie będą czekali z zadaniem decydującego ciosu. Może ciotka miała rację? Może powinien poślubić pannę Sussington i skończyć z tym wszystkim? - pomyślał raz jeszcze.

Oczy ciotki Sophie zwęziły się podejrzliwie.

- Zgodzę się pod jednym warunkiem: że przekonasz mnie, iż w tych obrzydliwych plotkach nie ma ziarnka prawdy.

- Jak mogłaś pomyśleć coś podobnego? Jestem wstrząśnięty. - Riordan udawał urażonego. Przy całej swej głupocie ciotka Sophie miewała przebłycki rozsądku, o tyle groźne, że nieprzewidywalne.

- A ja zupełnie nie jestem wstrząśnięta, że mogłam coś takiego pomyśleć. - Sophie wycelowała w niego palec. - Widziałam, jak wczoraj na nią patrzyłeś. Wszyscy to widzieli. Dzisiejsza gazeta jest tego najlepszym świadectwem. Pamiętaj, że w chwili, gdy próg tego domu przestąpi twoja żona, guwernantka musi go opuścić. Po czymś takim żadna przyzwoita kobieta nie zniosłaby jej obecności pod swoim dachem. - Sophie zgarnęła swoją torebkę i parasolkę. - Zostawiam cię, żebyś to sobie przemyślał, siostrzeńcze. Muszę złożyć kilka wizyt. Spróbuję uratować twoje małżeńskie plany, o ile to tylko możliwe. Nie zapomnij wysłać natychmiast zaproszenia.

Riordan z roztargnieniem nagryzmołił bilecik do panny Sussington. Ciotka Sophie miała rację. Maura nie mogła tu pozostać. Nie pomyślał o tym dotychczas. Nawet jeśli uda się

zażegnać gazetowy skandal, problem pozostanie.

Dzieci będą załamane. Maura je uwielbiała, a one zaczęły już przyzwyczajać się do niej i wprowadzonego przez nią porządku dnia. Cecylia przestała wszystko niszczyć, a William nie był już taki wycofany. Powoli życie w domu wracało do normalności. Jak miał zniszczyć odzyskaną z takim trudem stabilizację? Riordan uśmiechnął się do siebie. Maura byłaby zadowolona, że przyszło mu do głowy słowo „stabilizacja”. Wreszcie, po tylu wysiłkach, przekonała go o słuszności wprowadzenia stałego porządku dnia.

Postanowił dać jej wspaniałe referencje, a będą jej potrzebne po tej paskudnej wzmiance w gazecie. Mógł również rozejrzeć się za jakąś przyjemną posadą dla niej. Może Merrick i Alixe wzięliby ją do swoich uroczych bliźniaczek? - zastanowił się. To miałyby jeszcze tę zaletę, że mógłby ją nadal czasem widywać...

Skrzywił się z niesmakiem, kiedy uświadomił sobie, jakimi drózkami podążały jego myśli. Martwiła go konieczność oddalenia Maury i to nie tylko ze względu na dzieci. Nie chciał jej odprawić, pragnął, by została z nim... Z nimi. Ale co zrobić? Jak mógł uratować i ją, i dzieci równocześnie?

Fielding przyniósł pocztę, dzięki czemu Riordan przypomniał sobie o obowiązkach. Nie tylko przyszłość Maury wymagała jego uwagi. Zaczął od listu do Browninga z prośbą o zdobycie - drogą legalną lub nie - kopii oświadczenia majątkowego Vale'a. Potem przejrzał pocztę, szukając odpowiedniego zaproszenia. Powinien pokazać się tego wieczoru na jednej czy dwóch imprezach w przyzwoitych domach. Jego ręka zatrzymała się na prostej, białej kopercie. Podczas jego pobytu w Sussex agencja pani Pendergast raczyła odpisać. Może przynajmniej jedna tajemnica zostanie wkrótce rozwikłana.

Riordan otworzył list, przebiegł go wzrokiem i doznał rozczarowania. Miał nadzieję, że dowie się od pani Pendergast czegoś więcej o pannie Caulfield, ale ona wymieniła tylko powtórnie listę uzdolnień Maury i podała datę, w której zarejestrowała się ona w agencji - był to dzień, w którym rozpoczęła pracę u niego. Brak informacji był doprawdy irytujący. Wzory doskonałości nie zjawiały się nagle nie wiadomo skąd. Z drugiej jednak strony, pomyślał, nie zagląda się darowanemu koniowi w zęby.

Pojawiła się wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebował. I wodziła go na pokuszenie. Trzykrotnie już narzucał się jej z gorącymi pocałunkami. I nie tylko pocałunkami. Nieważne, że odwzajemniała je z równą namiętnością. Porządny pracodawca w ogóle nie zbliżałby się do niej. Najgorszy był wczorajszy wieczór. Riordan był zaborczy i zły, bo to baron zaglądał jej w dekolt, a nie on. Kiedy zobaczył Maurę schodzącą po schodach na obiad, cały świat stanął w miejscu. Dosłownie poraziło go jej piękno. I to nie tylko piękno fizyczne. Maura

była dobra i czysta, reprezentowała sobą to wszystko, co on utracił już wiele lat temu. I chciał się w niej zatracić. Bardzo chciał.

Musiał jednak ograniczyć się do pocałunku i nie miał prawa, nie mógł jej zdobyć. To była prawdziwa tortura. Ale co ktoś taki jak on mógł zrobić z takim skarbem? Mógł tylko ją zniszczyć, zbrukać jej czystość i dobroć. I to właśnie zrobił. Wygadywał rozmaite plugastwa, żeby zniesławić przyzwoitego mężczyznę. Po co? Żeby wybrała takiego żalostnego drania jak on i jego niestosowną ofertę? Miał szczęście, że jeszcze nie odeszła... Ale właściwie dlaczego nadal tu była? Musiała go choć trochę polubić...

Riordan już od dawna nie zastanawiał się nad tym, czy jakaś kobieta go lubi, a jeszcze wcześniej przestał się tym przejmować. To było zbędne w uprawianym przez niego „łózkowym” sporcie. Kobiety lubiły to, co z nimi robił, ale czy lubiły jego? I czy on lubił w nich coś poza ich ciałami i rozkoszą, jaką z nich czerpał? To przez Maurę zastanawiał się nad takimi wydumanymi problemami. To jej wina! - skonstatował z irytacją.

Tymczasem wrócił Fielding z liścikiem od panny Sussington. Tak szybko, bo mieszkała zaledwie dwie ulice dalej. Riordan przebiegł wzrokiem odpowiedź. Z radością będzie mu towarzyszyła tego popołudnia.

- Fielding, przekaz pannie Caulfield, żeby była gotowa z dziećmi o pierwszej. Jedziemy do zoo.

Maura nie miała ochoty wychodzić z domu. Po wczorajszej nocy zachowywała się jak tchórz i starannie unikała spotkania z Riordanem. Nie bała się jego, bała się tamtego pocałunku, bo wczorajszy pocałunek różnił się od poprzednich. I nie mogli go tłumaczyć nadmiarem brandy. On coś znaczył, był słodki i powolny. Wołała go nie analizować, by nie stanąć w obliczu czegoś, na co w jej życiu w tym momencie nie ma miejsca.

A teraz dowiadywała się, że całe popołudnie przyjdzie jej spędzić w towarzystwie Riordana. Oczywiście nie w cztery oczy - w obecności dzieci i panny Sussington. Nie musiała się obawiać, że dojdzie do czegoś niestosownego. Riordan, lord Chatham, będzie musiał skoncentrować uwagę na młodej przyzwoitej damie. Ta myśl jednak zamiast ulgi sprawiła jej zawód, szczególnie gdy wyobraziła sobie, że mógłby całować pannę Sussington tak samo jak ją. Doprawdy, powinna zacząć o nim myśleć w bardziej formalny sposób, jako o lordzie Chatham.

Lord Chatham był rozpustnikiem. Pani Pendergast uprzedziła ją o tym od razu, a on w pełni potwierdził tę opinię w ciągu miesiąca, który Maura spędziła pod jego dachem. Ostatnia noc stanowiła najlepszy dowód. Także dowód na to, że niepostrzeżenie pozwoliła się wciągnąć w sieć wyuzdania, zignorowawszy wszystkie sygnały ostrzegawcze - nie zauważała

drzew, aż weszła w gęsty las.

To, co podczas pierwszego wspólnego obiadu rozpoczęło się jako niewinny flirt, doprowadziło do skradzionego pocałunku o północy, do picia brandy, do niewypowiedzianej, występnej rozkoszy, do tańca na ciemnym korytarzu i słodkiego pocałunku pełnego nierealnych obietnic, których żadne z nich nie miało prawa składać, a które sprawiły, że przez pół nocy nie mogła zasnąć, uniesiona bajkową iluzją, która prysła wraz z nastaniem dnia.

Powinna go znienawidzić za to, że ją wykorzystał, że pokazał jej namiętność, która nie mogła zostać spełniona. Może dzisiejszy dzień nauczy ją nienawiści. Obserwowanie jego zabiegów o względy panny Sussington stanowiło antidotum, jakiego potrzebowała. Wiedziała jednak - i to zanim jeszcze wyszli do zoo - że łatwiej to powiedzieć niż zrobić.

Maura zabrała dzieci na górę i przebrała je w wiosenne kurtki i solidne buty. Przez całą noc padało i choć od rana świeciło słońce, nietrudno się było domyślić, jakie błoto będzie w parku.

- Wujek Ree mówi, że w zoo mają nowego szympansa - zawołał podekscytowany William, kiedy schodzili po schodach. - Przyjechał prosto z Afryki. Ma na imię Tommy. Może jak dorosnę, zostanę podróżnikiem i przywiozę do Londynu rozmaite zwierzęta, żeby wszyscy je mogli zobaczyć. - Williamowi usta się nie zamykały, dopóki nie wsiedli do otwartego powozu. Chłopiec, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, jechał z przodu obok stangreta, podczas gdy Maura z Cecylią usiadły w środku, wraz z panną Sussington i Chathamem.

Panna Sussington wyglądała bardzo ładnie w spacerowej sukience z różowego, powiewnego muślinu i narzutce w tym samym odcieniu, który podkreślał urodę jej ciemnych włosów i szarych oczu. Była elegancka jak spod igły i stanowiła idealne uzupełnienie każdego męskiego ramienia. Jeśli zaskoczył ją widok dzieci i guwernantki, to nie okazała tego. Nie okazała jednak również zadowolenia z ich obecności. Maura zaczynała się zastanawiać, czy panna Sussington w ogóle zdradzała jakiegokolwiek emocje. Jej zachowanie najlepiej określało słowo: niewzruszona.

- Dzieci są kochane - zauważyła panna Sussington, gdy powóz ruszył. - Ale w jaki sposób trafiły do pana? - Czy Maura tylko wyobraziła sobie lekki chłód w jej głosie?

- To wychowankowie mojego brata. - Pełen rezerwy głos lorda Chatham był równie bezosobowy jak panny Sussington. - Trafiły do mnie po jego śmierci. - Jego ton wskazywał, że nie miał ochoty kontynuować tego tematu. Na jego zazwyczaj tak wyrazistej twarzy nie malowały się żadne uczucia.

Panna Sussington obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem, przy którym na jej policzkach

pojawiły się cudowne dołeczki. Musiała to chyba ćwiczyć przed lustrem godzinami, bo efekt był idealny.

- Musi pan być wyjątkowo szlachetnym człowiekiem, skoro wziął pan na siebie ten ciężar. Z pewnością wielu krewnych bardzo chętnie uwolniłoby pana od niego.

- Myli się pani i to pod każdym względem - odparł Chatham nieco szorstko. - Ani ja nie jestem szlachetny, ani dzieci nie stanowią dla mnie ciężaru. Nikomu bym ich nie oddał.

Panna Sussington zrozumiała, że dostała odpawę, i taktownie zmieniła temat.

W zoo Maura nie puszczała dzieci od siebie, trzymała je za ręce i szła kilka kroków za ich wujem, który podał ramię pannie Sussington. Od czasu do czasu odwracał się do tyłu i opowiadał dzieciom o którymś z eksponatów. Maura wyczuwała, że w drepczącym obok niej Williamie wzbierał gniew, zauważyła też łzy napływające do oczu Cecylii. Starła się przez cały czas rozmawiać z dziećmi, dzięki temu nie myślała o parze idącej przed nimi.

- Jak sądzisz, Williamie, co jedzą lwy? - zapytała, gdy stanęli przed nową klatką dla ogromnych kotów.

- Tych, którzy je trzymają w niewoli. - William uśmiechnął się swobodnie. - Słyszałem, że poprzedniej zimy kogoś zagryzły i dlatego trzeba je było przenieść do innej klatki.

- Chciałabym, żeby pożarły pannę Sussington - stwierdziła Cecylia.

- Cecyljo! - skarciła ją Maura, choć nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Tak? - Dziewczynka spojrzała na nią wyzywająco. - Ona nie jest miła. Mówiła o nas tak, jakbyśmy nie siedzieli w jednym powozie. Jakbyśmy byli zbłąkanymi psiakami, które wujek Ree przygarnął.

- Jeśli wujek Ree się z nią ożeni, to ona na pewno się nas pozbędzie - mruknął William ponuro. - Najpierw mnie, bo jestem starszy.

Łzy, zbierające się już od dłuższego czasu w oczach Cecylii, spłynęły po jej policzkach. Objęła brata ramionkami.

- Nie możesz mnie zostawić, Will. Nie możesz. Obiecałeś!

Maura uklękła szybko przy dzieciach i objęła mocno oboje.

- Nie mów tak, Williamie, doprowadziłeś siostrę do płaczu. Nikt się was nie pozbędzie. Wszystko będzie dobrze, Cecyljo. - Usiadła na ziemi, nie przejmując się, że zniszczy suknię, przytuliła do siebie Cecylię i zaczęła ją głaskać po plecach.

- Wszyscy odchodzą i zostawiają nas samych - szlochała głośno dziewczynka.

Chatham i panna Sussington podeszli do nich. Młoda dama była najwyraźniej poirytowana.

- Dlaczego nie każe jej pani przestać płakać? - Patrzyła z pretensją na Maurę. - Co to za guwernantka, która nie potrafi uspokoić dziecka?

Maura chłodno spojrzała w oczy panny Sussington ponad głową Cecylii.

- Taka, która wie, że dziecko musi się czasem wypłakać i nie zawsze wybiera odpowiednie miejsce i czas.

Lord Chatham ukląkł przy niej, wziął Cecylię na rękę i wstał.

- Co się stało, Cee-Cee? - zapytał łagodnie. - Lew cię przestraszył? Przecież wiesz, że przy mnie nic ci nie grozi. - Mrugnął do dziewczynki. - I wiesz co? Wydaje mi się, że i Szóstka też nie pozwoliłaby cię skrzywdzić.

- Ani ja! - zawołał William. - Ja cię obronię Cee-Cee.

Chatham wyciągnął wolną rękę do chłopca.

- Jesteś mężczyzną, Will, i dobrze, że się poczuwasz do opieki nad siostrą - stwierdził z wielką powagą. - A ja tu jestem, żeby chronić was oboje. Chcę, żebyście o tym wiedzieli.

Maura nigdy nie widziała na jego twarzy takiej powagi i szczerości. Zupełnie niespodziewanie ujęło ją to za serce. Czy to ten sam mężczyzna, który całował ją w ciemności i tańczył z nią po korytarzu, ten rozpustnik składający fałszywe obietnice lub obietnice wyjątkowo nieprzyzwoite? Akurat w chwili, gdy zaczęła wierzyć, że jej serce wreszcie stwardniało, on roztopił je znowu. Znowu!

Ze smutkiem stwierdziła, że nie sposób było zniechęcić tego człowieka, powinna jednak przynajmniej nauczyć się go ignorować.

Wzrok Maury zasnuła mgła wzruszenia, ale spojrzenie panny Sussington było ostre i badawcze. Przyglądała się tej scenie z boku. Przenosiła wzrok z Chathama na Maurę i z powrotem.

Maura wstała z ziemi i otrzepała spódnicę, ale nie udało jej się usunąć z niej wszystkich zabrudzeń.

- Och, jaka szkoda, panno Caulfield. Pani suknia jest zniszczona - stwierdziła panna Sussington z fałszywą troską, wskazując jej plamy na spódnicy.

- Mała strata. - Maura wzięła Williama za rękę, żeby zakończyć tę rozmowę.

Panna Sussington uśmiechnęła się krzywo i powiedziała półgłosem, żeby ta uwaga dotarła wyłącznie do uszu Maury.

- Z pewnością, jeśli wziąć pod uwagę, o jak wysoką stawkę toczy się gra. Ale lepiej nie sięgać za wysoko, bo można stracić coś cenniejszego niż suknia. - Odwróciła się i podeszła do lorda Chatham, ale ku swemu niezadowoleniu przekonała się, że nie mogła już liczyć na jego ramię. Wziął Cecylię na barana. Maura uśmiechnęła się. Panna Sussington

musiała dalej iść sama.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sfuszerowałem to całkowicie, myślał Riordan, przeglądając pędzle w pracowni. Było już zbyt późno na malowanie, światło było nieodpowiednie, ale dotykanie pędzli pozwalało mu zająć czymś ręce i uwolnić się od trawiącego go niepokoju. W ciągu dwóch dni zraził do siebie dwie doskonałe kandydatki na żonę. Najpierw lady Helenę, a teraz pannę Sussington. To swoisty rekord. Riordan nigdy dotychczas nie miał problemów ze zdobyciem względów jakiegokolwiek kobiety. Teraz została jeszcze lady Marianne i ta czwarta, której imię wyleciało mu z głowy. Ale ona i tak była zdecydowanie za młoda, żeby matkować Cecylii i Williamowi.

Nie mógł zapomnieć widoku Maury, która klęczała na ziemi, obejmowała dzieci ramionami i pocieszała je. Wtedy w zoo wydawało mu się przez chwilę, że stanowili rodzinę.

Nie mógł również zapomnieć pełnej uniesienia twarzy Maury, gdy w bawialni dał jej rozkosz i później, gdy mu się zrewanżowała. Wątpił, by panna Sussington pozwoliła sobie na tak całkowite zapomnienie. Tymczasem Maura patrzyła na niego z zachwytem. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wzbudził taką reakcję w kobiecie. Nie zasługiwał na to. Powinien powiedzieć jej o artykule.

Riordan przekładał rozłożone na pasie materiału pędzle w oczekiwaniu na Maurę. Mimowolnie wpłatał ją w skandal i miała prawo o tym wiedzieć. Zmusił ją do udziału w przyjęciu, przez co trafiła na plotkarską kolumnę towarzyską. Wyprawa do zoo, która miała wyciszyć skandal, przyniosła skutek wręcz przeciwny. Wieczorem będzie się o tym mówiło we wszystkich londyńskich salonach.

Za to również mu nie podziękuje.

- Chciałeś mnie widzieć? - Stała w drzwiach pracowni, a jej mina świadczyła niezbicie, że miała nadzieję, iż Riordan zapomniał o zamiarze malowania jej portretu.

- Wejdz i usiądź. - Riordan wskazał gestem otomanę. - Musimy poważnie porozmawiać, kucharka zajmie się dziećmi. - Sięgnął po blok rysunkowy, oparł go na kolanie i zaczął szkicować. Jego palce natychmiast przypomniały sobie dotyk węgla.

- Co robisz?

Podniósł oczy i uśmiechnął się.

- Szkicuję - odparł, ale chciał krzyknąć: Próbuję zająć czymś ręce, żeby cię nie

dotykać.

- Chyba jasno powiedziałam, że nie chcę być malowana - zaprotestowała Maura.

- To prawda. Ale ja nie maluję. Szkicuję. Przeciwno temu nie protestowałam.

- Nie pytałeś o zgodę.

Marnie się zaczęło, pomyślał. Maura była uszczypliwa, w nie najlepszym nastroju do przyjęcia złych wiadomości. Może powinien na początek ją udobruchać?

- Jestem twoim dłużnikiem - zaczął. Był jej winien wdzięczność za wczorajsze przyjęcie, dzisiejszą wycieczkę do zoo i wiele innych rzeczy. Lista wciąż się wydłużała. Nie wiedział, od czego zacząć.

Pośpiesznie potrząsnęła głową, światło wydobyło z jej włosów bogate tony miedzi, palonej umbry i sjeny.

- Nie, proszę, nie przepraszaj.

Riordan roześmiał się.

- Wcale nie przepraszam. - Przyciemnił węglem zagłębienia pod kośćmi policzkowymi. - Chciałem powiedzieć, że jestem ci winien nową suknię. Za tę, która uległa zniszczeniu w zoo. - Nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać żadnej kobiety, bogatej czy ubogiej, która odrzuciłaby nową suknię.

- To niepotrzebne. Plamy zejdą w praniu. - Maura wstała. - Powinam już wracać.

- Nie zgadzam się. - Riordan ponownie wskazał jej sofę. - Usiądź, chciałbym kontynuować rozmowę.

Usiadła, ale z zaciśniętymi zębami. To pewnie skutek nieudanej wycieczki do zoo.

- Jesteś zła, Mauro. Powiedz, proszę, dlaczego.

- Oboje wiemy, że byłoby wielce niestosowne, gdybym przyjęła suknię od mężczyzny. To sugerowałoby coś, czego staramy się uniknąć.

- A gdyby suknia była prezentem od mojej ciotki? Powiem jej, żeby ją przysłała - naciskał Riordan, choć z góry znał odpowiedź.

- Ale my oboje i tak znalazłbyśmy prawdę. Coś jeszcze, lordzie Chatham?

Drgnął, gdy zwróciła się do niego w oficjalny sposób, i odłożył blok rysunkowy. Nie udało mu się jej udobruchać. Musiał przejść do rzeczy.

- Tak, jest coś jeszcze. - Wziął ze stołu złożoną gazetę. - Wygląda na to, że nasze małe przyjęcie wywołało nieco plotek. Na pewno szybko ucichną, to nie ulega wątpliwości. Niemniej jednak mimowolnie sprawiłem, że wzięto cię na salonowe języki, i obawiam się, że będę potrzebował twojej pomocy w naprawieniu sytuacji. - Podsunął Maurze gazetę i czekał na nieunikniony wybuch.

Będzie potrzebował pomocy? - powtórzyła w myślach. Mimowolnie sprawił, że wzięto ją na salonowe języki? Nieco plotek? Co za nieadekwatne określenia! Maura wpatrywała się w artykuł z rosnącym przerażeniem. Kameralne przyjęcie dla dwunastu osób pogrzebało jej nadzieje na anonimowość. Cały Londyn został poinformowany o jej obecności w mieście... cała Anglia!

Nie! Maura zapanowała nad paniką i próbowała myśleć racjonalnie. „Panna C”... W Londynie było z pewnością wiele guwernantek mogących być panną C. Wuj musiałby wiedzieć, że posługiwała się nazwiskiem Caulfield, aby ją odnaleźć, a skąd miał o tym wiedzieć? Jej reakcja była przesadzona. Uspokoila się.

- Nie jest tak źle. - Riordan uśmiechnął się i znowu zaczął szkicować. - Pobladaś jak ściana. Plotki ucichną, gdy wybuchnie kolejny skandal. A w sezonie skandale wybuchają często.

Maura uniosła brwi z przyganą.

- Z pewnością jesteś ekspertem w tej dziedzinie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Jestem ekspertem w wielu dziedzinach, Mauro. Ale mówiąc poważnie, to naprawdę szybko ucichnie.

Oby tylko nie zdążyło wyrządzić nieodwracalnych szkód. Skandal ucichnie, ale pozostanie dowód w postaci gazety, która trafi do każdego prenumeratora w kraju. Wuj również to przeczyta i jeśli okaże się dość bystry, może skojarzyć „pannę C” z zaginioną Maurą. Zdemaskowanie jej zależało w tej chwili od trzech czynników. Czy odkryli jej tożsamość? Czy ktoś zapamiętał ją w zajeździe dla dyliżansów i zidentyfikuje ją na podstawie rysopisu, nie sugerując się fałszywym nazwiskiem? A jeśli tak, to czy trafili za nią do agencji pani Pendergast?

- Mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro. Nie chciałem, żeby tak się stało.

- Czego nie chciałeś, Riordanie? Nie chciałeś mnie pocałować za pierwszym razem, a może za drugim czy trzecim? Nie chciałeś przekraczać granicy dzielącej pracownika i pracodawcę? Nie chciałeś wplątać mnie w skandal, którego nie wywołałam?

Rozgniewała go. Spojrzał na nią ponuro, jego niebieskie oczy stały się nieprzeniknione. Tym razem ten otwarty mężczyzna nie chciał zdradzać, co mu leżało na sercu. Przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed jednym z zakrytych płócien. Maura pobiegła za nim wzrokiem. Pokój zastygł w bezruchu, jakby jego gniew wysał stąd całe powietrze, całe życie.

- Młode kobiety pragną ideału, pragną tego. - Szybkim ruchem zerwał zasłonę

okrywającą portret młodego mężczyzny, który wydał się Maurze dziwnie znajomy. Ciemne włosy, błękitne oczy, uśmiech, rysy twarzy były takie same jak u Riordana, a jednak zupełnie inne. Patrzyła zachłannie. Nie, nigdy nie pomyliłaby mężczyzny z portretu z obecnym lordem Chatham. W niebieskich oczach mężczyzny z portretu nie było tyle życia, co w roztańczonych, szafirowych źrenicach Riordana. Uśmiech nie był tak przekorny, a włosy zbyt starannie ufryzowane, a nie rozwichrzone w nieładzie. To nie portret Riordana sprzed lat. Natychmiast zorientowała się, kogo przedstawiał:

- To Elliott. Twój brat.

Kiwnął głową, nie odrywając spojrzenia od obrazu.

- To jedna z moich ostatnich prac przed wyjazdem do Włoch. Elliott miał wówczas dwadzieścia pięć lat. Był naprawdę idealnym hrabią: przystojny, ale nie zuchwały, nieskazitelny, ale nie wyniosły, cieszący się autorytetem, ale nie tyranizujący innych. Zawsze i we wszystkim potrafił zachować umiar i równowagę. Wszyscy go kochali.

- Ty również jesteś lubiany.

Parsknął śmiechem.

- Dziękuję za dobre słowo. Rzeczywiście, jestem dość lubiany, ale z powodów, których nie odważyłbym się wyjawiać w obecności damy. - Zamilkł i zamyślił się głęboko. W końcu podjął decyzję. - To prawda, Mauro. Jestem okropny. Czy wiesz, gdzie byłem, kiedy przyszła ta wiadomość? - To było pytanie retoryczne. Maura czekała w milczeniu na wyjaśnienia. - Na wernisażu w Akademii, gdzie poszedłem z zamiarem uwiedzenia lady Meacham. Staliśmy akurat przed najnowszym dziełem Turnera i ukradkiem pieściłem jej ramię. Właśnie doszliśmy do porozumienia... że użyję tego określenia. - Wciągnął powietrze. - Widzisz, jaki jestem okropny.

- Niedoskonały, możliwe. Jak my wszyscy... Ale nie okropny - zaprotestowała.

- Skąd wiesz? Spotkałaś w życiu kogoś naprawdę okropnego?

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Tak i ty nie jesteś okropny. - Po raz pierwszy powiedziała mu coś o swym prawdziwym życiu.

- Nie powinienem ci nawet o tym mówić.

Zaśmiała się lekko, żeby uwolnić go od poczucia winy i przegnać niepokój.

- Nie przejmuj się moją wrażliwością. Nie jestem taka całkiem niewinna. Doskonale wiem, jakie mężczyźni mają skłonności. - Kusilo ją, by wreszcie wyrzucić z siebie, że uciekła z domu tuż przed ślubem, bo Wildeham obmacywał ją przy każdej okazji i wygadywał ohydne bezeceństwa, opisując ze szczegółami, co będzie z nią robił, kiedy już zostaną

małżeństwem. Ze zgrozą myślała o czekającym ją życiu i wolała uciec, zrezygnować z wygodnego życia i zostać anonimową guwernantką.

Nie ośmieliła się jednak tego powiedzieć.

- Wciąż jesteś najprawdziwszą damą, Mauro.

Zarumieniła się.

- Dziękuję za to wspaniałomyślne stwierdzenie. - Sprawiał, że czuła się wyjątkowa.

Ciekawe, czy robił to specjalnie.

Riordan ponownie spojrzął na portret.

- Dręczy mnie pytanie, dlaczego Elliott umarł, skoro był takim ideałem? To ja powinienem odejść. Jestem draniem. Nie potrafię zliczyć, ile razy brałem udział w niebezpiecznych awanturach. - Nie patrzył na nią, wypowiadając te słowa. Rozumiała, ile go to musiało kosztować.

- Tak czasem bywa, ludzie chorują... - Maura odruchowo zaczęła wygłaszać formułę standardowych pocieszeń, z jakimi zazwyczaj występuje się w wypadku podobnych tragedii. Od razu jednak poczuła, że te słowa są bezużyteczne. Dla niej również nie miały znaczenia, kiedy zmarli jej rodzice.

Riordan potrząsnął głową i szorstkim tonem jej przerwał.

- On odebrał sobie życie, Mauro. Ludzie przez uprzejmość określają to jako postrzał w głowę z własnej ręki... Próbują upiększyć rzeczywistość, sugerując, że był to wypadek na polowaniu... Ale brutalna prawda jest taka, że poprzedni hrabia Chatham, ten wzór doskonałości, chodzący ideał, popełnił samobójstwo.

Maura wpatrywała się w portret z pełną grozą fascynacją, wreszcie wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsca. To musiała być jedna z przyczyn, dla których odchodziły poprzednie guwernantki. Samobójstwo to grzech śmiertelny, niezależnie od tego, kto je popełni. Niektórzy uważają je nawet za przekleństwo.

- Nie chciałem nigdy, żeby Elliottowi stało się coś złego. Nie pragnąłem jego tytułu ani dziedzictwa. - Riordan przesunął ręką po włosach. - Zaledwie dwa tygodnie wcześniej byłem u niego w posiadłości. Prosił, żebym został dłużej, żebym odłożył powrót do Londynu o miesiąc. Zazwyczaj wracaliśmy razem. Po jego śmierci wielokrotnie zastanawiałem się, czy gdybym został, Elliott by jeszcze żył. Czy zdołałbym go ocalić, gdybym nie pognał do Londynu, żeby wygrać idiotyczny zakład o lady Meacham? Wydaje mi się, że tak.

Jego głos zdrzął, Riordan był niebezpiecznie bliski załamania. Ile rozmaitych warstw kryło się za jego pogodnym uśmiechem i wesołymi oczami, pomyślała Maura.

- Podczas pobytu w Sussex dowiedziałem się czegoś, co mi nie daje spokoju. Dwa dni

przed śmiercią Elliotta w okolicy pojawił się nasz krewny, wicehrabia Vale. Spotkał się z moim bratem, ale nie w domu i dlatego służba nie informowała o niczym niezwykłym.

Zarządca naszych gruntów spotkał ich podczas konnej przejażdżki. Vale nie przyszedł później do domu, zupełnie jakby nie chciał być widziany. Zarządca odniósł wrażenie, że to spotkanie było dziwnie ukradkowe, a kiedy zjawił się później u Elliotta, Elliott był bardzo roztargniony.

Riordan ponownie usiadł obok Maury.

- Myślisz, że jestem szalony? Doszukuję się spisku tam, gdzie go nie ma?

- Uważam, że szukanie przyczyn jest czymś naturalnym. Tylko znając przyczyny, mamy szansę zrozumieć. Po śmierci rodziców myślałam mniej więcej to samo - powiedziała miękko Maura. - Utonęli w katastrofie łodzi. Miałam wówczas szesnaście lat i zastanawiałam się ciągle, czy gdybym tamtego dnia wyszła na brzeg i zobaczyła tonącą łódź, to zdążyłabym sprowadzić pomoc i ich uratować? A może gdybym była z nimi, to wcale by nie popłynęli?

Kreśliłam rozmaite scenariusze. W końcu jednak musiałam zaakceptować to, co się stało.

Zostałam sama na świecie, jeśli nie liczyć rodziny wuja. - Maura wzruszyła ramionami. -

Zupełnie jak ty z ciocią Sophie i wujem Hamishem.

W oczach Riordana dostrzegła jakiś cień.

- Och, moja matka żyje i ma się doskonale. Mieszka w spa w Szwajcarii. - Zamilkł. Cekał, aż Maura oswoi się z szokującą informacją. Rzeczywiście, była zaskoczona. Nigdy nie powiedział, że stracił matkę, ale z tonu jego głosu wnioskuje, że odeszła. - To cena, jaką zapłaciła za wolność. Musiała wyjechać dyskretnie i nigdy nie wracać. Z radością zaakceptowała te warunki. Jej zależało tylko na tytule ojca, a jemu na jej pieniądzech i dziedzicu albo dwóch. Kiedy dostali to, o co im chodziło, rozeszli się.

Maura kiwnęła głową, żadna reakcja nie wydała jej się odpowiednia. Oboje milczeli. Nawet Riordan nie był pewien, jak doszło do tego wyznania.

- Wybacz, sam siebie zaskakuję. - Riordan wbił wzrok we własne ręce. Miał piękne dłonie, silne, o długich palcach. Prawdziwe dłonie malarza. - Nikomu o tym nie mówiłem. Ludzie wiedzą, oczywiście, ale nie ode mnie.

Uniósł jedną z tych pięknych dłoni i pieszczotliwie dotknął jej policzka.

- Tak działasz na ludzi, Mauro. Słuchasz ich. Prowokujesz do zwierzeń. Mnie także. - Czarujący dżentelmen powrócił, błękitne oczy zaćmiło pożądanie. Chmurny lord wraz z rodzinnymi tajemnicami zszedł ze sceny.

Maura przykryła ręką dłoń obejmującą jej policzek. Musiała położyć temu kres, zanim na dobre się zacznie. Pragnął jej, widziała to w jego oczach. Chciała mu wierzyć, a równocześnie chciała mu się oprzeć - zarówno jej umysł, jak i serce były rozdarte między

rozsądkiem a pożądaniem.

Skubnął delikatnie płatek jej ucha i zaczął je pieścić językiem.

- Przyjemność można czerpać i z tego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

„Przyjemność” to zbyt słabe słowo, zupełnie nieadekwatne do tego, co czuł Riordan, gdy wziął ją w ramiona i położył na otomanie. Spełnienie, brak poczucia osamotnienia, wypełnienie pustki - to znacznie lepsze określenia. Pragnął Maury, potrzebował jej, aby wypełnić wewnętrzną próżnię. Każdym pocałunkiem, każdą pieszczotą wyrażał swój podziw dla niej. Ustami objął jej pierś, a dłońmi gładził nogi, zsuwając z nich pończochy i pantalonek, aż wreszcie była gotowa na jego przyjęcie, obnażona, ze spódnicą podwiniętą prowokacyjnie ponad ugiętym kolanem. Kasztanowe kędziorki były wilgotne. Nabrał pewności, że ona również go pożądała. Objął rękami jej biodra i zaczął całować jej najintymniejsze miejsca.

Maura wygięła się i wczepiła palce w jego włosy. Przez jej ciało zaczęły przepływać fale rozkoszy. Ta spontaniczna, nieskrywana namiętność o mało nie pozbawiła Riordana kontroli nad własnym podnieceniem. Niskim, gardłowym pomrukiem wyszeptał jej imię i rozpiął spodnie. Gdy naprężona męskość wyrwała się na wolność, z największym trudem powstrzymał się, by nie zagłębić się w niej natychmiast i wreszcie zaznać spełnienia. W tym momencie nie liczyło się dla niego nic - ani zagrożenie ze strony Vale'ów, ani rozszerzający się skandal. Chciał już tylko ofiarować Maurze wszystko, co mógł jej dać i pokazać jej cudowne możliwości, jakie się przed nimi otwierały.

To było wspaniałe i całkowicie irracjonalne. Maura straciła zdolność logicznego myślenia w chwili, gdy poczuła na sobie jego usta, mogła już tylko odczuwać, doznawać, wychodzić mu naprzeciw. Przesunęła biodra i otworzyła się dla niego. Przeczuwała zbliżanie się czegoś jeszcze i nie mogła się już doczekać.

Do jej świadomości przedarła się tylko jedna myśl - myśl, która kołatała się w jej głowie już od paru dni: że to nie skończy się dla niej dobrze. Pozostało jej już niewiele czasu. Skandal sprawił, że żadna żona nie zgodzi się tolerować jej pod swoim dachem. Dlaczego więc nie miałyby zabrać ze sobą wspomnień gorącej namiętności? - usprawiedliwiała się w myślach. W życiu, jakie wybrała, taka szansa już się nie powtórzy.

Riordan przesunął się nad nią, pod cienkim materiałem koszuli widziała naprężone mięśnie jego ramion. Kropelki potu na jego czole świadczyły o tym, ile wysiłku kosztowało go zapanowanie nad sobą, zaczekanie na właściwy moment. Maura przypomniała sobie nagle latawiec i wyczekiwanie na odpowiednią chwilę, by wzbił się prosto w niebo. I słowa

Riordana, że puszczanie latawców to jak kochanie się z kobietą. W tym momencie poczuła go tam, u wejścia do jej ciała. Poczowała, jak jej ciało napina się, i go objęła. Cał po całcu wsuwał się powolutku w głąb, aż cały ją wypełnił. Temu nowemu doznaniu towarzyszyło ukłucie bólu. Riordan znieruchomiał, czekał, aż go zaakceptuje i zachęci do działania. Zrobiła to. Posunęła się już zbyt daleko, by nie poznać wszystkiego; by nie poznać cudownego poczucia zespolenia z drugim człowiekiem. Nie, nie z jakimś tam drugim człowiekiem, ale z Riordanem.

Zaczął się poruszać, z początku delikatnie i rytmicznie, a gdy wyczuł, że Maura podąża za nim, coraz szybciej i gwałtowniej. Unosiła biodra, wychodząc mu naprzeciw w dążeniu do jakiegoś nieuchronnego, spazmatycznego finału, który zbliżał się z każdym pchnięciem, potęgując ich rozkosz. Wzbijali się razem na niebotyczne wyżyny, aż wreszcie osiągnęli punkt kulminacyjny - spełnienie absolutne. Ostatnie pchnięcie Riordana wystrzeliło ją jak z katapulty w rozedrganą ekstazę, z której wyszła wyczerpana i nasycona. Jej ciekawość i namiętność zostały wreszcie zaspokojone. On wraz z nią zapadł w ciemność, oparł głowę na jej szyi i głęboko oddychał, owładnięty rozkoszą. Świadomość, że wspólnie odbyli tę podróż w niesamowite światy, była dla Maury dodatkowym źródłem satysfakcji. Jedynym słowem, jakie przychodziło jej do głowy, było: „nadzwyczajne”. Nadzwyczajne przeżycie i nadzwyczajny mężczyzna. Odważyła się wyszeptać to słowo.

Riordan leciuteńko uniósł głowę i odpowiedział równie cicho:

- Oczywiście, Mauro. Inspirujesz mnie.

Roześmiała się cicho, choć słodycz ta zaprawiona była odrobiną gorzkości. Nadzwyczajność tej chwili polegała być może na jej niepowtarzalności. Takie doświadczenie można przeżyć tylko raz. Nigdy więcej się nie powtarza. Na końcu drogi, na którą wkroczyła, czekało złamane serce, ale i rozkosz.

Może coś jeszcze. Z pewnością istniało lepsze słowo na określenie tego wszystkiego, ale nie potrafiła go znaleźć, bo Riordan znowu zaczął ją całować i ponownie straciła zdolność racjonalnego myślenia, a wszystko, co znajdowało się poza tym pokojem, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Baron Wildeham uśmiechnął się do gospodyni. Lady Sarah Meacham była śliczną kobietą, rozkosznie zaokrągloną i doświadczoną. Jej dłoń zatrzymała się na jego rękawie na tyle długo, by przekazać mu przesłanie, które zostało przyjęte - dobrze przyjęte - choć ani na chwilę nie przerwali rozmowy na obojętne tematy.

- Tak, bardzo trudno o dobrą pomoc - mówiła dama. - Doskonale rozumiem pana problemy. Kiedy kompletowaliśmy służbę do naszej miejskiej rezydencji, skorzystałam

z renomowanej agencji pani Pendergast, żeby znaleźć kilka pokojówek. Ta agencja specjalizuje się w umieszczaniu porządnych dziewcząt na posadach pokojówek, dam do towarzystwa lub guwernantek. - Musnęła jego rękaw wachlarzem i przysunęła się konspiracyjnie. - Ale ostatnio ta agencja straciła chyba wyczucie. Wszystkie sześć guwernantek Chathama pochodziło z tej agencji, łącznie z tą ostatnią, która brała udział w przyjęciu. - Rzuciła mu znaczące spojrzenie. - Ciotka Chathama twierdzi, że dziewczyna została zaproszona, aby uzupełnić liczbę biesiadników do parzystej dwunastki, ponieważ trzy osoby w ostatniej chwili odwołały swój przyjazd, ale podobno Chatham oczu od niej nie odrywał. Tak przynajmniej pisali w porannych gazetach.

Wildeham doszedł do wniosku, że powinien nadrobić zaległości w lekturze. Skandal na przyjęciu Chathama niezbyt go interesował, ale następne słowa lady Meacham skłoniły go do zmiany zdania.

- A dzisiaj miał miejsce kolejny incydent. Dowiedziałam się od lady Fellowes, że Chatham zaprosił pannę Sussington do zoo. Zabrali ze sobą jego wychowanków wraz z guwernantką. No i całkowicie zlekceważył biedną pannę. Teraz żadna porządna dziewczyna go nie zechce. Ale sam sobie winien, bo stracił głowę dla jakiejś rudej ślicznotki nie wiadomo skąd.

- Rudej? - Wildeham zaczął słuchać lady Meacham z natężoną uwagą. Może uda mu się zdobyć dokładny rysopis. - Widziała ją pani?

- Niestety, nie widziałam jej - odparła lady Meacham, wyraźnie rozczarowana. Ale dla Wildehama dość było tego, co już usłyszał. Jutro zorientuje się, co pani Pendergast będzie miała do powiedzenia o swej ostatniej klientce. Po długim okresie posuchy, kiedy nie udawało mu się trafić na żaden trop, wreszcie pojawiła się jakaś nadzieja.

Wildeham oparł się o biurko pani Pendergast.

- Zapytam jeszcze raz: czy przysłała tutaj kobieta odpowiadająca mojemu opisowi? Mamy powody sądzić, że tak. - To „my” odnosiło się do Paula Digby’ego, który stał niedbale oparty o ścianę w rogu pokoju. Jego pozycja świadczyła o tym, że nie zamierzał się stąd ruszyć, dopóki nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania. Wildeham kontynuował: - Nie może nam pani powiedzieć niczego, czego już sami nie podejrzewamy. Jeśli to nie uspokoi pani sumienia, to może zrobi to mój mało przyjemny przyjaciel. - W jego dłoni załśnił złowieszczo stalowy nóż. Kobieta wyprostowała się gwałtownie i odsunęła się możliwie jak najdalej od groźnego ostrza.

Wreszcie jakiś postęp, pomyślał Wildeham. Powinien zawsze zaczynać od noża. Musiał jednak przyznać, że właścicielka agencji to twarda sztuka. A wystarczyło mu tylko

nazwisko, żeby zorientować się, czy guwernantka Chathama to jego zbłąkana narzeczoną. Nie musiała mu mówić, dokąd ją wysłała, bo Digby już sprawdził adres hrabiego.

- No, pani Pendergast, nazwisko proszę.

- Powinien pan wiedzieć, że w tej agencji przestrzegamy dyskrecji.

- A pani powinna wiedzieć, że to ostrze z łatwością poderżnie pani gardło. A może woli pani, żebym rozgłosił, iż pani agencja udziela schronienia kryminalistkom? Uczciwa kobieta nie musi ukrywać przeszłości, prawda?

- Nie udzielałam schronienia kryminalistkom! - Urażona godność kazała pani Pendergast zapomnieć na chwilę o ostrożności.

- Tej jednej pani udzieliła - odparł Wildeham ze wzgardą. - Jeśli to rzeczywiście poszukiwana przez nas dziewczyna, to jest ona ścigana za zerwanie kontraktu. Złamała legalną umowę. - Podsunął ostrze noża pod nos kobiety. - Nazwisko, pani Pendergast. Więcej nie zapytam.

- Nazywa się Maura Caulfield, a posłałam ją do Chatham House przy Portland Square.

- Bardzo dobrze. - Wildeham schował nóż do rękawa i uśmiechnął się. - Jak pani widzi, potrafię być rozsądny. Miłego dnia, pani Pendergast.

Zaraz po opuszczeniu agencji Wildeham i Digby wymienili poglądy. Zgodzili się, że prawdopodobnie Maura Harding i Maura Caulfield, guwernantka Chathama, to jedna i ta sama osoba. Ich poszukiwania zbliżały się do końca. Pozostał już właściwie tylko jeden problem - jak ją zabrać z rezydencji przy Portland Square bez zwracania na siebie uwagi?

Wildeham postanowił czekać, obserwować, zbierać informacje i starannie opracować plan. Digby mógł zrobić rekonesans, ale tylko Wildeham miał możliwość zebrania wśród ludzi z towarzystwa wszelkich możliwych danych o Riordanie Barretcie, draniu i rozpustniku, który niedawno otrzymał tytuł hrabiowski. Lady Meacham mówiła, że przez jego dom przewinęło się sześć guwernantek. Po co Barrettowi guwernantki? Może dla jego bękartów? Człowiek taki jak on z pewnością miał niejednego nieślubnego potomka. I bez wątplenia ukrywał jakieś szkielety w szafie. Gdyby udało się je wyciągnąć na światło dzienne, mógłby zabrać stamtąd Maurę bez walki.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Proszę wreszcie potraktować tę sprawę poważnie, a nie zachowywać się tak, jakby to była drobna niedogodność! - szepnął Browning z irytacją do łokcia Riordana.

Adwokat Vale'a patrzył na nich z niechęcią z drugiej strony wypolerowanego do połysku stołu. Przed nim leżały rozłożone papiery. Siedzący obok wicehrabia wyglądał na bardzo zadowolonego.

- I cóż? - powtórzył prawnik. - Nie zrobił pan żadnych postępów w poszukiwaniu żony, natomiast po raz kolejny popisał się pan w najwyższym stopniu nieodpowiednim dla opiekuna dzieci stylem życia. - Wymownie pomachał gazetą.

Riordan nie musiał czytać tego szmatławca, by domyślić się, że zawierał relację z jego przyjęcia i późniejszej wyprawy do zoo. Najwyraźniej panna Sussington wypłakiwała się na ramieniu brata lady Heleny, który powtórzył wszystko siostrze, a ona z kolei powiadomiła o tym rubrykę towarzyską. Tylko dlatego że Riordan poświęcił jej za mało uwagi! A teraz Vale'owie chcieli to wykorzystać, by postawić go pod pręgierzem i zapewnić sobie opiekę nad dziećmi i ich pieniędzmi.

- Lordzie Chatham, to nie do zaakceptowania. Romansuje pan z zatrudnioną przez siebie kobietą, pod własnym dachem, na oczach dzieci. - Adwokat wicehrabiego Vale szeroko rozłożył ręce. - Wszyscy tu obecni jesteśmy mężczyznami i rozumiemy, że kawaler postępuje niekiedy nierozważnie. Ale pan nie jest już zwyczajnym kawalerem, jest pan opiekunem i obowiązują pana zasady. - Machnął ręką ze zniecierpliwieniem. - Już sam fakt, że mieszka pan pod jednym dachem z młodą kobietą, wzbudza podejrzenia. Ale kiedy te podejrzenia znajdują potwierdzenie... - Nie dokończył, pozwolił, by w powietrzu zawisły niewypowiedziane słowa.

- Słuchaj, Chatham - włączył się Vale, unosząc krzaczaste, siwiejące brwi. - Nie mam ochoty robić wokół tej sprawy więcej zamieszania niż to konieczne. W końcu jesteśmy rodziną. A lady Vale chce mieć te dzieci.

Riordan również uniósł brwi, węższe, o bardziej wyrafinowanej linii. Starał się nie stracić panowania nad sobą.

- Jesteśmy rodziną? A od kiedy to jesteśmy dla was „rodziną”? Nie było was, kiedy te dzieci zostały same na świecie i potrzebowały domu. - On chciał stworzyć im dom, chciał być

z Maurą i dziećmi. Zabrała je dzisiaj do Egyptian Hall na wyjątkową wystawę. Miał ochotę iść z nimi, ale nie mógł zignorować umówionego spotkania.

Vale wydał dramatyczne westchnienie.

- Nie chciałem mieszać w to twojego brata, ale nie pozostawiasz mi wyboru. - Vale wyciągnął jakiś dokument. - Wystąpiłem o obalenie testamentu twojego brata. Sprawa zostanie rozpatrzona przez sąd. Moim zdaniem to wysoce prawdopodobne, że nie był przy zdrowych zmysłach.

Riordan zacisnął pięści.

- Jak śmiesz w jednym zdaniu mówić o rodzinie, a w następnym ją zdradzać? Nie masz prawa!

- Mam pełne prawo. - Wyraz zadowolenia zniknął z twarzy Vale'a, zastąpiony przez śmiertelną nienawiść. - Będę miał te dzieci, Chatham. Jeśli trzeba, jestem gotów skompromitować ciebie i Elliotta. - Uśmiechnął się podle. - Oczywiście, siebie już sam skompromitowałeś, więc mam ułatwione zadanie. - Wstał. - Pięć dni, Chatham. Rozprawa odbędzie się za pięć dni. Myślę, że skończyliśmy na dzisiaj.

Riordan zczekał, aż zostaną z Browningiem sami, i dopiero wtedy dał wyraz frustracji. Przesunął ręką po włosach i uderzył pięścią w fotel.

- Czego możemy się obawiać w związku z tym testamentem? Czy pojawiły się jakieś nowe informacje? Wiadomo, dlaczego Elliott...? - Nie był w stanie dokończyć.

- Nic nowego się nie pojawiło, ale znalazłem coś interesującego w raportach finansowych. - Browning zaczął grzebać w leżących przed nim papierach. - O, tutaj to mam! - Otworzył księgę buchalteryjną. - Od czterech lat pański brat regularnie wypłacał znaczne sumy anonimowej osobie. Samo w sobie nie miałyby to może większego znaczenia, ale proszę spojrzeć tutaj. - Browning rozłożył sprawozdanie o stanie finansów Vale'a. - Na konto Vale'a wpływała w tym samym czasie dokładnie ta sama suma z niezidentyfikowanego źródła.

- Kiedy miała miejsce ostatnia płatność? - Riordan przesunął wzrokiem po dokumentach.

- Pierwszego lutego. Wypłaty odbywały się pierwszego każdego miesiąca.

- W marcu nie było wypłaty. - Riordan w zamyśleniu stukał palcem w dokument. Pieniądze nie przyszły, więc Vale złożył Elliottowi wizytę i Elliott zginął. - Ciekawe, Elliott mógł przecież zapłacić. Miał mnóstwo pieniędzy.

- Z pewnością. Hrabia nie miał żadnych problemów finansowych. - Browning zebrał dokumenty i schował je z powrotem do teczek. - Nie wiem, co to znaczy i czy w ogóle coś

znaczy.

Riordan kiwnął głową. Podzielał zdanie prawnika, że te zestawienia finansowe były interesujące. Poszczególne elementy zaczynały do siebie pasować i to nie mógł być przypadek. Pozostały do wyjaśnienia dwa wydarzenia: najpierw ta krótka, ukradkowa wizyta, która miała pozostać tajemnicą, a teraz to - opuszczona wypłata, choć nie było ku temu powodu.

- Ale dlaczego, Browning? Dlaczego mój brat płacił Vale'owi? Dlaczego te wypłaty zaczęły się w miesiąc po przejściu przez niego opieki nad sierotami po Ishmaelu? - Oczywistym wyjaśnieniem był szantaż, ale czym Vale mógł szantażować Elliotta?

Riordan nie orientował się nawet, że Elliott i Vale się znali, choć byli spowinowaceni przez małżeństwo Ishmaela. - Idź tym tropem, Browning. Czuję, że jesteśmy blisko.

Musieli się śpieszyć. Czas uciekał. Riordan bał się rozprawy o obalenie testamentu, choć miał nadzieję, że ostatnia wola brata się obroni, na jaw nie wyjdą żadne haniebne tajemnice Elliotta, a Vale'owie zostaną uznani za chciwych krewniaków. Lepszym rozwiązaniem było jednak małżeństwo. Żeniąc się, Riordan udowodniłby za jednym zamachem, że będzie odpowiedzialnym opiekunem i że rozprawa o obalenie testamentu jest bezzasadna. Tak, małżeństwo było jedynym pewnym rozwiązaniem, pomyślał, bo nawet gdyby ostatnia wola Elliotta nie została podważona, to Vale'owie będą argumentować, że kawaler o jego reputacji nie nadaje się na opiekuna. Nie, nie miał co marzyć o ucieczce z małżeńskiej pułapki.

Riordanowi pozostało pięć dni na znalezienie panny młodej. Szkoda, chciałby mieć więcej czasu. Więcej czasu dla Maury i tego, co się między nimi zaczęło. Zdawał sobie sprawę, jakie będą konsekwencje jego małżeństwa. Śliczna guwernantka będzie musiała odejść. Pomijając skandal, mieszkanie pod jednym dachem z Maurą i żoną byłoby dla niego zbyt trudne.

Alternatywa jednak przedstawiała się nie mniej ponuro. Jeśli nie uda mu się znaleźć żony, straci dzieci. A bez dzieci będzie się musiał rozstać również z Maurą. Tak czy owak ją straci. Nie miał wyboru. Musiał ją poświęcić, żeby uratować dzieci.

Z pewnością pomimo jego niechlubnej przeszłości znajdzie się w Londynie jakaś kobieta, która zgodzi się go poślubić. Martwił się jednak, co będzie z Maurą. On mógł żyć dalej z dziećmi i żoną, do której nic nie czuł - był w stanie to zrobić dla dobra Williama i Cecylii. Ale Maura? Dokąd pójdzie? Wszystkie poprzednie romanse Riordana opierały się na pewnej uczciwości. Jego kochanki znały reguły gry.

Maura była jednak inna. Przespał się z nią, pozbawił ją dziewictwa, zniszczył jej

szanse na związek z Hesperlym, ale czy dał jej coś w zamian?

Najlepszym wyjściem byłoby znalezienie jej kogoś, kto zastąpiłby barona Hesperly, mężczyznę, który nie pytałby się o dziewictwo, za to potrafiłby docenić jej dobroć i urodę. Dlaczego ta historia nie miałaby się dobrze skończyć również dla niej? No, zgoda, powiedział do siebie, określenie „dobrze skończyć” było może nieco przesadzone. Riordan przebiegł w myślach listę potencjalnych kandydatów, jakby zamierzał oddać w dobre ręce zwierzątko domowe. Tylko w ten sposób był w stanie o tym myśleć. Inaczej bolałoby zbyt mocno.

Niestety, Ashe, Merrick, a nawet Jamie byli już żonaci, a nikt inny nie przychodził mu do głowy. Może powinien ponownie zainteresować Maurą barona Hesperly i skusić go marchewką, której nie byłby w stanie się oprzeć...

Nie, to bezcelowe. Próby wyswatania Maury nie wchodziły w rachubę. Riordan nie zdawał sobie dotychczas sprawy, jak bardzo stała się dla niego ważna. Potrzebował jej. To, co między nimi zaszło, było czymś znacznie więcej niż zwyczajnym zaspokojeniem, takiej rozkoszy Riordan w swym rozpustnym życiu jeszcze nie zaznał. I nie chciał z niej zrezygnować, a tym bardziej przekazać innemu mężczyźnie. Czas jednak uciekał, a on nie miał innego wyboru. Nie chciał i nie mógł zawieść Elliotta, musiał spełnić jego ostatnią prośbę.

- Szósta, czy ty lubisz wujka Ree? - palnęła Cecylia ni z tego, ni z owego, kiedy podeszły do gabloty z egipską biżuterią w eleganckiej sali wystawowej przy Piccadilly.

- Twój wujek jest miły - odparła spokojnie Maura.

Przyprowadziła tu dzieci, żeby im pokazać wykonaną przez Belzonego makietę Doliny Królów. Myślała głównie o ambicji Williama, by zostać podróżnikiem, ale przy okazji zamierzała przemycić nieco wiadomości z historii. Zresztą ona sama również pragnęła wyjść z domu, miała nadzieję, że dzięki temu łatwiej jej będzie uporządkować myśli. Tylko to pierwsze jej się udało. William był rzeczywiście ogromnie podekscytowany salą afrykańską z naturalnej wielkości modelami słoni i gepardów. Ale Cecylia nie pomagała jej zebrać myśli.

- Rzeczywiście, jest miły - przyznała Cecylia. - Ty też jesteś miła. - Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu, który miał w założeniu wyglądać spontanicznie. - Już wiem, Szósta, powinnaś wyjść za niego za mąż. Wyjdziesz?

Maura zarumieniła się i próbowała obrócić to w żart.

- Damy nie oświadczają się dżentelmenom.

- A gdyby on ci się oświadczył? - nie ustępowała Cecylia. Podniosła na nią oczy niemal tak błękitne jak Riordana. Pewnego dnia te oczy złamią serce niejednego Anglika, pomyślała Maura i poczuła lekkie ukłucie żalu, że nie będzie jej wtedy przy niej.

- Twój wujek na pewno znajdzie sobie miłą żonę - zapewniła Maura, starając się ukryć smutek.

Wiedziała, że jej dni w Chatham House były policzone. Może właśnie to przekonanie sprawiło, że uległa występnej namiętności. Skoro nie mogła z nim zostać, chciała zabrać ze sobą choć cząstkę jego. W życiu, które wybrała, nie spodziewała się znaleźć kandydata do swej ręki.

- Widziałas tamte zabawki, Cecyljo? - Maura pociągnęła dziewczynkę w stronę gabloty ze starożytnymi lalkami, żeby wybić jej z głowy niewygodne pytania.

William stał przy sarkofagu i oglądał inkrustowane gemmy. Wczesnym popołudniem na wystawie było niewiele zwiedzających, więc Maura pozwoliła mu chodzić samopas pod warunkiem, że nie będzie się zanadto oddalał. Zauważyła jednak, że do sarkofagu podszedł jakiś potężnie zbudowany mężczyzna i zagadnął Williama.

- Williamie - zawołała i ruszyła w jego stronę, trzymając Cecylię za rękę. - Musimy iść dalej, jeśli chcemy jeszcze przed wyjściem obejrzeć salę Mórz Południowych.

Potężny mężczyzna i William odwrócili się w jej stronę. Wzrok mężczyzny był niepokojąco przenikliwy.

- Miły chłopak, ma'am. - Miał na sobie proste ubranie, stosowne raczej dla robotnika portowego niż bywalca muzeów. - Ale to nie panin dzieciak, prawda? Jest pani za młoda na takiego dużego syna.

Maura zaniemówiła na chwilę, zaszokowana tak bezpośrednim i wyjątkowo niestosownym pytaniem.

- To nasza guwernantka - odpowiedział za nią William, spuchnięty z dumy, że został uznany za dużego chłopca.

- Tak? - To wzbudziło wyraźne zainteresowanie nieznajomego. Uśmiechnął się do Williama, ale Maura złapała chłopca za rękę, żeby go odciągnąć, zanim zdąży zdradzić więcej szczegółów. Nie chciała wpadać w paranoję i chorobliwą podejrzliwość, ale tamto spojrzenie obudziło w niej niepokój. Bez wątpienia nie należał on do kręgu znajomych jej wuja, ale nie było sensu kusić licha, skoro dotychczas zachowywała daleko idące środki ostrożności.

- Chodź, Will. Miłego dnia, sir. - Rzuciła mężczyźnie chłodne spojrzenie, by go zniechęcić do dalszych pytań.

Pozostała część wycieczki upłynęła spokojnie. Cecylia nie zadawała już krępujących pytań o wujka Ree, a William nie rozmawiał z obcymi. Może to tylko wyobraźnia, ale Maura mogłaby przysiąc, że spostrzegła potężnego nieznajomego, gdy wsiadali do karety. W drodze do domu dzieci były dziwnie spokojne.

- Musimy coś zrobić, Cee-Cee - odezwał się William zduszonym szeptem, bo Maura była z nimi w dzieciennym pokoju. Siedziała przy dużym stole i przygotowywała lekcje na następny dzień. - Całowali się już parę dni temu. Do tej pory wszystko powinno być ustalone, a nie jest. - Zaczynał się martwić. Skoro wujek Ree nie oświadczył się Szóstej, to znaczy, że nadal zastanawiał się nad innymi. Czas na podjęcie bezpośrednich działań.

Cecylia zmarszczyła brwi.

- Szósta go lubi, powiedziała mi o tym dzisiaj. Nic nie rozumiem. - Zamyśliła się na chwilę. - Może za mało czasu spędzają razem? Jak on ma się oświadczyć, kiedy się nie widują?

William zastanawiał się przez moment nad słowami siostry.

- Całkiem możliwe. Wujek Ree ciągle chodzi na jakieś spotkania. - Chłopiec nie pojmował, co jego uwielbiający rozrywki wujek robił na tych spotkaniach.

- Musimy stworzyć im okazję do bycia razem - oświadczyła Cecylia, nie przerywając splatania włosów lalki w warkocze.

- Kolejny obiad? - zasugerował William.

- Jutro wieczorem. Taki uroczysty obiad z zaproszeniami. - Cecylia uśmiechnęła się radośnie, ale zaraz zmarszczyła brwi. - Ale jak to zorganizujemy? Jesteśmy tylko dziećmi.

- Nadal masz te zaproszenia, które dała nam Szósta po przyjęciu wujka Ree? - Na ustach Williama pojawił się uśmieszek, który z pewnością postawiłby Szóstą w stan alarmu, gdyby akurat podniosła oczy.

- Tak, pod łóżkiem. - Tam Cecylia trzymała wszystkie swoje skarby. - Co chcesz z nimi zrobić?

William puścił oko do siostry i postukał się palcem w czoło.

- Nie przejmuj się, Cee-Cee. Mam plan. Nie jesteśmy tylko dziećmi, jesteśmy sprytnymi dziećmi.

- To ona, sir - zapewnił z przekonaniem Digby, rozwalony w jednym ze skórzanych foteli w holu Grillona. - Szedłem za nimi do sali wystawowej. Wygląda dokładnie jak na obrazku, który mi pan pokazał.

Wildeham uśmiechnął się triumfalnie. Czekał cierpliwie, zbierał informacje i jak pająk metodycznie tkął sieć, w którą miała wpaść ofiara. Eliminował kolejne możliwości, aż została ta jedna nić, jedna ścieżka prowadząca do celu. Wiedział już prawie wszystko; wiedział, że Maura posługiwała się obecnie nazwiskiem Caulfield, panięńskim nazwiskiem swojej matki, i że w wykazie podróży podała zupełnie inne nazwisko, sprytna cwaniara. Nawet gdyby ktoś ją zapamiętał, niewiele ryzykowała, bo „Ellen Treywick” po prostu zniknęła po

przyjeździe do Londynu.

Zanim jednak zada ostateczny cios, musi ustalić, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Riordan Barrett. Możliwe, że ten zaprzysięgły rozpustnik, borykający się z własnymi problemami, nie będzie miał nic przeciwko odejściu tej małej zdrajczynie. Zapewne nie będzie zachwycony, że przyjął pod swój dach oszustkę. Z drugiej jednak strony, jeśli wierzyć lubującej się w skandalach prasie bulwarowej, Maura mogła coś więcej dla niego znaczyć. Czy będzie próbował jej bronić?

Acton miał jednak na niego haka. Wiedział, że Barrett desperacko próbuje zatrzymać przy sobie wychowanków brata i z pewnością zrozumie, jakie znaczenie miałyby dla Vale'ów informacje o oszustwie Maury.

Acton zatarł ręce. Rozegrał to jak partię szachów. Dla Maury nie było już ucieczki.

- Co teraz, sir? - zapytał Digby.

Acton uśmiechnął się szeroko.

- Szach i mat, Digby.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Riordan odłożył list od barona Hesperly i odsunął się od biurka. Wolałby siedzieć teraz w swoim studio i pracować nad portretem Maury. Musiał wspomagać się szkicami i pamięcią, ponieważ odmówiła dalszego pozowania i starannie go unikała od... od tamtej nocy, kiedy się kochali. Widywał ją, oczywiście, ale zawsze z dziećmi. Nigdy nie byli sami.

No, właśnie, powiedział pod nosem. „Kochali się”. Maura stała się dla niego bardzo droga. Jak mógł ją oddać innemu? Czy tak postępują ludzie z cennymi dla siebie przedmiotami? Ale czy on rzeczywiście oddawał Maurę, czy raczej starał się zapewnić jej bezpieczeństwo? Nie miał powodu wątpić, że uda jej się oczarować barona Hesperly ani że baron będzie dla niej dobry.

Hesperly pragnął złożyć Maurze wizytę, był nią urzeczony. Jego list zawierał miliony poetycznych epitetów. Riordan wysmiałby zapewne górnolotny styl peanów barona, gdyby nie zgadzał się w pełni z każdym jego słowem.

Nie patrząc, sięgnął po kolejny list ze sterty korespondencji. Jego dłoń spoczęła na kwadraciku grubego papieru. Rozpoznał zaproszenie pozostałe po jego przyjęciu, wypisane starannym i bardzo kobiecym charakterem pisma Maury. Dziwne, że w aktualnej poczcie znalazło się zaproszenie na dawno miniony obiad. Nagle zauważył, że data została starannie wyskrobana i zastąpiona jednym słówkiem: dzisiaj.

To słówko nie zostało napisane ręką Maury, litery były drobniejsze i znacznie mniej foremne. Pukanie do drzwi wyrwało go z kontemplacji.

- Wejść - powiedział Riordan i schował zaproszenie pod suszkę.

- Wujku Ree? - W drzwiach pokazała się głowa Williama.

Riordan uśmiechnął się.

- Wejdz. Co robisz z dala od pokoju dzieciennego?

- Wykradłem się na chwilę. - William obejrzał się przez ramię z poczuciem winy, na co Riordan parsknął śmiechem. - Chciałem z tobą porozmawiać.

- W takim razie podejdź bliżej i powiedz, co ci chodzi po głowie.

- Twoje małżeństwo.

Riordan kompletnie się tego nie spodziewał. Może to stanowiło wyjaśnienie wybuchu Cecylii w zoo? Może dzieci były zaniepokojone? Powinien dodać im wiary.

- Nie jestem jeszcze żonaty, Will. Ani nawet zaręczony. - Choć przecież próbował.

- Jeszcze. Jeszcze nie jesteś. Ale chcesz się ożenić. - William stanął przed biurkiem i wyprostował się, starał się wyglądać dorośle i poważnie.

- Chcę, żebyś miał matkę, Williamie - odpowiedział Riordan z równą powagą. - Byłoby miło, prawda?

William kiwnął głową.

- Byłoby bardzo miło, wujku, pod warunkiem że to będzie odpowiednia osoba. Osoba, którą polubimy wszyscy.

- Tak byłoby najlepiej - przyznał Riordan, ale to chyba niemożliwe z uwagi na zbliżający się termin rozprawy. Przyglądał się twarzy Williama. Chłopiec starał się zebrać myśli. Ewidentnie miał jeszcze coś ważnego do powiedzenia. - Oczywiście, jeszcze nikogo nie znalazłem - dodał tonem mającym dodać Williamowi odwagi. Może chłopak obawiał się, że zdecydował się już na kogoś.

Twarz Williama rozjaśniła się, choć nadal malowało się na niej lekkie wahanie.

- Mogę coś zasugerować?

- Zasugerować? - Riordan przesunął wzrokiem po pokoju, jakby obawiał się, że zza boazerii wyskoczy nagle jakaś panna w sukni ślubnej. Jaką kobietę mógł znać ośmioletni dzieciak?

- Szósta - rzucił William lakonicznie.

- Szósta? - powtórzył Riordan chłodno. Maura. Dzieciaki były znacznie bystrzejsze, niż sądził.

- A dlaczego nie? - zapalił się William. - Jest wesola, lubi nas i ciebie też lubi. Cecylia zapytała ją o to wczoraj na wystawie i Szósta przyznała, że cię lubi. - Chłopiec urwał nagle i opuścił oczy na własne buty. Po chwili dodał: - Ty też ją lubisz. Więc jest idealną kandydatką.

Przy ostatnim stwierdzeniu Riordan uniósł brwi.

- Dlaczego sądzisz, że ją lubię? - Bóg wie, na co William jeszcze zwróci jego uwagę. Dziwne było przyjmowanie rad w kwestiach sercowych od ośmiolatka.

- Widzieliśmy, jak ją całowałeś po przyjęciu - wyznał zaczerwieniony William. Riordan również powinien się zarumienić. Co to był za pocałunek! - Więc? Dlaczego nie miałbyś ożenić się z Szóstą i uszczęśliwić nas wszystkich?

Riordan potrząsnął głową.

- To nie takie proste. - Jak miał to wyjaśnić chłopcu i nie wyjść w jego oczach na ostatniego drania? Nawet notoryczni rozpustnicy mają swoje zasady, a on złamał wszystkie,

odkąd spotkał Maurę.

- To jest proste - odparł William. - Musisz tylko jej się oświadczyć. Czy to dla ciebie takie trudne?

Riordan wybuchnął śmiechem.

- Mówisz jak mężczyzna, który nie musiał jeszcze nigdy się oświadczać. Pogadamy za dwadzieścia lat. Zobaczmy, co wtedy powiesz.

William, skoncentrowany bez reszty na swojej misji, nie zwrócił nawet uwagi na jego rozbawienie.

- Więc? Zrobisz to? - naciskał.

Riordan sam nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Wracaj do dziecinnego pokoju, bo Szósta zacznie cię szukać. - I dodał, zanim chłopiec zdążył powtórzyć swoje pytanie: - Pomyślę o tym, Will.

Dobry Boże, jak nisko upadł! Mężczyzna, który potrafił doprowadzić kobietę do orgazmu z odległości piętnastu stóp, przyjmował rady od dziecka! To zupełnie nowe doświadczenie.

Ale właściwie dlaczego nie Maura? Im dłużej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł.

Riordan wyciągnął spod suszki zaproszenie. Teraz domyślał się już, kto i co się za tym kryło. Wyjął z kieszonki zegarek. Pięta. Miał dość czasu, by doprowadzić się do przyzwoitego wyglądu. A może lepiej powiedzieć: do „oświadczynowego” wyglądu?

Maura zawahała się na schodach, nerwowo przyglądała palcami fałdy drugiej ze swych najlepszych kreacji, srebrzystoszarej sukni z wszytymi w rąbek brylancikami, przez co robiła wrażenie gwiazdzistej. Nie mogła uwierzyć, że Cecylia zdołała ją na to wszystko namówić: na włożenie tej sukni oraz przyjęcie niesprecyzowanego zaproszenia na obiad, choć miała, oczywiście, pewne podejrzenia. Nie spojrzała w oczy Riordanowi od tamtej pamiętnej nocy i nie miała pewności, czy on chciał ją widzieć. Prawdę mówiąc, unikała go. Wychodziła z domu, a jeśli już w nim była, to nie odstępowała dzieci na krok. Ale on również nie próbował jej szukać. Może zdawał sobie sprawę z tego, że był to związek na jedną noc i nic więcej nie wchodziło w rachubę?

Zaproszenie na obiad otwierało jednak szereg nowych możliwości. Wszystko zależało od tego, jaki to miał być obiad. Może czekało ją uwodzenie w blasku świec? A może pożegnalna uczta? Albo jedno i drugie? Niewykluczone również, że mimochodem, między jednym kieliszkiem wina a drugim, Riordan poinformuje ją, iż dokonał już wyboru panny młodej.

- Panno Caulfield, podano do stołu. - Riordan wyszedł jej na spotkanie z wyciągniętą ręką.

Dosłownie zaparło jej dech na jego widok. Tego wieczoru szczególnie zadbał o swój wygląd i prezentował się nieskazitelnie: niesforne włosy zostały starannie wyszczotkowane, zarost gładko wygolony, a wieczorowe ubranie wyprasowane. W szmaragdowej kamizelce lśniła szpilka z onyksu. Jeśli jakiś mężczyzna mógł wyglądać zachwycająco, to właśnie Riordan. Zachwycająco i bardzo męsko. Obrzucił Maurę takim spojrzeniem, jakby miał ochotę ją schrupać. A więc miał w planie uwodzenie, pomyślała. Podała mu rękę, choć nie znała odpowiedzi na to pytanie. Uniósł ją do ust. Przesłanie było jasne. Będzie próbował ją skusić, ale decyzja należała do niej. Gra rozpoczęta.

Jeszcze przed pieczystym dla Maury stało się jasne, że pomyliła grę. Nie chodziło o zwyczajne uwodzenie i kolejną noc rozkoszy bez zobowiązań. Na razie nie mogła jeszcze się zorientować, o co toczyła się gra. A taka była pewna swoich poprzednich przewidywań! Teraz zaczynała postrzegać wszystko w nieco innym świetle. Uderzająca elegancja Riordana, a nawet rodzaj prowadzonego przez niego flirtu były o klasę wyższe niż zwykle.

Tym razem w zabiegach o jej względy nie ograniczał się do pięknych słówek i przejrzystych aluzji. Wielbił ją każdym spojrzeniem, każdym gestem. Obiad został podany *à la fran ais*. Maura pozwalała, by Riordan ją obsługiwał, wybierał dla niej najlepsze kęski mięsa wedle dawnej rycerskiej tradycji, gdy szarmanccy rycerze podawali potrawy damom swego serca. U innego mężczyzny takie zachowanie mogłoby się wydawać nadopiekuńcze, śmieszne, a nawet dominujące. Riordan robił to jednak w tak subtelny sposób, z taką pewnością siebie i elegancją, że obudził w niej... pożądanie, które szybko rosło. Kto by przypuszczał, że nakładanie na talerz pieczeni wołowej i dolewanie wina do kieliszka może spowodować wybuch tak płomiennej namiętności?

Maura mięso jadła, spokojnie przeżuując kolejne kęsy, ale cała jej uwaga była skupiona na Riordanie: zachłannie przyglądała się, jak poruszał ustami przy jedzeniu, jak pieszczotliwie przesuwiał palcem po brzegu kieliszka, jak zmieniał się kształt jego warg przy mówieniu i uśmiechu. Kurczowo zaciskała palce na nóżce kieliszka, tak mocno, że obawiała się, iż trzaśnie zaraz w jej rękę.

- Chcę o czymś z tobą pomówić, Mauro - przyznał wreszcie nad półmiskiem truskawek oblewanych czekoladą. Wziął jedną truskawkę i włożył jej do ust. - Nie rozmawialiśmy od tamtej nocy. Bardzo tego żałuję. - Patrzył jej w oczy z lekkim, uwodzicielskim uśmiechem, który bynajmniej nie pomagał jej się rozluźnić. Tym uśmiechem dawał jej do zrozumienia: „Wiem, co czujesz. Przy mnie jesteś bezpieczna. Nie musisz z tym

walczyć”. I tyle wyszło z jej udawanej nonszalancji! - zganiła się w myślach. To irytujące, że czytał w niej jak w otwartej księdze.

- Byłeś zajęty - podsunęła mu wygodne wyjaśnienie.

- Byłem. Ale to żadne usprawiedliwienie. Kiedy mężczyzna odbiera kobiecie dziewictwo, nie powinien potem milczeć. - W jego błękitnych oczach dostrzegła taką powagę, że pełen pieczeni wołowej żołądek ścisnął jej się z niepokoju. Chyba nie sądził, że coś jej się od niego należało? Przypomniała sobie, że proponował jej nową suknię, i jej niepokój wzrósł. Przełknęła z trudem. Proszę, nie, błagała w myślach. Gdyby Riordan zaproponował jej jakąś rekompensatę za tę noc zapomnienia, to straszliwie zdeprecjonowałby tamto przeżycie.

- Pamiętasz, powiedziałem, że mnie inspirujesz. Mówiłem serio. - Sięgnął po jej rękę i lekko ścisnął jej palce. - Odkąd cię spotkałem, dawne rozrywki straciły dla mnie urok. Zrozumiałem, że powodem, dla którego nie mogę się zdecydować na żadną z kandydatek na żonę, jesteś ty. To doprowadziło mnie do konkluzji, że to z tobą powinienem się ożenić. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Strach i niedowierzanie zepchnęły wołowinę na bok. Małżeństwo? To wykluczone! Z wielu powodów.

- Prawie mnie nie znasz. - Próbowwała mu odebrać swoją dłoń. Czują, że jeśli jeszcze chwilę dłużej będzie jej dotykał, to skapituluje, a nie miała do tego prawa. Riordan nie zdawał sobie sprawy, jak dużo musiałby za to zapłacić. - Poznałeś mnie zaledwie przed miesiącem.

- Wiem wystarczająco dużo. - Oczy Riordana płonęły, jakby chciały wypalić z niej wszelką myśl o oporze. - Wiem, że jesteś dobra, uprzejma i dzieci cię uwielbiają.

- A ty? Ty też mnie uwielbiasz? - Podejrzenia, które zaczęły w niej kiełkować przy pieczystym, zmieniły się w pewność. Ten obiad miał służyć czemuś poważniejszemu niż uwiedzenie na jedną noc. Nie chodziło również o osobiste pragnienie Riordana znalezienia żony. To było coś więcej.

- Myślę, że się w tobie zakochałem - wyszeptał miękko Riordan. Musnął wargami kostki palców Maury, a potem odwrócił jej dłoń i zaczął okrywać pocałunkami jej wnętrze.

- Małżeństwo to nie jest instytucja, do której można tak lekko podchodzić - odparła Maura. Żalowała, że nie potrafiła tak dobrze czytać z jego twarzy jak on. - Dlaczego tak na gwałt chcesz się żenić?

Zaraz, co powiedział Riordan, prosząc ją o przygotowanie przyjęcia? „Okazało się, że muszę się szybko ożenić. Nie mogę czekać do następnego sezonu”. Coś się jednak za tym kryło!

- Mówisz jak pastor. - Riordan roześmiał się, nie odrywając ust od jej dłoni. - I nie

odpowiedziała na moje pytanie. Wyjdiesz za mnie?

Maura poważnie spojrzała mu w oczy.

- A ty nie odpowiedziałeś na moje. Dlaczego nagle hrabia o zszarganej reputacji postanawia się ożenić i równie nagle decyduje się na guwernantkę? Musisz przyznać, że to podejrzane. - Riordan nie odpowiadał, więc dodała: - Jak mam zaangażować się w małżeństwo, skoro nie możemy być wobec siebie szczerzy? To byłby fatalny początek.

Riordan wypuścił jej rękę i odetchnął głęboko. Maura spięła się. To, co miał do powiedzenia, z pewnością sprawi jej ból.

- Vale zabierze dzieci, jeśli w ciągu najbliższych czterech dni nie ożenię się albo przynajmniej się nie zaręcę.

Wielkie nieba! Niestety, miała rację. Gdyby nie chodziło o dzieci, czułaby się teraz jak nagroda pocieszenia.

- Vale? - wykrztusiła. - Ten sam, który odwiedził Elliotta?

- Jego żona jest kuzynką dzieci ze strony matki. Poprzednio odmówiła wzięcia ich do siebie - uzupełnił szybko Riordan.

- Od jak dawna o tym wiesz? - Z pewnością wiedział już, zanim zjawiała się w jego domu. Ten dramat rozpoczął się jeszcze przed jej przybyciem. Zaczynała dostrzegać, że Riordan od dawna żył w koszmarze, samotnie zmagając się z niespodziewanym samobójstwem brata i walką o dzieci.

- Od pogrzebu. Ale to nieważne. Vale'om zależy tylko na ich pieniądzach, a jest o co walczyć. - Riordan zniżył głos. - Po śmierci ojca dzieci zostały bez środków do życia. Elliott to zmienił. Przepisał na Williama sporą sumę i majątek ziemski, a Cecylii wyznaczył znaczny posag. Ustanowił również fundusz powierniczy na ich wychowanie, szkołę Williama i debiut Cecylii. Dzieci są bogate.

- Ale przecież Elliott zostawił je tobie. - Maura starała się to wszystko poskładać w całość. Wiedziała, że gdyby Riordan stracił dzieci, załamałby się.

- Są gotowi wystąpić o obalenie testamentu. Zamierzają dowodzić, że Elliott był nie zrównoważony i nie wiedział, co czyni, przekazując opiekę nad dziećmi mnie. - Riordan szeroko rozłożył ręce na stole. - Ja, ich zdaniem, nie nadaję się na opiekuna. Tylko wariat mógłby twierdzić inaczej.

- A małżeństwo? Co ma z tym wszystkim wspólnego małżeństwo?

- Jeśli się ożenię, to zapewnię dzieciom opiekę macierzyńską i zarazem udowodnię, że w przyszłości zamierzam kroczyć drogą ucziwości. - Riordan parsknął ochryplym śmiechem. - Najwyraźniej tylko mężczyzna żonaty jest uważany za ucziwego.

Maura zapragnęła zetrzeć ból z jego twarzy.

- Te spotkania, w których uczestniczyłeś, były w sprawie dzieci?

- Tak. I testamentu. Staralem się zorientować, czy mamy się czego obawiać. -

Potrząsnął głową. - Znaleźliśmy pewne ciekawe zapisy w księgach rachunkowych, które mogą pomóc w odkryciu przyczyny śmierci Elliotta. Ale trochę nas to niepokoi. Obawiamy się, że mogłoby to zostać wykorzystane przeciw nam.

Maura po raz pierwszy zobaczyła na twarzy Riordana wyraz, którego nie spodziewała się na niej zobaczyć. Strach. Zabolało ją to bardziej niż własne cierpienie. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że Riordan Barrett, hrabia Chatham mógłby się czegoś obawiać. Teraz wiedziała, że żył w ciągłym strachu przed utratą dzieci, przed zbrukaniem pamięci brata, przed odebraniem mu spadku i zapewne również przed tym, że nie sprostą wyzwaniom i tym samym potwierdzi marną opinię, jaką miał o nim ojciec.

- To nie są najbardziej eleganckie oświadczenia, Mauro, ale naprawdę mi na tobie zależy, to nie jest fałsz. I mogę ci zapewnić dobre życie. - Znowu sięgnął po jej rękę i zaczął w niej kreślić kręgi, rozpoczynając uwodzenie. - Mogę ci dać...

- Przestań! - krzyknęła Maura. Nie mogła do tego dopuścić. Nie mogła dopuścić, by ją błagał. Riordan podniósł oczy, zaskoczony jej gwałtowną reakcją. - Nie waż się deprecjonować siebie w ten sposób!

Ile razy już to robił? Ile razy obiecywał dać coś w zamian za coś innego i kupował sobie łaskę? Ile razy wracał do niego dawny ból? Jak mogła tego nie dostrzec? Jak mogła nie zauważyć licznych warstw jego osobowości? Wrażliwości, którą po mistrzowsku ukrywał?

- Jeśli wątpisz w moją zdolność do miłości, Mauro, to uwierz przynajmniej, że potrafię dać ci rozkosz. Wiesz, że to nie są obietnice bez pokrycia. - Zaciśnięła palce na jej rękę tak mocno, że niemal boleśnie. - Sprzedałbym własną duszę dla tych dzieci. Nic więcej nie mogę rzucić na szalę. Vale'om nie zależy na nich, tylko na ich pieniądzech. Dzieci zostaną wysłane do szkół z internatem, a co się stanie z ich pieniędzmi, trudno przewidzieć. Vale jest na granicy niewypłacalności. Proszę, pomóż mi. Pomóż Williamowi i Cecylii.

Łzy napłynęły jej do oczu. Riordan potrzebował tego jednego, czego nie mogła mu dać.

- Nie mogę za ciebie wyjść - wyszeptała ledwie dosłyszalnie. Małżeństwo z nią ugruntowałyby tylko fatalną reputację Riordana. Zamiast stać się człowiekiem szacownym, zostałby łajdakiem, który poślubił kobietę obiecaną innemu. To niewiele różniło się od bigamii. Wuj posiadał wszelkie potrzebne dokumenty, by to udowodnić.

Twarz Riordana zmieniła się w maskę stoicyzmu. Wiedziała, że nie zrozumiał.

Myślał, że odrzuciła jego, bo uznała go za nieodpowiedniego kandydata na męża, podczas gdy to ona była nieodpowiednią kandydatką na żonę. Sięgnął do kieszeni.

- Więc może wolisz to. Baron Hesperly w tym liście jasno deklaruje swoje intencje. Pragnie ci złożyć wizytę. Moim zdaniem możesz bez obaw przyjąć założenie, że ma poważne zamiary.

Maura zakryła ręką usta. Była wstrząśnięta. Nie sięgnęła nawet po list.

- Nie chodzi o to, że nie mogę wyjść za ciebie, Riordanie. Nie mogę wyjść za nikogo.

- Odsunęła się od stołu. Musiała jak najszybciej stąd uciec. Uciec od niego, zanim wyrzuci z siebie wszystkie tajemnice.

Spóźniła się. Riordan zdążył złapać ją za ramię i mocno przytrzymać. Jego oczy płonęły, a głos zmienił się w gniewny, gardłowy pomruk.

- Dlaczego?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- To moja sprawa. - Próbowała odebrać mu swoją rękę, ale Riordan trzymał ją mocno. Maura była jego jedyną szansą, najlepszą szansą. Nie mógł wypuścić jej z rąk.

- Odrzuciłaś moje oświadczenia. Mam prawo wiedzieć, z jakiego powodu. - Spojrzył na nią płonąącym wzrokiem. - Szczególnie że mam pewność, iż nie miałaś innych mężczyzn. - Powiedział to specjalnie, żeby przełamać jej stanowczy opór, choćby za cenę narażenia się na jej gniew. - Nie mam natomiast żadnej pewności, czy nie poczęliśmy dziecka. Pomyślałaś o tym? - Ten argument trafił do celu. Maura poblądła. - Natura nie zważa na to, czy to twój pierwszy raz, czy setny. To dziecko może zostać następnym hrabią Chatham. Wystarczy, że powiesz tak.

Ta taktyka była absolutnie nie fair. Wiedział, że Maura postawi dobro dziecka ponad własne. Ta gra toczyła się jednak o wszystko i Riordan musiał wygrać. Teraz również ze względu na własne dzieci. Ich przyszłość zależała od jego zwycięstwa. Pochylił się i zbliżył wargi do jej ucha.

- Zdradź mi swoją tajemnicę, Mauro. Możesz mi ją bezpiecznie powierzyć. Możesz mi bezpiecznie powierzyć siebie. - Zaskoczył samego siebie tym wyznaniem. To nie były puste obietnice niebieskiego ptaka. Niezależnie od tego, jaką straszliwą tajemnicę skrywała Maura, zamierzał jej bronić.

Odwróciła głowę i jeszcze raz próbowała się wyrwać. Tym razem Riordan wypuścił jej rękę.

- Jeśli nawet ci powiem, to i tak niczego nie zmieni. Nie stanę się nagle, jakimś cudownym zrzędzeniem losu, zdolna do małżeństwa. - Jej opór nie ustawał, ale dołączył się do niego żal. To dodało mu sił. Wiedział, że wyszłaby za niego, gdyby we własnym przekonaniu mogła to zrobić. Pozostało mu tylko przekonać ją, że może.

Riordan wielkimi krokami podszedł do podwójnych drzwi jadalni i zamknął je na klucz.

- Może usiądziesz? Jeśli zdolność dedukcji mnie nie zawodzi, to przed nami długa noc.

Maura zawahała się.

- Co robisz?

Riordan sięgnął po stojące pod ścianą krzesło, odwrócił je i usiadł na nim okrakiem.

- Przygotowuję się do zabawy w zgadywanki. Odgadnę twój sekret.

Usiadła.

- Nie zmusisz mnie, bym ci powiedziała.

- Nie będziesz musiała. Jestem gotów zgadywać przez całą noc i w końcu poznam prawdę.

- Doskonale, ale ja tego nie potwierdzę.

- Nie będziesz musiała.

Na ustach Riordana pojawił się drapieżny uśmiech. Szkoda, że nie próbował dowiedzieć się o niej więcej na samym początku, kiedy jego podejrzenia wzbudziły doskonałe maniery nowej guwernantki, jej eleganckie i dobrze skrojone suknie, umiejętność odgrywania roli pani domu podczas przyjęcia, a także wykrętna odpowiedź z agencji pani Pendergast. Ale nie starał się zajrzeć pod powierzchnię, by dotrzeć do prawdy, podobnie jak nie starał się przeniknąć zagadki samobójstwa Elliotta - i to z tego samego powodu. To, co kryło się pod powierzchnią, mogło być przykre lub niebezpieczne, więc wolał o tym nie wiedzieć. Teraz tylko miał nadzieję, że nie było za późno.

- Zacznijmy od tego, co najbardziej oczywiste. Nie ukrywasz tajemniczego kochanka, który czai się w mroku, by cię porwać.

- A więc to ma być gra w dwadzieścia pytań?

- Coś w tym rodzaju - odparł Riordan z leciutkim uśmiechem.

- Nie, nie mam żadnego tajemniczego kochanka - zapewniła Maura.

Skoro więc nie istniał mężczyzna, do którego chciała uciec, to może uciekała od czegoś? Zaraz, zastanawiał się, kiedyś wymknęło jej się, że od szesnastego roku życia mieszkała z rodziną wuja. Po śmierci rodziców została sama na świecie. Obecnie miała dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat i była śliczna. Może uciekła przed skandalem? Była przerażona, kiedy powiedział jej o artykule w rubryce towarzyskiej.

- A więc nie ukochany. A co powiesz na skandal, Mauro? Zdarzyła ci się jakaś paskudna afera? - Skandal nie musiał przecież mieć realnych podstaw. Była dziewicą, zanim ją wziął, więc jeśli doszło do skandalu, to opierał się on wyłącznie na pogłoskach. Mało prawdopodobne, by w tej sytuacji młoda kobieta porzuciła bezpieczny dom i rodzinę. Rodzinę stojącą dość wysoko w hierarchii społecznej, jeśli sądzić po jej ubraniach.

Maura pokręciła przecząco głową. Światło świec wydobyło czerwone błyski z jej kasztanowatych włosów. Riordan zapragnął mieć już za sobą etap dedukcji i przejść do uwodzenia. Jej upór ewidentnie męczył ich oboje.

Skoro nie uciekła od czegoś, to może od kogoś? Riordan pomyślał o wuju, człowieku o wysokiej pozycji, mającym siostrzenicę w wieku stosownym do małżeństwa. Maura była stworzona, by przyciągać zainteresowanie mężczyzn, nie zawsze odpowiednich mężczyzn i nie zawsze właściwe zainteresowanie.

- A więc nie ukochany i nie skandal. A co powiesz na niechcianego pretendenta do twojej ręki?

- Nie. - Maura błyskawicznie odwróciła wzrok. Tylko na moment, ale Riordan wyczuł, że tym razem był bliski prawdy. Tak, mogło chodzić o niechcianego adoratora, który nie dostał odprawy od wuja, choć po śmierci rodziców to wuj powinien być dla Maury pierwszą i niezawodną linią obrony.

- To człowiek, za którego wuj chce cię wydać za mąż. - Riordan podejrzewał, że określenie „chce” było w tym wypadku zbyt słabe. Odpowiedniejsze byłoby „zmusza”. - Ten okropny mężczyzna, o którym wspominałaś w pracowni.

- Skonstruowałaś intrygę godną sceny teatralnej - stwierdziła Maura stanowczo, ale popełniła błąd. Wstała i zaczęła spacerować po pokoju, odwracając twarz od Riordana, z rękami opuszczonymi po bokach i zaciśniętymi w pięści. Riordan uśmiechnął się triumfalnie. Miał ją!

Wstał i podszedł do Maury. Poczucie zwycięstwa szybko z niego wyparowało w zetknięciu z wagą odkrycia. Wyobrażał sobie, jak ciężkim to było dla Maury przeżyciem, skoro zdobyła się na tak drastyczny krok jak ucieczka z domu i podjęcie pracy w gruncie rzeczy służebnej, aby ukryć się w anonimowości. On również kiedyś uciekł, więc potrafił ją zrozumieć. Maura stanęła przy wysokim oknie wychodzącym na ulicę, odsunęła zasłonę i przyglądała się karetom zdążającym na rozmaite przyjęcia i bale.

Riordan stanął za nią, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Powiedz mi. - Jego głos był miękki i uwodzicielski. - Powiedz, co zrobił twój wuj i kim jest człowiek, za którego postanowił wydać cię za mąż?

Maura westchnęła ciężko. W tym westchnieniu usłyszał zmęczenie i kapitulację. Poddała się, bo od tego momentu zachowanie tajemnicy nie chroniło już nikogo.

- To Acton Humphries, baron Wildeham. - Jej głos był ledwo słyszalny, niewiele głośniejszy od szeptu. Odchyliła głowę do tyłu i oparła ją na piersi Riordana. Rozkoszował się jej zaufaniem i uległością. Wreszcie była z nim. - Jak się domyśliłeś?

- Zwyczajna dedukcja. Młoda dama z dobrego domu nie rzuca wszystkiego dla kaprysu. Powiedz mi, Mauro, dlaczego to było aż tak okropne, że zdecydowałaś się na ten krok?

- Byłam zapłatą za przegraną w końskim wyścigu.

- Wuj założył się o ciebie? - Riordan był zaszokowany.

- Nie, przynajmniej nie na początku. To odbyło się w sposób bardziej elegancki. Wuj założył się o pieniądze, bo był absolutnie pewien, że nie może przegrać. Niestety, przegrał, a wówczas okazało się, że nie miał pieniędzy. Wildeham zaproponował najpierw, że przejmie dom jako spłatę długu. To było dla wuja nie do przyjęcia, więc Wildeham zażądał mnie. To okazało się dla wuja łatwiejsze do przełknięcia. - W jej głosie brzmiała gorycz.

Riordana ogarniał coraz większy gniew. Najchętniej wyzwiałby podłego wuja na pojedynek, ale Maura nie skończyła jeszcze swej historii.

- Już wcześniej doszło do pewnego incydentu pomiędzy mną i Wildehamem. - Maura wyraźnie starała się trzymać w ryzach swoje emocje i zbagatelizować znaczenie „incydentu”, ale Riordan zrozumiał istotę rzeczy. Teraz chciał wyzwąć Wildehama. - Wildeham uznał, że małżeństwo w elegancki sposób załatwi wszelkie sprawy. Wuj myślał podobnie.

- Ale ty odmówiłaś?

- Wildeham to mężczyzna o mrocznych skłonnościach - odparła spokojnie Maura. - W okolicy krążyły o nim różne opowieści, a przez jego dom przewijała się dziwnie duża liczba pokojówek. - Riordan czuł, jak przy tych słowach całe ciało Maury zeszywniało. Nie chodziło tylko o plotki, Maura przypominała sobie coś obrzydliwego.

- O co chodzi? Co zrobił? Co powiedział?

- Drobiazgowo wyjaśniał mi, jak będzie wyglądała nasza noc poślubna. Cieszę się, że to zrobił, bo w przeciwnym razie pewnie nie starczyłoby mi odwagi, by uciec z domu.

Ktoś mógłby pomyśleć, że zamieniła jednego rozpustnika na drugiego, ale Riordan nigdy nie posłużyłby się przymusem, poczuciem winy czy siłą, by zaciągnąć kobietę do łóżka.

Odwróciła się w jego ramionach, odrzuciła włosy do tyłu i uniosła twarz, prześliczną i rozpaczliwie samotną.

- Jestem złym człowiekiem, Riordanie. Tobie wydawałam się dobra, ale to nieprawda. Jestem egoistką. Wuj może zostać wyrzucony z domu, bo ja nie jestem w stanie zmusić się do małżeństwa, żeby go ratować.

Riordan skradł jej pocałunek, potem drugi. Poznał jej tajemnicę i wiedział, jak sobie z nią poradzić.

- Pomyliłem się, jeśli chodzi o ciebie, Mauro. Wydawało mi się, że jesteś po prostu samowolną małą czarownicą. A to nieprawda. Jesteś odważna. Niezwykle odważna. - Znał bardzo niewiele kobiet mających dość odwagi, by pokierować życiem wedle własnej woli,

choćby to miało oznaczać zerwanie z rodziną. Żona Merricka, Alixe, była jedną z nich.

Maura nie wyglądała na przekonaną.

- Gdybym była odważna, to zostałabym tam i pomogła wujowi.

Riordan skrzywił się.

- Wuj wpakował się w tarapaty z własnej winy. Nie miał prawa marnować twojej przyszłości przez własną głupotę - stwierdził z głębokim przekonaniem. - Czy dlatego nie chcesz za mnie wyjść?

Potrząsnęła śliczną główką.

- Stanowię dla ciebie zagrożenie. Wuj z pewnością mnie szuka. Jeśli za ciebie wyjdę, to mnie znajdzie. Ślub hrabiego nie może przejść bez echa. Przyjedzie po mnie i rozgłosi całą sprawę. To na pewno ci nie pomoże. Vale wykorzysta to, żeby odebrać ci dzieci. Zdobędzie dowód, że twoja zła reputacja jest w pełni uzasadniona.

- Mam pieniądze, Mauro. Odkąd zostałem hrabią, mam mnóstwo pieniędzy. W razie potrzeby mogę spłacić długi twojego wuja. - Teraz, kiedy znał okoliczności sprawy, z łatwością znajdował rozwiązanie problemów. Trzymał ją w ramionach i czuł, że chętnie by w nich pozostała, gdyby wszelkie przeszkody zostały usunięte. To, czego pragnął, czego potrzebował, było tak blisko. - Czy wiesz, że to dzieci wymyśliły dzisiejszy obiad? - Pochylił głowę i znowu pocałował Maurę. Tym razem był to długi, głęboki pocałunek, preludium do miłości. Stół jadalny zachwiał się.

- Przestań, Riordanie. - Zesztywniała, w jej oczach pojawiła się panika, która kazała mu się zatrzymać. - Nie możesz tak po prostu wykupić długu wuja. Są dokumenty, w których przekazuje mnie baronowi.

- Podpisałaś te papiery?

- Nie, ale...

Położył jej palec na ustach. Maura miała zdecydowanie zbyt rozwinięte poczucie honoru. Dokumenty można zakwestionować, jeśli w ogóle wyjdą na światło dzienne.

- Przestań się zamartwiać. - Ty razem pocałował ją mocno. Postanowił jej przypomnieć, dlaczego jeszcze przed świtem powie mu tak.

Nastrój uległ zmianie. Ten pocałunek pozostawił Maurę bez tchu i zdradził intencje Riordana. W jego oczach płonęła namiętność i pożądanie, czas na negocjacje i dyskusje minął. Położył jej rękę na swoim ramieniu i objął ją w talii. Maura instynktownie zrobiła krok do tyłu, potem drugi i trzeci, zaczęli tańczyć. Nie skoczną polkę, jak na korytarzu na górze, ale powolnego walca, który był jednym wielkim uwodzeniem.

W narkotycznym, zmysłowym tańcu ich ciała ocierały się o siebie w sposób

absolutnie niedopuszczalny w londyńskich salach balowych, aż wreszcie wydawało im się, że unoszą się nad ziemią, powoli wirując wokół jadalni w rytm bezgłośniejszej muzyki. Wszystko było możliwe - w jego ramionach nie obowiązywały żadne ograniczenia, żadne zakazy, nie było dokumentów, wujów, krewnych. Istniał tylko on. Uniósł głowę i roześmiała się głośno, z radości, w poczuciu wolności. Zamknął jej usta pocałunkiem. Pożądanie wybuchło w nich gwałtownym płomieniem, domagającym się zaspokojenia.

Oparł ją plecami o ścianę i uniósł. Objęła go w pasie nogami. Pokrywał jej szyję pocałunkami. Oboje ciężko oddychali, coraz szybciej i szybciej w miarę, jak narastało w nich pragnienie. Nie wiedziała, jakim sposobem znalazł się przy niej, podtrzymując ją własnym ciałem.

- Nie sędzę, że bym był w stanie zdobyć się na delikatność - ostrzegł ją schrypniętym głosem i wszedł w nią mocnym pchnięciem. Krzyknęła i wplotła palce w jego ciemne włosy, przyciągając go do siebie nogami. Wrażenia tego zespolenia były tak silne, że wydawało jej się, iż zacznie płakać. Skubnęła jego ucho zębami, bowiem jego dzikość zaczęła się udzielać i jej. Podążała za nim aż do całkowitego spełnienia, potężniejszego niż dotychczas, bo teraz wiedziała już, co czekało ją na szczycie, na który wspólnie się wspinali.

Jej ciało wyprężyło się do ostatniego skoku i krzyknęła głośno, bez zahamowań. Czowała przy sobie Riordana, rozpalonego i spoconego. Dżentelmen o nienagannych manierach zniknął bez śladu, został mężczyzna w szponach namiętności i żądy. Wznosili się wysoko, a potem bardzo powoli opadali na ziemię. Kiedy wreszcie na nią wrócili, Maura poczuła, że coś się w niej zmieniło. Ta nowa Maura była kochana i nie zamierzała uciekać. Była gotowa walczyć.

Riordan delikatnie uwolnił się z jej nóg i postawił ją na podłodze. Nie rozplatała ramion obejmujących jego szyję ani nie pozwoliła się odsunąć. Rozchylił wargi i tym razem to ona uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

- Tak, Riordanie. Moja odpowiedź brzmi: tak.

Riordan uśmiechnął się lekko, jednym kącikiem ust.

- Świetnie. Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym z ludzi.

- Dlaczego?

- Bo już wkrótce będę cię miał nagą w swoim łóżu, jak należy - mruknął.

Maura roześmiała się. Po raz pierwszy od wyjazdu z Exeter uwierzyła w szczęśliwe jutro.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Acton włożył do ust ostatni kawałek doskonałego steku. Był zadowolony ze spotkania. Siedzący po drugiej stronie stołu wicehrabia Vale dosłownie ślinił się z zachwytu, uszczęśliwiony uzyskaną od niego informacją.

- Jak pan widzi, pańskie zastrzeżenia do Chathama są w pełni uzasadnione. - Acton schował dokumenty do wewnętrznej kieszeni żakietu. - Jego guwernantka to oszustka, a on pozwala jej pracować z dziećmi.

Obaj wiedzieli, że Vale'owi było najzupełniej obojętne, kto zajmował się dziećmi, ważne było tylko to, że dostał do ręki doskonały argument na jutrzejszą rozprawę w sądzie.

- Może pan to potwierdzić pod przysięgą? - zapytał Vale, nadal nieco sceptyczny wobec nieznanego, który przyniósł tak cenny dar.

- Lepiej, osobiście przyjdę na rozprawę. - Acton rozparł się w fotelu w rozkosznym poczuciu, że już niemal osiągnął swój cel. On stawi się w sądzie i będzie miał na to świadków, a w tym czasie Digby zrobi swoje w miejskiej rezydencji hrabiego.

Vale wbił oczy w swój talerz.

- Muszę zapytać, dlaczego pan to dla mnie robi. Nie znamy się przecież.

Acton pochylił się do przodu.

- Pan i ja jesteśmy światowcami. Rozumiemy, że nie ma nic za darmo. W tym wypadku nasze cele są zbieżne. Pan chce mieć dzieci, a ja guwernantkę. Ona należy do mnie.

- Jesteś pewien, że nie mogę jechać? - Maura poprawiała Riordanowi krawat w holu Chatham House. Idealnie zawiązany węzeł nie wymagał żadnych poprawek, ale musiała czymś zająć ręce. Rozprawa rozpoczynała się o jedenastej. Riordan postanowił pojechać do sądu sam i nie przyjmował do wiadomości żadnych argumentów.

Ujął jej ręce w dłonie i uśmiechnął się.

- To nie będzie przyjemne, Mauro. Nie chcę, żebyś w tym brała udział. Z pewnością wywleką wszystkie moje dawne grzeszki, żeby dowieść, iż nie nadaję się na opiekuna. A jeśli to nie wystarczy, spróbują obalić testament Elliotta. Nawet gdybyś tam była, w niczym nie mogłabyś pomóc. A dzieciom jesteś potrzebna tutaj. - Puścił do niej oko. - Poza tym, nie chcę, żebyś zmieniła zdanie. Moja przeszłość to nie jest opowiadanie dla grzecznych dzieci.

- Na pewno tego chcesz?

- Chcę ciebie.

- Hrabiowie nie żenią się z guwernantkami - powiedziała cicho Maura. Nie chciała szukać dziury w całym, ale miała poczucie, że brał ją za żonę dla dobra dzieci.

- Ty nie jesteś prawdziwą guwernantką - odparł Riordan. - Jesteś córką dżentelmena, siostrzenicą baroneta. - Uśmiechnął się. - Na wszystko mam odpowiedź. Pocałuj mnie jeszcze na szczęście... Zobaczymy się po powrocie.

Po jego odejściu Maura poszła do dzieci, ale poranne lekcje nie przeszkadzały jej w rozmyślaniach. Riordan nie ożeniłby się z nią, gdyby nie dzieci. Nie powinna przyjąć jego oświadczyn. Dzieci jednak na nich liczyły, od nich zależał ich los. Nie mieli wyjścia. Ulegli. Maura nie miała złudzeń, że to nie małżeństwo z miłości, pomimo ogromnej namiętności Riordana i jego wyznań miłosnych.

Ostatniej nocy, w chwilach największego uniesienia, wierzyła, że wszystko było możliwe: że Riordan zapewni jej ochronę przed wujem, że zostanie zaakceptowana w jego świecie i co najważniejsze że on darzy ją autentycznym uczuciem. Bardzo chciała w to wierzyć, ponieważ w którymś momencie - pomiędzy zwałeniem jej z nóg na schodach ganku a upojnym walcem w jadalni - zakochała się w Riordanie i pragnęła wierzyć, że on odwzajemnia jej uczucia.

Nie chciała małżeństwa bez miłości i obawiała się, że Riordan nie będzie jej wierny. Byłaby załamana, gdyby po ślubie nadal prowadził dawne, rozpustne życie. Było już jednak za późno na cofnięcie obietnicy. W tej chwili Riordan docierał zapewne do biura prawnego Vale'a w Lincoln's Inn. Wkrótce oznajmi wszem wobec, że znalazł żonę, więc jego wychowankowie będą mieli macierzyńską opiekę, a on w oczach świata stanie się przyzwoitym człowiekiem.

- Panno Caulfield. - W drzwiach pokoju dzieciennego stanęła zdyszana pokojówka. - Na dole jest jakiś mężczyzna, który chce się z panią widzieć. Moim zdaniem on nie wygląda na dżentelmena - dodała wyraźnie podenerwowana.

Maura wstała.

- To może być kurier od lorda Chatham. - Oby nie ze złymi wiadomościami, dodała w duchu. Była tak zaniepokojona, że z trudem powstrzymała się, by nie zbiec po schodach. Dzieci podążyły krok w krok za nią.

- Spójrz, to ten pan z muzeum - zawołał William w połowie schodów.

Maura zatrzymała się, przejęta nagłym chłodem. Instynkt ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem. Co ten człowiek tutaj robił? - zastanowiła się i nagle zrozumiała. To nie był posłaniec Riordana. Przyszedł po nią. Było już jednak za późno na ucieczkę.

- Panna Maura Caulfield? - Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, prezentując braki w uzębieniu. - A może powinienem zwrócić się do pani prawdziwym nazwiskiem, panno Harding? Caulfield to panińskie nazwisko pani matki, o ile się nie mylę?

Dzieci przestraszyły się. Cecylia przyłgnęła do spódnicy opiekunki, a William szybko zszedł i stanął na tym samym stopniu schodów co ona. Maura wzięła go za rękę, żeby nie próbował zrobić czegoś rycerskiego i głupiego.

- Czego pan chce? Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni - odezwała się wyniośle.

- Myślę, że to oczywiste, panno Caulfield. - Zwalisty mężczyzna uśmiechnął się znowu i wyciągnął zza pasa pistolet. - Przyszedłem po panią.

Cecylia pisnęła z przerażenia. Maura zawrzała gniewem, zapominając o strachu.

- Proszę natychmiast odłożyć broń. Jak pan śmie przychodzić tutaj i straszyć dzieci? - Poniewczasie uświadomiła sobie, że jej wybuch był śmieszny. Ten człowiek nie zamierzał odłożyć broni, bo dzięki niej panował nad sytuacją. Fielding i lokaj wpadli do holu, ale stanęli jak wryci na widok pistoletu.

Za plecami napastnika stanęło w drzwiach kolejnych dwóch opryszków.

- Proszę się pośpieszyć, panno Caulfield, jeśli pani nie chce, żeby ktoś ucierpiał. Pani i dzieci mają iść z nami. - Machnął pistoletem dla wzmocnienia swego rozkazu. - Już.

Mężczyźni zaczęli się do nich zbliżać. Maura schowała dzieci za siebie i próbowała się targować.

- Zostawcie je w spokoju, to pójdę z wami bez oporu.

Człowiek z pistoletem ryknął śmiechem.

- Mam rozkaz zabrać całą waszą trójkę i zastrzelić każdego, kto spróbuje mi w tym przeszkodzić. - Pistolet wypalił. Maura krzyknęła z przerażenia, a lokaj padł na podłogę, ściskając rękami nogę. - Będzie żył. - Bandzior skrzywił się. - Ale następnym razem może pani mieć mniej szczęścia, panno Caulfield. Może trafić na dzieci. Bierzcie je.

Jeden z pomagierów próbował złapać Cecylię, ale Maura go odepchnęła. Zaczęła bębnić pięściami w jego pierś, ale zainkasowała takie uderzenie w twarz, że aż jej w uszach zadzwoniło. Zatoczyła się, Digby złapał ją i przerzucił sobie przez ramię jak worek. Dzieci zostały schwytane i wywleczone z domu, choć krzyczały i kopały. Fielding próbował zmobilizować służbę do obrony, ale Digby odwrócił się i wystrzelił jeszcze raz. Maura i dzieci zostały wrzucone do czekającego pod domem powozu. Zniknęła ostatnia nadzieja na ratunek.

Kareta ruszyła, Maura przytuliła dzieci do siebie. Na szczęście, nie związali jej, więc mogła przynajmniej je pocieszać. Cecylia głośno szlochała.

- Ucisz ją - warknął mężczyzna, schował pistolet za pas i spojrzał na Williama. - Nawet o tym nie myśl, szczeniaku. Nie jesteś dla mnie żadnym przeciwnikiem. Daruj sobie wygłupy, bo skończysz w takim sarkofagu, jaki tak podziwiałeś w muzeum.

Maura otoczyła Willa ramieniem i podniosła oczy na porywacza.

- Kim pan jest i dokąd nas pan zabiera?

- Nazywam się Digby. A zabieram panią tam, gdzie pani miejsce.

To nie była jasna odpowiedź. Czy miał na myśli powrót do Exeter? A może wuj bawił w Londynie? To wszystko moja wina, myślała Maura z rozpaczą. A za jej brak rozważli zapłacą inni. Przez nią porwano wychowanków Riordana, a kiedy wieść o tym się rozejdzie, Riordan straci szansę na zatrzymanie dzieci. W tej sytuacji nie może jej poślubić. Nie może i pewnie też nie chce. Sprawiała tylko kłopoty, a on nade wszystko potrzebował teraz stabilizacji.

- A dzieci? Po co wplątywać w to dzieci?

- Mają drugorzędne znaczenie - odparł zimno Digby. - Wzięliśmy je, żeby pani nie zrobiła czegoś głupiego. Chyba pani nie liczy, że hrabia ruszy za panią w pościg? Kiedy się dowiedzie, że go pani oszukała i naraziła na niebezpieczeństwo jego wychowanków, chętnie zrezygnuje z pani w zamian za powrót dzieci. - Zamilkł teatralnie, by po chwili dodać z podłą satysfakcją: - A pani zostanie związana z Wildehamem nierozzerwalnym węzłem. Tak, węzeł będzie nierozzerwalny, a słyszałem, że Wildeham lubi posługiwać się sznurem. - Przeniósł spojrzenie na dzieci. - Tak kończą kłamcy, moi drodzy. Wbijcie sobie do głowy, że prawda zawsze wychodzi na jaw.

Oto, co miłość robi z człowiekiem, myślał Riordan, wchodząc z lekkim sercem do biura prawników Vale'a. Człowiek czuje się niezwykczony! A może to zasługa Maury? Może to ona sprawiła, że niczego się nie obawiał? Wysłuchają z Browningiem cierpliwie zarzutów wysuwanych przez Vale'a, a potem rozwieją jego nadzieje jednym krótkim oświadczeniem. Tak, przyjemnie będzie pokazać Vale'owi, gdzie jego miejsce. Riordan roześmiał się do siebie.

Browning czekał na niego na schodach.

Riordan pchnął drzwi i razem z Browningiem weszli do wyznaczonej sali. Zjawili się jako ostatni. Środek pokoju o ścianach wyłożonych boazerią zajmował długi, wypolerowany do połysku stół, po którego obu stronach stały rzędy krzeseł. U szczytu stołu, na honorowym miejscu, zasiadał sędzia Franklin DeWitt, w peruce i todze. To on zadecyduje o jego losie. DeWitt miał opinię tradycjonalisty. Mało prawdopodobne, by bez bardzo poważnego powodu zaakceptował sprzeniewierzenie się woli para Anglii.

Po jednej stronie sali zebrała się ekipa wicehrabiego Vale. Riordan rozpoznał adwokata o twarzy łasicy i jego asystenta, ale trzeci mężczyzna nie był mu znany.

- Widzę, że powinienem dokonać prezentacji. - Vale wysunął się naprzód i wskazał gestem nieznanego mężczyźnie o ciemnych, przetykanych siwizną włosach i nieustępliwym spojrzeniu. - To baron Wildeham. Ma informacje o kapitalnym znaczeniu dla dzisiejszej rozprawy.

Riordan zacisnął pięści. To ten okropny człowiek, od którego uciekła Maura.

- Możesz poznać go osobiście, nie tylko z relacji swej ostatniej guwernantki, panny Harding. - Vale zrobił pauzę dla większego efektu. - Wybacz, ty znasz ją przecież pod nazwiskiem Caulfield.

W Riordanie zawrzała krew. Świadomie postanowił zrezygnować z roli uprzejmego arystokraty.

- A więc to pan jest tym podstępny sukinsynem, który zażądał jej jako zapłaty za wygrany zakład.

Wildeham nawet nie drgnął, z jego ust nie zniknął lodowaty uśmiezek.

- Tak panu powiedziała? - Zwrócił się w stronę sędziego DeWitta i potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Widzę, że przybyliśmy w samą porę.

- W samą porę na co? - Riordan zmierzył wzrokiem szerokość stołu. Zastanawiał się, czy zdąży go przeskoczyć i rozkwaśnić baronowi nos, zanim zostanie powstrzymany.

Vale popatrzył na niego z fałszywym współczuciem. Riordan postanowił, że następny cios zainkasuje Vale. Zobaczmy, kto będzie wtedy potrzebował współczucia!

- Na powstrzymanie cię przed popełnieniem wyjątkowo odrażającego, choć niezamierzonego przestępstwa, drogi kuzynie.

- Czyli? - warknął Riordan.

- Bigamii. - Vale wypluł to słowo z siłą kuli armatniej. - Nawet ty jeszcze tego nie próbowałeś.

- Bzdura! Ona nie została jeszcze jego żoną, więc o bigamii nie może być mowy.

- Panowie, proszę o spokój! - przerwał im pośpiesznie Franklin DeWitt, żeby zapobiec awanturze. - Nie zapominajcie o swojej pozycji. Rozumiem, że sprawa jest skomplikowana. Jeżeli wszyscy usiądą na swoich miejscach, będziemy mogli zbadać ją starannie, zaczynając od samego początku.

Riordan usiadł niechętnie. Patrzył wprost przed siebie, gdzieś pomiędzy Wildehamem a Vale'em. Słusznie przewidywał, że rozprawa nie będzie przyjemna. Mylił się tylko, jeśli chodzi o przyczyny przykrości. Nie wynikały z jego bujnej a niechlubnej przeszłości.

Chodziło o Maurę.

Rozpoczął adwokat Vale'a, gorliwie i ze współczuciem.

- Chcemy podkreślić nasze uznanie dla wysiłków lorda Chatham, by znaleźć żonę i zapewnić dzieciom opiekę macierzyńską. Skoda tylko, że dokonał niewłaściwego wyboru.

Kobieta, którą zamierza pojąć za żonę, nie jest odpowiednią kandydatką. Została prawnie obiecana innemu. I dopóki ten kontrakt obowiązuje, nie ma prawa zawrzeć porozumienia z panem, lordzie Chatham. Żałujemy, że padł pan ofiarą oszustki.

Z tonu adwokata zniknęła nutka współczucia, ale Riordan nie zaszczycił prawnika nawet jednym spojrzeniem. Obserwował Vale'a, którego poza zmieniała się, najwyraźniej coś się szykowało. Coś, co w przekonaniu wicehrabiego będzie potężnym ciosem.

- Jednakże, wysoki sędzie, ostatnie wyczyny lorda Chatham stanowią najlepszy dowód słabości jego charakteru.

Riordan zeszywniał. DeWitt uniósł brwi.

- Proszę o wyjaśnienia.

- Zamierza poślubić guwernantkę, z którą flirtował, jeśli nie coś więcej. To zachowanie niegodne dżentelmena.

- Niech pan nie będzie śmieszny! - przerwał mu Riordan. - Albo ja uwiodłem ją, albo ona mnie. Proszę się zdecydować, nie może pan mieć jednego i drugiego naraz. Najpierw odmawia jej pan honoru, a potem staje w obronie tego nieistniejącego honoru.

- To typowe - stwierdził Wildeham ze smutkiem. - Cała Maura! Ona potrafi jak nikt wkraść się w serce mężczyzny. Omotany przez nią dżentelmen ani się spostrzeże, a już pragnie ją chronić. Doskonale potrafi udawać niewiniątko.

- Mam już tego dość! - Riordan zwrócił się do DeWitta. - Panna Caulfield to wyjątkowa młoda dama, której pochodzenie spełnia wszelkie wymogi stawiane przyszłej małżonce mężczyzny o mojej pozycji społecznej. Jeśli uciekła z domu, to tylko dlatego, że wuj postanowił ją wykorzystać do spłaty swoich długów hazardowych. Jeśli ktoś ma tu skazę na charakterze, to Wildeham. Żaden dżentelmen nie zawarłby równie haniebną umowę.

Riordan spojrzał na Browninga i bezgłośnie, samymi ustami, poprosił: Zrób coś. Maura uprzedzała go, że tak będzie; że przeszłość ją dopadnie. Nie przypuszczał jednak, że nastąpi to tak szybko. Żałował teraz, że nie ożenił się z nią poprzedniego dnia. Mógł załatwić specjalne zezwolenie, ale po raz pierwszy w życiu postanowił zastosować się do wymogów konwenansów. Żeby położyć kres plotkom i zamknąć usta podejrzliwym damulkom z towarzystwa, postanowił zaczekać, aż ukażą się w prasie zawiadomienia i padną ostatnie zapowiedzi, aby nikt nie mógł powiedzieć, że pobrali się w pośpiechu. Podjął taką decyzję ze

względu na Maurę i dzieci. Bo na tym, co ludzie sądzili o nim, w ogóle mu nie zależało. Teraz żałował, że nie zawarł z nią legalnego związku, bez względu na ewentualne plotki.

- Jeśli można, chciałbym zamienić z baronem parę słów na osobności. - Riordan wstał i wskazał gestem drzwi przyległej do sali poczekalni. Dokładnie zamknął je za sobą i spojrzał prosto w twarz Wildehama. Z największym trudem zmuszał się do udawania pewnej neutralności. - Teraz możemy mówić otwarcie i bez ogródek. Należą się panu pieniądze. Spłacę dług jej wuja. W zamian pan podrze umowę małżeńską i wycofa skargę wobec Maury. Ile wynosi rachunek?

Wildeham prychnął z niesmakiem.

- Czego nie zrobi zakochany mężczyzna! Naprawdę wzięła pana pod pantofel. - Wyszczerył zęby w uśmiechu. - Miał pan już ją? Jak smakuje?

Riordan złapał niższego o głowę mężczyznę za kłapy i przyparł go do ściany.

- Nie waż się mówić o niej w taki sposób, draniu, bo skończy się to pistoletami o świcie. A teraz podaj sumę.

- To nie takie proste, Chatham - warknął Wildeham, choć wyraźnie oklapł z ulgi, kiedy hrabia go puścił. - Nie chcę pieniędzy. Chcę jej. Mam papiery. Jest moja. Sąd stanie po mojej stronie, bo wymowa dokumentu jest jednoznaczna.

- Maura ich nie podpisała - stwierdził Riordan ochryple.

- Podpisał Harding, jej opiekun prawny. Dopóki Maura nie skończy dwudziestu trzech lat, wuj za nią decyduje. - Oczy Wildehama zwięzły się. - W tej małżeńskiej rozgrywce przegrał pan na całej linii, panie hrabio. Wybrał pan nieodpowiednią dziewczynę, więc straci pan zarówno ją, jak i dzieci.

Riordan wpatrywał się w barona. Domyślał się, jakie porozumienie zawarł z Vale'em. Vale dostanie dzieci, a Wildeham Maurę. Razem mogli go zniszczyć. Lodowate szpony strachu zacisnęły się wokół jego serca. Co jeszcze ten człowiek chował w zanadrzu?

- Nie. - Riordan potrząsnął głową.

- Nie? - Wildeham popatrzył na niego pytająco. - Nie?

- Czyżbym mówił niewyraźnie? - Najchętniej dałby tamtemu w pysk, nie przejmując się apelami DeWitta o przestrzeganie dżentelmeńskich zasad. - Nie przyjmuję tego do wiadomości.

- Nie musi pan tego akceptować, ale ja już wygrałem. - Na ustach Wildehama pojawił się zjadliwy uśmieszek. - Przewidziałem, że nie podzieli pan mojego punktu widzenia. I jeśli szczęście mi dopisało, to już ją mam.

- Nie przestraszy mnie pan.

- A może jednak? Przekona się pan po powrocie do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

To były czcze pogrożki, myślał Riordan, przysłuchując się toczonym wokół niego rozmowom. Browning dobrze wykonał swoją robotę i dyskusja zesłała na tory, które nie mogły prowadzić do żadnej konkluzji. Wildeham nie zabierał głosu od powrotu z poczekalni, ale jego słowa prześladowały Riordana. Najchętniej wybiegłby z sali rozpraw i popędził do domu sprawdzić, czy Maura i dzieci były bezpieczne, gdyby nie przekonanie, że Wildehamowi właśnie o to chodziło.

Zerknął na zegarek. Czwarta. DeWitt nie podejmie już dzisiaj żadnej decyzji. A dopóki sprawa była w zawieszeniu, Riordan nie przegrał.

- Potrzebuję czasu, żeby dokładnie przeanalizować kontrakt zawarty pomiędzy panną Harding a baronem Wildeham - oznajmił DeWitt tonem kończącym obecną rozprawę.

- Liczę, że to nie potrwa zbyt długo - odezwał się Vale. - Moja żona i ja chcemy jak najszybciej zobaczyć dzieci w stabilnym, przyzwoitym domu. Im dłużej... - zamilkł raptownie.

DeWitt utkwiał w nim surowe spojrzenie.

- To zabierze tyle czasu, ile będzie potrzeba, milordzie. Sprawiedliwość nie znosi pośpiechu. Dzisiaj zostało wysuniętych wiele oskarżeń, które wymagają udowodnienia, jeśli mają być wzięte pod uwagę. Par Anglii pozostawił legalny testament. Wiele pan ryzykuje, podejmując próbę podważenia jego postanowień.

Riordan ukrył uśmiech. Po wyjściu zwrócił się do Browninga.

- Ma pan oświadczenie finansowe Vale'a? Musimy udowodnić, że chodzi mu o pieniądze dzieci. Kiedy DeWitt zorientuje się, że Vale tonie w długach, wicehrabia straci impet.

- A panna Caulfield? Czy w tej sprawie mogę coś zrobić?

- Porozmawiam z nią po powrocie do domu. - Riordan wskoczył do powozu. Chciał jak najszybciej zobaczyć się z Maurą i wszystko z nią omówić. Będzie przerażona, gdy dowie się o obecności Wildehama w Londynie.

Riordan wbiegł do domu po dwa schodki naraz. Ruch uliczny sprawił, że jechał w ślimaczym tempie i stracił dużo czasu. Sam otworzył drzwi, zaskoczony, że Fielding go nie ubiegł. Kamerdyner zazwyczaj przywiązywał dużą wagę do takich drobiazgów. Coś było nie

tak! Poczul to wyraźnie w holu. Wróciły do niego słowa Wildehama: „Przekona się pan po powrocie do domu...”.

- Mauro! - Riordan biegiem ruszył po schodach na górę. - Mauro!

Gdzie się wszyscy podziali? Biegł korytarzem, otwierając kolejno wszystkie drzwi, nawet te do rzadko używanych pokoiów.

- Milordzie! - Ostry ton Fieldinga zatrzymał go wreszcie. Kamerdyner musiał wołać go już od pewnego czasu, bo nigdy dotychczas nie podnosił głosu. - Nie słyszałem, że pan wrócił, milordzie. - Fielding był błydy, ręce mu się trzęsły. - Mieliliśmy tu wypadek, milordzie.

- Maura? Dzieci? - zapytał Riordan głosem, który nawet w jego własnych uszach zabrzmiał skrzekliwie.

- Zostali porwani, sir. Jacyś mężczyźni wdarli się do domu i ich zabrali. Walter został postrzelony.

- Jacy mężczyźni?

Strzały? W jego domu padły strzały!

- Nie wiemy, milordzie.

Ale Riordan wiedział. Nie znał ich nazwisk, ale wiedział, przez kogo zostali nasłani. Padł na wyściełaną ławę na korytarzu, ukrył twarz w dłoniach i układał w głowie listę zadań do wykonania. Musiał zobaczyć się z Walterem, wysłuchać opowieści Fieldinga i jechać za Maurą. Na moment mógł jednak pogрузić się w rozpacz. Powinien był ją poślubić, kiedy miał jeszcze szansę. To zapewniłoby jej pewną ochronę, nawet gdy nie było go przy niej.

- Zrób coś dla mnie, Fielding. - Przypomniał sobie list, który znalazł w stercie najświeższej poczty.

- Wszystko, milordzie.

- Ashe Bedevere i Merrick St. Magnus właśnie przyjechali do miasta. Sprowadź ich natychmiast.

Ashe i Merrick przybyli w ciągu godziny i przywieźli ze sobą żony. Wiele czasu minęło od czasu ich ostatniego spotkania. Obowiązki domowe uniemożliwiły Ashe'owi przyjazd na pogrzeb Elliotta, więc przysłał tylko serdeczny list z kondolencjami. Brat Ashe'a również zmarł niedawno i Riordan wiedział, że przyjaciel odczuł tę stratę równie boleśnie jak on. Merrick i Alixe wzięli go w objęcia. Alixe przeproszała za nieobecność brata, który bawił w podróży poślubnej na kontynencie. Potem wystąpiła naprzód Genevra, amerykańska żona Ashe'a, którą Riordan dopiero poznał. Z troską w szarych oczach ujęła jego dłonie.

- Powiedz nam, co się stało, a wszystko załatwimy.

Te słowa omal nie pozbawiły Riordana resztki sił. Przez cały dzień walczył samotnie.

Powiedział kiedyś Maurze, że nie miał już nikogo na świecie, a przynajmniej nikogo, na kogo mógłby liczyć. Bo przecież nie na ciotkę Sophie i Hamisha, a tym bardziej na mieszkającą w Szwajcarii matkę. Ale mylił się. Miał prawdziwą rodzinę w osobach obecnych tu przyjaciół.

- Zabrali Maurę i dzieci - wyrzucił z siebie Riordan. Merrick i Ashe patrzyli na niego z ciepłym oczekiwaniem, jakby było coś jeszcze do dodania.

- Wydaje mi się, że przydałoby się trochę więcej informacji na ten temat - stwierdził po chwili Ashe z lekkim uśmiechem.

- Przejdźmy do salonu, Riordanie. - Alixe wzięła go pod ramię. - Każę podać herbatę, a ty nam wszystko opowiesz.

- Prawda, herbata - mruknął Riordan. - Nigdy nie pamiętam o herbacie. Zapomniałem o niej również tego dnia, w którym poznałem Maurę.

Zaledwie miesiąc temu zadzwoniła do drzwi, a on wylądował na niej na frontowych schodach. Wydawało mu się, jakby to było w innym życiu. Niemożliwe, żeby aż tyle zmieniło się w ciągu zaledwie kilku tygodni. Spostrzegł spojrzenia, jakie wymienili Ashe i Merrick.

- Co?

- Tak sobie myślę... - mruknął Merrick przeciągle -...że źle to znosisz.

Riordan skrzywił się. Miał ochotę wrzasnąć, że Merrick nie ma pojęcia, przez co on teraz przechodzi, kiedy kobieta, którą kocha, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ale to nie byłaby prawda. Merrick wiedział. Merrick omal nie zginął od rany zadanej nożem przez chciwego niegodziwca, przed którym ocalił Alixe. Ashe miał za sobą jeszcze gorsze przejścia, stracił dom, brata i o mało nie utracił Genevry w pożarze wznieconym przez kuzyna. Przyjaciele doskonale wiedzieli, przez co Riordan teraz przechodził i co czuł: bezsilność, trwogę i żal, że może zbyt długo czekał, by połączyć się z jedyną kobietą na świecie, która stanowiła jego drugą połowę.

W salonie Alixe usadowiła wszystkich i zajęła się podawaniem herbaty. Taca była wyjątkowo bogato zastawiona: pełna kanapek, zimnych mięs i ciast. Alixe uśmiechnęła się na ten widok.

- W chwilach kryzysu należy zawsze żądać herbaty, Riordanie, ponieważ służba również chce być użyteczna. Nikt nie czuje się dobrze, czekając beczynnie.

Riordan uśmiechnął się i wziął kanapkę.

- Zapamiętam to, Alixe, choć wolałbym nie mieć już więcej okazji do skorzystania z twojej rady. - Gestem wskazał stojącą na bocznym stoliku karafkę. - Tam jest brandy, Ashe,

gdybyście z Merrickiem mieli ochotę na coś mocniejszego.

Ashe wstał i nalał po kieliszku dla każdego z nich.

- A ty, Riordanie? - zapytał, unosząc trzeci kieliszek.

Riordan potrząsnął głową.

- Nie. - Wolał zachować trzeźwość. Dla Maury. Dla dzieci. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że już od dawna nie tknął alkoholu. Pił tylko wino do obiadu, ale był zbyt zajęty malowaniem i Maurą, by sięgać po mocniejsze trunki. Jego srebrna piersiówka leżała zapomniana w szufladzie biurka.

Ashe uśmiechnął się szeroko.

- Jest znacznie gorzej, niż myślałem - zwrócił się do Merricka i obaj parsknęli śmiechem, ale był to śmiech pełen sympatii. - No dobrze, wszyscy siedzimy wygodnie i możemy posłuchać. Opowiadaj z najdrobniejszymi szczegółami.

Riordan zrelacjonował niełatwe poszukiwania guwernantki dla dzieci, zakończone pojawieniem się w domu Maury, opowiedział o przyjęciu, po którym wybuchł skandal, i o groźbie Vale'a, że pozbawi go opieki nad dziećmi, chyba że Riordan się ożeni.

- W tej sytuacji najrozsądniejszym wyjściem było poślubienie Maury - podsumował Merrick.

- Nie chodzi tylko o rozsądek, to coś więcej. - Riordan położył dłonie na udach. - Zakochałem się w niej, choć początkowo nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy. Żadna inna kobieta mnie nie interesowała, byłem zazdrosny o każdego mężczyznę, który spojrzał na Maurę. Przegoniłem sympatycznego barona, który zabiegał o jej względy. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że wpadłem po uszy. Ale ona odmówiła mi swojej ręki, choć nie miała żadnych racjonalnych powodów, by dać mi kosza. - Riordan parsknął śmiechem. - W końcu, co jej się mogło we mnie nie podobać? Posiadam tytuł hrabiowski, pieniądze i posiadłości... Jestem przystojny, jak zapewniają damy.

- I on może sprawić, że kobieta... - zaczął Merrick, ale Alixe dała mu kuksańca.

- Wtedy powiedziała mi o wuju, który chciał ją wykorzystać do uregulowania długu po przegranym zakładzie. Wyznała mi to dosłownie w ostatniej chwili, bo w cztery dni później jej niechciany narzeczony pojawił się na rozprawie wraz z Vale'em. Przeprowadził własne dochodzenie i sprzymierzył się z moim przeciwnikiem.

- A właściwie jak chciał im pomóc? - Ashe pochylił się do przodu. Riordanowi nie spodobało się nagle zwięźlenie zielonych oczu przyjaciela i podejrzliwy wyraz jego twarzy. Ashe najwyraźniej spostrzegł coś, co jemu umknęło. W końcu po to właśnie wezwał tu przyjaciół. Chciał usłyszeć zdanie innych, nie polegać tylko na własnym.

- Obiecał Vale'om, że nie dopuści do mojego małżeństwa, dowodząc, że Maura nie jest odpowiednią kandydatką na żonę. Oni zdobędą kuratelę nad dziećmi, a on Maurę. Na wszelki wypadek przysłał tu jednak swoich ludzi i uprowadził ją i dzieci.

- I nie musi już liczyć się z niczym. Nie potrzebuje czekać na opinię sędziego w sprawie kontraktu. Może spokojnie wyjechać z Londynu i nie zeznawać więcej, jeśli nie ma ochoty. Ma już to, czego chciał. - Genevra odstawiła filiżankę i objęła wszystkich obecnych poważnym spojrzeniem. - Teraz nic go nie może powstrzymać przed poślubieniem jej.

Słowa Genevry podsyciły obawy Riordana. Maura mogłaby się opierać, gdyby była sama. Wildeham jednak miał dzieci, a Maura zrobi wszystko, aby zapewnić im bezpieczeństwo. Trzy najbardziej przez niego kochane osoby na świecie po prostu zniknęły z domu, gdy on tracił czas, próbując dojść do porozumienia z człowiekiem, który już podjął decyzję, że nie będzie szukał porozumienia z nikim.

- Nie wiem, gdzie jej szukać? Od czego zacząć?

- Zaczniemy od końca - włączył się Merrick. - Jak Wildeham odkrył, że Maura jest tutaj? Co go do ciebie doprowadziło?

- Wzmianki w gazetach? - mruknął Riordan niepewnie. Nie bardzo w to wierzył. W Londynie bez wątplenia było wiele guwernantek, których nazwisko zaczynało się na literę C. Tylko ludzie, którzy go znali, mogli rozszyfrować inicjały.

Merrick potrząsnął głową.

- Wątpię. Prawdopodobnie to nie twoje działania naprowadziły Wildehama na jej trop, ale coś, co zrobiła sama Maura. Musiała zostawić za sobą jakiś ślad.

- Agencja - stwierdził Riordan lakonicznie. - Agencja pani Pendergast.

Merrick kiwnął głową i zerknął na zegarek.

- Już prawie szósta, ale jeśli się pośpieszę, może uda mi się zdążyć przed zamknięciem. - Wstał, Alixe także. - Nie, Alixe, ty zostaniesz tutaj. Pani Pendergast, tak? Lepiej, żebym porozmawiał z nią sam.

Alixę spojrzęła z rozbawieniem na swego przystojnego męża, który był jednym z najbardziej znanych londyńskich uwodzicieli, zanim sporządził w małżeństwie.

- Oczywiście, kochany. Z pewnością nie chciałabym ci przeszkadzać.

- A my z Alixe w oczekiwaniu na powrót Merricka rozmawiamy sobie ze służbą - zaproponowała Genevra. - Może zapomnieli o jakimś drobiazgu czy z pozoru mało ważnym fakcie. Teraz, kiedy pierwsze podniecenie po tym incydencie zaczęło ustępować, pamięć zacznie pracować inaczej.

Riordan został sam z Ashe'em. Nie wątpił, że rozmowa Merricka z panią Pendergast

przyniesie owoce, ale oczekiwanie na to nie było łatwe.

- A co my będziemy robić?

- My utniemy sobie pogawędkę. - Ashe utkwiał w nim poważne spojrzenie. - To, co mam do powiedzenia, może ci się nie spodobać.

- Zawsze byłeś ze mną szczery, Ashe.

- Czy ona cię kocha?

- Czy mnie kocha? Co to za pytanie, do diabła?

- Możesz odpowiedzieć na to pytanie? - Ashe spojrzał na niego badawczo. - Twoja relacja sprowadzała się do intrygi mającej na celu ratowanie dzieci. Wynikało z niej, że gdybyś nie został do tego zmuszony, nie myślałbyś nawet o małżeństwie. Ona również tego nie pragnęła. Przybyła tu, żeby się ukryć.

- Maura zrobiłaby wszystko dla dzieci. Uwielbia je - zapewnił Riordan i w tym momencie zrozumiał, że wątpliwości Ashe'a były uzasadnione. Maura powiedziała mu, że jest wyjątkowy. Pożądała go, ale nigdy nie powiedziała, że go kocha.

- Wszystko dla dzieci? - powtórzył Ashe.

- Była gotowa nawet wyjść za mnie. - Riordan przełknął z trudem.

- A ty? Zrobiłbyś wszystko dla tych dzieci? Poślubiłbyś nawet kobietę, którą znasz dopiero od miesiąca?

- Od sześciu tygodni - poprawił Riordan z roztargnieniem.

- Czy jesteś pewien, że twoje uczucia do tej kobiety to miłość, a nie wdzięczność za to, że pomogła ci wybrnąć z kłopotów? Bądź uczciwy, Riordanie. Przecież do dzisiaj nie znałeś nawet jej prawdziwego nazwiska.

- Ale to nie znaczy, że pozwolę ją zniszczyć! - Riordan zerwał się na równe nogi i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Oczywiście, że nie. Ale powinieneś się zastanowić, co zrobisz potem - zauważył Ashe. - Jeżeli zdołasz udowodnić, że Vale'om zależy jedynie na pieniądzach dzieci, to nie musisz zawracać sobie głowy małżeństwem. Vale nie ośmieli się wnieść sprawy o obalenie testamentu, bo wszelkie próby w tym kierunku wyglądałyby podejrzanie. Angielskie prawo nie lubi zadzierać z parami Anglii.

Riordan zdawał sobie sprawę, że miał przed sobą specjalistę w tej dziedzinie. Ojciec Ashe'a pozostawił testament, który stworzył wiele problemów. Wyznaczył przed śmiercią regentów, którzy mieli sprawować kontrolę nad majątkiem, dopóki żył najstarszy syn, który stracił rozum na skutek załamania nerwowego. Ale choć zapis był dziwaczny, przestrzegano go z żelazną konsekwencją, bo tak stanowiło angielskie prawo.

- Widzę, że jesteś na mnie zły - stwierdził Ashe. - Zawsze chodzisz, kiedy się wściekasz. A ja chcę tylko, żebyś był szczęśliwy w małżeństwie. Bo kiedy już się żenisz, to na całe życie, Riordanie. Nie chcesz chyba spojrzeć pewnego dnia na siedzącą na drugim końcu stołu żonę i zapytać się w duchu, co ona tutaj robi i jak do tego doszło? Czy gdybyś miał możliwość wyboru, wybrałbyś tak samo?

- Milordzie. - Fielding stanął w progu z listem na srebrnej tacy i skłonił się. - To przyniósł posłaniec tylnymi drzwiami.

Riordan sięgnął po złożoną kartkę drogiego, grubego papieru. Domyślił się, że to od Wildehama. Wynajęty przez niego opryszek nagryzmoliłby wiadomość na tanim, cienkim papierze, jeśli w ogóle pofatygowaliby się, aby coś napisać. Wiadomość nie była zaskakująca. Podał kartkę Ashe'owi.

- "Zostaw mi Maurę, a dzieci wrócą do domu przed północą" - przeczytał Ashe na głos.

Proste i łatwe, tyle że Riordan nie mógł tego zrobić. Nie mógł zostawić Maury na pastwę losu. Losu, zgotowanego jej przez wuja. Kochał ją i nieważne, czy Ashe miał rację. A czy Maura go kochała? Możliwe, ale musiał ją znaleźć, żeby uzyskać odpowiedź na to pytanie.

- Jeśli posłaniec czeka na odpowiedź, to przekaz mu, że odmawiam.

- To wszystko, milordzie?

- Tak. Wystarczy krótkie nie.

W ciągu godziny poprzedzającej przybycie Ashe'a i Merricka, Riordan chodził po domu, próbując uporządkować myśli, które krążyły wokół jednego centralnego punktu: Maury. Była w każdym pokoju; cały dom był pełen wspomnień o niej. Przez ten krótki czas odcisnęła w Chatham House swoje piętno. W bawialni rozśmieszył ją tak, że brandy wypłynęła jej nosem. W jadalni kochali się pod ścianą i tam zaczął z nią flirtować, tam też wydała dla niego przyjęcie. W salonie olśniła jego gości. Gabinet, w którym pocałował ją po raz pierwszy. Biblioteka... Lista ciągnęła się w nieskończoność. Również i inne miejsca zmieniły się dla niego na dobre. U Guntera zawsze będzie sobie przypominał, jak rozjaśniły się jej oczy, gdy spróbowała lodów czekoladowych. I już nigdy, przenigdy nie będzie mógł puszczać latawców, żeby nie wspomnieć tamtego dnia w parku.

- Powiedz coś. - Ashe wsunął ręce do kieszeni i kołysał się na piętach.

Riordan uśmiechnął się.

- Chodź, Ashe. W oczekiwaniu na powrót Merricka oprowadzę cię po domu i pokażę ci moje prace.

Ashe popatrzył na Riordana, jakby był niespełna rozumu.

- Widziałem już Chatham House i nie wydaje mi się, że bym musiał oglądać twoje, hm, prace.

- Owszem, musisz. - Zamierzał pokazać Ashe'owi zmiany, jakie zaszły w Chatham House za sprawą Maury. Wtedy przyjaciel przestanie mieć wątpliwości co do jego uczuć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Powinnaś wiedzieć, że złożyliśmy hrabiemu propozycję. Nie sądzę, by została odrzucona.

Maura podskoczyła, słysząc znajomy, drwiący głos. Żołądek jej się ścisnął. Wildeham był tutaj! Odwróciła głowę, by zobaczyć, skąd dobiegał głos. W pokoju panował półmrok. Starła się nie obudzić dzieci, które zasnęły przytulone do niej po ciężkim, przerażającym dniu. Delikatnie uwolniła ręce i wstała, próbując ukryć strach. Było gorzej, niż przewidywała. Przez cały czas się myliła. To nie wuj ją ścigał, tylko Wildeham.

- Jak pan mógł to zrobić? Dzieci nie są niczemu winne. - Skrzyżowała ręce na piersi i przybrała dumną, wyzywającą postawę.

- Jestem pewien, że to zostało już wyjaśnione - odparł z fałszywą cierpliwością. - Stanowią zabezpieczenie. Bez nich nie uciekniesz. Znam cię, Mauro, za nic nie zostawisz dzieci. Tylko w innej sprawie źle cię oceniłem. To dziwne, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że uciekniesz z domu i odmówisz honorowania rodzinnego długu. Zawiodłem się na tobie. - Obchodził Maurę dookoła z szyderczym uśmiechem na ustach. - Miałem takie wspaniałe plany co do ciebie, co do nas. Twoja ciotka Mary odchodzi od zmysłów ze zmartwienia. Nie wstaje z łóżka. Tak się cieszyła, że wyprawi wesele siostrzenicy, która miała zrobić znakomitą partię, a tymczasem siostrzenica uciekła, nie oglądając się na nią i swoich małych kuzynów.

- Proszę nie liczyć, że obudzi pan we mnie poczucie winy. - Maura twardo stała przy swoim. - Nie zmusi mnie pan do powrotu. I nie wyjdę za pana.

- Może nie będziesz miała wyboru...

- Nie miał pan prawa mnie porwać.

Wildeham roześmiał się.

- To ma być porwanie? - Szerokim gestem wskazał eleganckie umeblowanie pokoju. - Po pierwsze, jestem w posiadaniu dokumentów, które w jasny sposób określają charakter naszych stosunków. Nie można porwać własnej żony. Po drugie, porywacze nie przetrzymują swoich ofiar w najdroższych hotelach z pierwszorzędnymi urządzeniami sanitarnymi. Wywożą ich do ciemnych chat na odludziu, gdzie nikt ich nie znajdzie. - Z kpiną pokręcił głową nad śmiechu wartymi zarzutami Maury. - Wydaje mi się, że twoja wersja wydarzeń

będzie brzmiała bardzo mało wiarygodnie.

- Wysłał pan uzbrojonych ludzi do mojego domu. Zostaliśmy uprowadzeni siłą. Są na to świadkowie. Jeden ze służących został postrzelony.

- Przynajmniej jeden. - Ta uwaga napelniła serce Maury przerażeniem. Skoro Wildeham nawet nie mrugnął okiem, mówiąc o rannym człowieku, do czego jeszcze mógł się posunąć? Jego upodobanie do przemocy nie miało granic. - Twój hrabia był dzisiaj naprawdę imponujący. - Powoli przesunął palcem wzdłuż brzegu jej dekoltu i zachichotał, gdy zeszywniała. - Z czasem polubisz pieszczoty, kochanie. - Maura walczyła z dławieniem w gardle. Jeżeli Riordan został ranny, nigdy sobie tego nie wybaczy. - Nie martw się, najdroższa - zamruczał śpiewnie Wildeham. - Chatham ma się doskonale. Na razie. Wyjaśniłem mu, jaka z ciebie przewrotna istota. Ciągłe prowokujesz mężczyzn, choć nie masz prawa związać się z nikim, ponieważ zostałaś już przyrzeczona innemu. - Urwał, żeby strzepnąć jakiś pyłek z rękawa. - Wydaje mi się, że był wstrząśnięty odkryciem, że Caulfield to nie jest twoje prawdziwe nazwisko. Nie wiedział o tym. Niedobrze jest mieć tajemnice, Mauro. Tak czy owak, złożyłem mu pewną propozycję. Pewnie właśnie ją otrzymał. Wydaje mi się, że dzieci wkrótce będą mogły wrócić do domu... Ale może nie. To zależy od ciebie.

- Jaką propozycję? - zapytała Maura, spocona ze zdenerwowania.

- Żeby zrezygnował z roszczeń do ciebie w zamian za powrót dzieci. A ty, oczywiście, musisz obiecać, że za mnie wyjdiesz. Jeszcze tej nocy te dzieciaki mogą spać we własnych łóżkach, a wkrótce cała ta historia stanie się dla nich wyłącznie złym wspomnieniem. Przykrym incydentem, do którego wcale by nie doszło, gdyby ich guwernantka mówiła prawdę i robiła, co jej każą. - Pokiwał głową. - Można było tego wszystkiego uniknąć, gdyby stosowała się do poleceń. Jeśli martwisz się o dzieci, to możesz mieć pretensje wyłącznie do siebie. To twoja wina i nie myśl, że hrabia tego nie rozumie.

Pochylił się, jakby chciał jej zdradzić sekret. Poczwała jego oddech na policzku.

- Niech ci się nie zdaje, że on będzie się tobą przejmował, Mauro. Przez ciebie wyszedł dzisiaj na idiotę. Przez ciebie i twoje głupie kłamstwa roszczenia Vale'a zyskały solidną podstawę, a jego twierdzenia, że hrabia w pełni zasługuje na swą reputację - potwierdzenie. Jeżeli straci dzieci, to będzie również twoja wina.

- A jeśli nie ustąpię?

- To dzieci trafią do warsztatu albo sierocińca. Chatham w końcu na pewno je znajdzie, ale nie podziękuj ci za to, że przyłożyłaś do tego rękę.

- Nienawidzę pana! - wybuchła Maura gwałtownie.

- W gruncie rzeczy nienawidzisz siebie - wyszeptał jedwabistym głosem i wilgotną

ręką pogładził jej policzek. Wzdrygnęła się, więc cofnął rękę i spojrzał na nią z fałszywą troską. - Chyba nie sądziłaś, moja droga, że hrabia naprawdę cię kocha? Szukał po prostu pomocy w rozwiązaniu problemu, a ty byłaś pod ręką. Cóż, wkrótce będzie po wszystkim. Zostawiam cię z własnymi myślami.

Maura zaczekała, aż Wildeham opuści pokój, i zalała się łzami. Mylił się, musiał się mylić! Riordan przyjdzie. Riordan nigdy nie zaakceptuje takiej umowy. Riordan ją kocha, prawie to przyznał. Prawie, ale nie całkiem.

Nie mogła jednak zapomnieć słów Wildehama. A jeśli Riordan rzeczywiście gotów był powiedzieć wszystko, byle dostać to, czego pragnął? Może nie dostrzegала prawdy, bo nie chciała jej widzieć? Przecież Riordan był doświadczonym uwodzicielem. Od początku o tym wiedziała, ale aż nazbyt chętnie przymykała oko na jego grzeszki. I do czego to doprowadziło? Została porwana i zmuszona do małżeństwa z nikczemnikiem, który zmienił jej życie w pasmo udręki. A jedyną nadzieją na ratunek był mężczyzna, który być może rozważał teraz, czy warto ją ratować. Który poprosił ją o rękę, ale nigdy nie powiedział, że ją kocha.

I nagle Maura straciła wolę walki. Mogła liczyć wyłącznie na siebie. A więc zakończy tę przygodę w taki sposób, w jaki ją rozpoczęła - sama. Jeśli jej przyszłość miała być przedmiotem targów, to przynajmniej ona sama je poprowadzi. Bo tylko sobie mogła zaufać. Skoro jedynym sposobem zapewnienia dzieciom bezpieczeństwa było sprzedanie się Wildehamowi, zrobi to.

- Mam nowiny! - Merrick wbiegł do salonu, wymachując trzymaną w rękę kartką. - Pani Pendergast była bardzo chętna do współpracy.

Wszyscy wpatrywali się w niego z oczekiwaniem. Nie było go strasznie długo. Merrick podał papier Riordanowi.

- W agencji pojawił się mężczyzna i zadawał mnóstwo pytań. To był Wildeham. Pani Pendergast bardzo żałuje, że udzieliła mu informacji, ale groził jej nożem.

- Pocieszałeś ją? - zapyta Alixe.

- Zrobiłem, co w mojej mocy - zapewnił Merrick, zanim wrócił do tematu. - To wyjaśnia, w jaki sposób znalazł Maurę.

- Ale nie wyjaśnia, dokąd ją zabrał. - Riordan nie chciał gasić entuzjazmu przyjaciela, ale nie uważał zdobytej przez niego informacji za kluczową.

- Pani Pendergast twierdzi, że miał akcent mieszkańca dalekiej północy. Nie pomyliła się, Wildeham pochodzi z Exeter. Skoro prowadzi poszukiwania na własną rękę, to znaczy, że wcale nie jest taki pewien swoich roszczeń. Gdyby był przekonany, że działa zgodnie z prawem, powierzyłby dochodzenie śledczym z Bow Street. Założę się, że Maura nie została

wywieziona do jakiejś kryjówki w zapadłej dziurze za miastem. Wildeham nie zna żadnych takich miejsc w okolicy Londynu.

- A więc umieścił ją w miejscu najbardziej widocznym? - podsumował Riordan.

- Możliwe. W ten sposób to nie wyglądałoby na porwanie - stwierdził Ashe. - Czy orientujesz się, gdzie Wildeham mógł się zatrzymać? Ma dom w Londynie?

- To jak szukanie igły w stogu siana - westchnęła Alixe. - Mógł wynająć w mieście dom lub apartament, mógł zatrzymać się w hotelu lub w przydrożnej gospodzie na obrzeżach miasta albo nawet w jednym z pobliskich miasteczek.

- Kiedy zna się człowieka, można wyeliminować niektóre możliwości - wycedził Ashe i zwrócił się do Riordana. - Co na to twoja zdolność dedukcji? Ty jeden spośród nas go widziałeś. Czy Wildeham mógłby zatrzymać się w taniej gospodzie albo znaleźć jakieś lokum na obrzeżach Londynu?

Riordan wykorzystywał swą zdolność dedukcji głównie do zabawiania dam, odkrywał rozmaite fakty z ich życia, odgadywał, czy jeżdżą konno, a jeśli tak, to jak dobrze. Zazwyczaj przychodziło mu to z łatwością, ale teraz było inaczej. Jego bystry umysł zaćmiły troski i wątpliwości, obawiał się, że mógłby popełnić błąd. Wówczas niepotrzebnie stracą czas na pogoń za ulotnym cieniem.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, Ashe - powiedział wolno. - To tylko salonowa gra, kuglarskie sztuczki ku rozrywce pań. - Nie mógł się bawić, kiedy w grę wchodziła przyszłość Maury.

- To coś znacznie więcej i doskonale o tym wiesz - stwierdził Ashe stanowczo. - Nic więcej nie mamy, więc powinieneś przynajmniej spróbować. - Ashe wstał i poprosił lokaja o przyniesienie przyborów do pisania. - Po prostu zacznij mówić, podziel się z nami wszystkim, co wiesz, a my będziemy notować. Potem spróbujemy razem złożyć to w jakąś sensowną całość.

Riordan zaczął opowiadać o Wildehamie. Najpierw opisał jego doskonale skrojone ubranie, starannie przystrzyżone wąsy, proste zęby i wypolerowane paznokcie - wszystko wskazywało na to, że należał do mężczyzn dbających o swój wygląd. Potem przeszedł do przedmiotów osobistych: trzinowej laseczki, błyszczących butów, rubinowej spinki do krawata i długiego, złotego łańcuszka do zegarka w kieszonce kamizelki opinającej nieco zaokrąglony brzusek. Wildeham próbował ukryć ten defekt swej figury pod kamizelką i zakietem, ale Riordan to zauważył. Interesował go każdy szczegół związany z mężczyzną, który zagrażał Maurze.

- Wildeham nie wygląda mi na człowieka, który zrezygnowałby z wygod - stwierdził

na koniec Riordan. - Bez wątpienia należy do ludzi, którzy także w podróży nie wyrzekają się luksusu.

- Chyba że jest to świadome działanie, mające na celu przekonanie innych o jego wysokiej pozycji. Nie wolno nam o tym zapomnieć - wtrącił Ashe.

- Nie tym razem - zapalił się Riordan. - Wszystko w nim było bez zarzutu. Człowiek, który tylko udaje kogoś ważnego, zapomina o różnych drobiazgach. Nie myśli o paznokciach czy butach.

- Jak Abernathy - mruknęła cicho Alixe. W tym towarzystwie nie wymawiało się nazwiska człowieka, który udawał dżentelmena, żeby nakłonić Alixe do małżeństwa. - Teraz wydaje się oczywiste, że nie był tym, za kogo się podawał, ale wtedy wszyscy daliśmy się zwieść. Zwracaliśmy uwagę na to, co najbardziej rzucało się w oczy: dom i garderobę. Zapomnieliśmy o drobiazgach, które powinny nas zainteresować.

Riordan kiwnął głową.

- Wildeham nie udaje przyzwyczajenia do komfortu. Doskonale wie, co lubi.

- W takim razie możemy od razu skreślić przydrożne zajazdy i gospody na peryferiach Londynu - zauważyła Genevra i zanotowała to spostrzeżenie. - Pozostają więc wynajęte domy, apartamenty i hotele.

- Wynajęte domy i apartamenty również nie wchodzi w rachubę - stwierdził Merrick.

- Wildeham nie miał czasu na szukanie odpowiedniego lokum. Zresztą teraz, na początku sezonu, znalezienie przyzwoitego mieszkania w Londynie graniczyłoby z cudem.

- Czyli pozostają hotele.

- Przychodzą mi do głowy Berner i Grillon - podsunął Merrick. - My z Alixe podczas wizyt w Londynie zatrzymujemy się w Bernerze.

Riordan kiwnął głową. Mógł zaufać ich opinii. Merrick i Alixe uwielbiali swą nową rezydencję w Hever i nie zamierzali utrzymywać domu w mieście. Dlatego dobrze znali londyńskie hotele.

- Możemy sprawdzić je od razu. - Ashe wstał. - Proszę, żeby panie zechciały tutaj zostać. Kiedy wrócimy, będziecie miały ręce pełne roboty choćby z uspokajaniem dzieci. Chyba że chcecie wrócić do domu i zająć się własnym potomstwem? - Rzucił pytające spojrzenie na Genevrę, a potem dodał tytułem wyjaśnienia: - Przywieźliśmy ze sobą małego, a minęło już kilka godzin.

Riordan taktownie powstrzymał się od wyrażenia swej opinii, by nie wpędzić Genevry w zakłopotanie. Jego zdaniem karmienie dziecka piersią było fanaberią.

- Nic mu nie będzie - zapewniła męża Genevra. - To nie potrwa długo. Zaczekamy.

Riordan powstrzymał uśmiech, ale szczerze rozbawiło go zawołane ostrzeżenie zawarte w słowach Genevry. Mieli, nie tracąc czasu na żadne głupoty, uwolnić wychowanków Riordana i ich guwernantkę, a potem wracać prosto do domu.

W Bernerze spotkało ich niepowodzenie. Acton Humphries nie figurował na liście gości. Riordan przeżył chwilę niepokoju na myśl, że baron Wildeham mógł się posłużyć fałszywym nazwiskiem, ale uznał to za mało prawdopodobne. Ludzie musieli przecież mieć możliwość komunikowania się z nim, a zmiana nazwiska znacznie by to skomplikowała. Merrick poklepał go po ramieniu, by dodać mu otuchy.

- Są inne hotele. Znajdziemy go.

W holu Grillona panował duży ruch. Wpół do ósmej wieczorem elegancko ubrane panie i panowie wybierali się na wieczorne bale i przyjęcia. Riordan niecierpliwie czekał przy biurku recepcji, aż zostanie obsłużony.

- Szukam barona Wildeham - zwrócił się do urzędnika w okularach, który wyglądał na nieco skołowanego tym wieczornym zamieszaniem.

- Można wiedzieć dlaczego? Nie mamy zwyczaju udzielać informacji o naszych gościach. - To stwierdzenie, które miało w założeniu zniechęcić Riordana, ożywiło jego nadzieje. Wildeham był tutaj!

- Mam do niego interes - odparł gładko Riordan.

- O wpół do ósmej wieczorem? - zapytał urzędnik z niedowierzaniem.

Zza pleców Riordana wysunęła się czyjaś ręka i po chwili na kontuarze błysnęła złota gwinea.

- To dżentelmeński interes. - W głosie Ashe'a zabrzmiała nutka groźby.

- Tak jest, sir. - Urzędnik przełknął głośno i zręcznie wsunął gwineę do kieszeni.

Obowiązek ochrony prywatności barona Wildeham stracił na ważności wobec sumy, która odpowiadała jego trzytygodniowym zarobkom. Urzędnik zajrzał do ewidencji gości. - Jest. Zajmuje apartament na trzecim piętrze, numer trzysta dwadzieścia dziewięć.

Riordan wbiegał po schodach jak w uniesieniu.

- Wildeham jest mój - zwrócił się do Merricka i Ashe'a. - I pamiętajcie, że gdyby zrobiło się niebezpiecznie, macie dbać o swoje bezpieczeństwo. Wasze żony nie darowałyby mi, gdyby coś wam się stało.

Ostatnie zdanie wypowiedział żartobliwym tonem, ale mówił poważnie, bo trudno było przewidzieć, co ich czekało za drzwiami hotelowego pokoju. Jeśli Wildeham wynajął bandziorów, którzy bez mrugnięcia okiem strzelali do służby, żeby ją zastraszyć, to licho wie, do czego gotów się posunąć, by bronić własnych interesów. Pewne było tylko to, że nie ustąpi

bez walki.

Stanęli pod drzwiami apartamentu. Riordan zastukał w nie laską.

- Kto tam? - burknął jakiś ponury, męski głos.

- Służba hotelowa - odpowiedział gładko Riordan.

Drzwi uchylły się nieco i w szparze pojawiła się twarz mężczyzny.

- O co chodzi? Nie zamawialiśmy niczego z kuchni. - Próbował zatrzęsnąć drzwiami, ale Riordan zdążył je zablokować stopą.

- Wiem - zapewnił Riordan z szerokim uśmiechem i mocno pchnął drzwi. Mężczyzna przy drzwiach nie zdołał sprostać zakochanemu lordowi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- O, mamy kolejnych gości. Jak to miło, że wpadliście na nasze przyjęcie. - Wildeham wyszedł im na spotkanie z fałszywą serdecznością, jakby co wieczór wdzierali się do jego apartamentu trzech elegancko ubrani dżentelmeni. Riordan przyjrzał się uważnie jego twarzy. Tak, dostrzegł na niej znamiona rozpusty, ale również jakieś okropne samozadowolenie i głęboką satysfakcję. Za późno przybyłem, przemknęło mu przez myśl. Jego palce zacisnęły się na gałce laski, z trudem powstrzymał się przed wbiciem ostrza w bebechy tego diabła. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby Vale nie wybrał tego właśnie momentu, by wstać z fotela w rogu pokoju i ujawnić swą obecność.

- Przyszedł mój kuzyn. Przewidywałem, że się pojawi. Szkoda, że nie założyliśmy się, Wildeham.

- A co ty tutaj robisz? - warknął Riordan. Nie spodziewał się, że Vale i Wildeham pozostawali w tak bliskich stosunkach.

- Świątuję wraz z Wildehamem.

- Jutro mój ślub! - zawołał Wildeham wylewnie, choć w jego głosie dało się jednak wyczuć pewne napięcie. - Nie mogę się doczekać. Ożeniłbym się nawet dzisiaj, ale nikt nie zgodzi się udzielić nam ślubu do jutra, do godziny dziewiątej rano. Co za idiotyczne prawo!

I na tym skończyła się udawana serdeczność barona. Stanął przed nimi, jego ludzie ustawili się po bokach, tworząc żywy mur. Mężczyzna, który otworzył drzwi, stanął za ich plecami, odcinając im drogę ucieczki, ale Riordan nie zamierzał uciekać. Przyszedł tu, żeby walczyć. Szybko rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł nawet śladu Maury i dzieci.

- A kim są ci dżentelmeni?

- Przyjaciółmi panny młodej - odparł Ashe i stanął wraz z Merrickiem przy Riordanie.

- Ach, pięknej Maury. - Wildeham wydał teatralne westchnienie. - Wygląda na to, że gdziekolwiek się pojawi, znajduje „przyjaciół”. A może chcecie ją zobaczyć? Digby, przyprowadź ją.

Digby wrócił szybko, mocno trzymając Maurę za ramię. Wyglądała jak manekin, sztywny i pozbawiony życia. Jej złocistorude, starannie ufryzowane włosy zdobiła lśniąca tiara. Srebrzysta suknia, którą miała na sobie, błyszcząca i naszywana cekinami, była tak ozdobna, że aż niegustowna.

- Maura! - Riordan mimowolnie zrobił krok w jej stronę, ale Wildeham zatrzymał go, kładąc mu dłoń na piersi. - Co jej zrobiliście?

- Nic. - Wildeham spojrzał na Maurę. - Zapowiadałaś, że on przyjdzie, kochanie. Coś mi się widzi, że trafiłaś na galanta.

- Gdzie są dzieci?

- Proszę zapytać Maurę. - Wildeham uśmiechnął się podle. - Mauro, kochanie, przekaz hrabiemu dobrą wiadomość.

Maura po raz pierwszy podniosła wzrok na Riordana. Nie okazywała żadnych emocji.

- Odesłałam dzieci do domu. Powinny już tam być. Wyraziłam zgodę i są bezpieczne.

A więc taki targ wymusił na niej Wildeham. Riordan nie mógł złapać powietrza, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy bił się z Elliottem. Elliott uderzył go w brzuch tak mocno, że Riordan stracił oddech. Rzeczywiście, w pewnym sensie przybył za późno. Dzieci mogły już być w domu, ale wszystkie zarzuty Vale'a pozostawały w mocy. Sprawa o przyznanie opieki nad dziećmi nie została jeszcze rozstrzygnięta i jej rezultat w znacznym stopniu zależał od przebiegu dzisiejszego wieczoru. Od tego, czy powiedzie się próba ocalenia Maury.

- Mam dokumenty, Chatham! - Wildeham wziął plik papierów z pobliskiego stolika i z sadystyczną uciechą pomachał mu nimi przed nosem. - Podpisane przez nią.

Przez głowę Riordana przelatywały tysiące myśli. Maura musiała być śmiertelnie przerażona, skoro zgodziła się cokolwiek podpisać. Straciła wszelką nadzieję i nie widziała innego wyjścia. I, co gorsza, była przekonana, że Riordan nie przyjdzie jej na ratunek. To omal go nie załamało. Jak mogła w niego wątpić?

Odetchnął głęboko i starannie ukrył cierpienie.

- A więc decyzja zapadła. Rozumiem, że w ten sposób dług Hardinga został uregulowany?

Wildeham kiwnął głową. To dobrze, jednego uczestnika rozgrywki mniej, pomyślał Riordan. Gra będzie się toczyć wyłącznie między nimi dwoma. Dzieci były w drodze do domu, gdzie trafią w objęcia Alixe i Genevry. Z Vale'em rozprawi się później. Teraz najważniejsze było odzyskanie Maury.

- Jakoś nie mam ochoty z niej zrezygnować - stwierdził, mierzając Wildehama przebiegłym spojrzeniem. - Ponieważ wygrał ją pan w zakładzie, może przystanie pan na kolejny hazard?

W głębi wyblakłych oczu Wildehama pojawiła się iskierka zainteresowania. Tak, Riordan nie mylił się, baron był prawdziwym hazardzistą. Takim do szpiku kości. Tego zdeprawowanego, twardego jak skała nikczemnika mogło ożywić tylko kolejne wyzwanie. Im

poważniejsze, tym lepiej. Im ryzyko większe, tym bardziej go podniecało. Wildeham przeniósł wzrok na Maurę i na jego ustach pojawił się okrutny uśmiech.

- Co ty na to, moja droga? Chcesz, żebym o ciebie zagrał? Może dzięki temu poznasz swoją wartość.

W oczach Maury błysnęła nienawiść i to była pierwsza oznaka życia, jaką dostrzegł w niej Riordan od chwili, gdy się pojawiła.

- Chyba o nią zagram - powiedział Wildeham. - Ale chcę czegoś w zamian. To nie fair, żebym tylko ja podejmował ryzyko. - Zrobił dramatyczną pauzę, udając, że się zastanawia. - Mam! Jeżeli pan przegra, lordzie Chatham, to przyjdzie pan jutro na nasz ślub i podpisze certyfikat jako jeden ze świadków.

Wówczas nikt nie mógłby zakwestionować legalności tego małżeństwa, bo jak Riordan mógłby podważać legalność związku, który zaaprobował własnym podpisem? Cóż, będzie się tym martwił, jeśli przegra.

- Karty czy kości? - zapytał spokojnie Riordan.

- Jestem karciarzem. - Wildeham otworzył szufladę stojącego pod ścianą stolika, wyjął talię kart i uśmiechnął się z wyższością. - Nowiuteńkie.

Doskonale, niech się puszy, łatwiej będzie sprowokować go do popełnienia błędu. Riordan kiwnął głową.

- Gramy.

Najwyższy czas, by Wildeham został pokonany własną bronią.

Chcieli o nią grać! Ze wszystkich okropnych rzeczy, jakie wydarzyły się tego dnia, to było chyba najgorsze. Dawało jej nadzieję po tym, jak już straciła wszelką nadzieję. Ale co mogło dla niej oznaczać zwycięstwo Riordana? Czy przyszedł tu tylko ze względu na dzieci? Z poczucia obowiązku? Serce jej stanęło, gdy wpadł do pokoju i rzucił wyzwanie Wildehamowi... Ale patrzył na nią tak zimno. Oczywiście, miała na sobie ohydny suknię, stosowną dla damy z półświatka. Dlaczego jednak zaproponował Wildehamowi grę? Czy tak niewiele dla niego znaczyła, że gotów był zaryzykować przegraną?

A jednak z całego serca pragnęła, by Riordan wygrał. Wystarczyły dwie godziny z Wildehamem, by nabrała pewności, że jej ocena tego człowieka była właściwa. Postawił jej ultimatum. Jeśli Maura podpisze dokumenty małżeńskie i włoży tę obrzydliwą suknię - nie mógł się doczekać, by ją w niej zobaczyć - to dzieci zostaną natychmiast odesłane do domu. Jeśli nie, trafią do pewnego zakładu cieszącego się jak najgorszą reputacją. Powóz już czekał. Nie miała czasu do zastanowienia. Podpisała i ucałowała dzieci na pożegnanie, łykając łzy. Wildeham wrzucił je do powozu jak tobołki i podał woźnicy adres Chathama.

Wkrótce zjawił się Riordan, ale spokojnie zasiadł do kart z tym diabłem wcielonym i los Maury znowu zależał od kogo innego, nie od niej. Przyjaciele Riordana stanęli czujnie u jego boku, bez wątpienia pilnowali, by nie doszło do oszustwa.

Próbowała nie dać się wciągnąć i zachować beznamiętny dystans. Daremnie. Riordan przyciągał kobiety jak płomień świecy ćmy. Maura nie była w stanie go ignorować, przebywając z nim w jednym pokoju. Podeszła cicho do stolika. Nie miała co myśleć o ucieczce. Przy drzwiach stał Digby. Riordanowi udało się wedrzeć do środka, ale o wydostaniu się na zewnątrz nie było co marzyć.

Ustalili zasady - *cart* od siódemek w górę. Riordan usunął wszystkie karty od dwójek do szóstek, pozostałe potasował i podał Wildehamowi do rozdania. Ten rozdał po pięć kart i odkrył jedenastą, żeby wyznaczyć atut. Siódemka kier. Riordan przystąpił do wymiany. Poprosił o dwie karty. Wildeham jako rozdający mógł odmówić, ale ryzykował utratę punktu. Wybrał bezpieczną opcję i dał Riordanowi dwie karty. Riordan odrzucił dwie z ręki i zastąpił je nowymi.

Maura wstrzymała oddech w oczekiwaniu na ewentualną kolejną wymianę. Gra *cart* polegała na zgromadzeniu w ręku pięciu możliwie silnych kart, by wziąć jak najwięcej lew. Gracz, który nie rozdawał, miał prawo dokonać tylu wymian, ilu chciał. Rozdający mógł za każdym razem odmówić.

Po zakończeniu wymiany walczyli o lewy, najwyższa karta wygrywała. Zasady były bardzo proste: po każdym rozdaniu gracz, który zdobył więcej lew, otrzymywał jeden punkt. Ale istniały również punkty bonusowe i to one nadawały grze bardziej hazardowy charakter. Gracz dostawał dodatkowe punkty za posiadanie króla atutowego, za zdobycie wszystkich pięciu lew oraz za pokonanie bezbronnego przeciwnika.

- Dobiera pan jeszcze? - zapytał zniecierpliwiony Wildeham, bo Riordan długo układał karty w ręku.

- Nie. - Riordan uśmiechnął się. - Nie potrzebuję już wymiany.

Maura miała ochotę zerknąć mu w karty, ale zrezygnowała. Nie była pewna, czy będzie umiała zachować nieprzeniknioną minę, a zdradzenie, co miał w ręku, nie wyszłoby mu na dobre.

- Mauro, koteczku, chodź do mnie. Możesz zaglądać mi w karty, jeśli masz ochotę - zagruchał Wildeham. - Na pewno przyniesiesz mi szczęście.

W jednej chwili przejrzała jego zamiary. Najwyraźniej dedukcyjne zdolności Riordana zaczęły się jej udzielać. Zauważyła, że palce Riordana zacisnęły się kurczowo na kartach, i zrozumiała, na co liczył Wildeham. Chciał ją wykorzystać, żeby zdekoncentrować

przeciwnika. Już czuła na sobie jego odrażające dłonie. Nie zawahałaby się przed całowaniem czy obmacywaniem jej, byle tylko sprowokować Riordana do nieprzemysłanego czy głupiego posunięcia.

- Wolę usiąść tutaj - odparła słodko i zajęła miejsce z boku stolika, pomiędzy obu panami.

W pierwszym rozdaniu Riordan zgarnął trzy z pięciu lew i zdobył punkt. W drugim również miał więcej lew, ale Wildehamowi dopisało szczęście i zgłosił posiadanie króla atutowego, więc wynik był dwa do jednego. To był punkt zwrotny, od tej chwili szczęście zaczęło się uśmiechać do Wildehama. W trzecim rozdaniu Riordan dostał mocne karty i zrezygnował z dobierania. Ta decyzja czyniła go bezbronnym. Zaczął dobrze, bo wziął dwie pierwsze lewy, ale Wildeham miał bijące atuty i kolejne trzy lewy należały do niego. To dało mu nie tylko punkt za wygrane rozdanie, ale również drugi za pokonanie bezbronnego przeciwnika. Wildeham prowadził trzy do dwóch. Po raz pierwszy wyprzedził Riordana.

Pozostały jeszcze cztery rozdania. Gra zmieniła się, stała się zacięta, bardzo emocjonalna. Zarówno Wildeham, jak i Riordan robili więcej wymian, żeby zorientować się, jakie karty mógł mieć przeciwnik. W czwartym rozdaniu Riordan ponownie przegrał. W piątym rozdający Wildeham odmówił pierwszej wymiany, przez co stał się bezbronny. To świadczyło, że dostał bardzo mocne karty i był pewien, że pokona Riordana, niezależnie od tego, co tamten miał w ręku. Rozgrywka toczyła się powoli, pełna napięcia. Maura tak mocno zacisnęła złożone na kolanach ręce, aż zbieleły jej kłykcice. Nie chciała pokazać po sobie zdenerwowania, bo to dodałoby skrzydeł Wildehamowi, a zaniepokoiło Riordana. Odetchnęła dopiero wtedy, kiedy Riordan zgarnął trzy lewy i zyskał przewagę. Kiedy wziął dwie następne, ledwo powstrzymała się od oklasków. Za szlema otrzymał dodatkowy punkt bonusowy i jeszcze jeden za pokonanie bezbronnego przeciwnika. Wildeham zaklął szpetnie i zmierzył go morderczym spojrzeniem.

Przy szóstej grze Riordan prowadził pięć do czterech i rozdawał. Odwrócił jedenastą kartę, by wyznaczyć atut. Trefl. Wildeham wydał triumfalny okrzyk i rzucił na stół króla treflowego.

- Mam króla atutowego. Punkt dla mnie.

Vale złożył mu gratulacje. Podekscytowani ludzie barona podeszli bliżej i stanęli wokół niego. Remis. Wildeham zerknął na Maurę.

- Zapamiętaj tę noc do końca życia, moja droga. Tej nocy dwóch łajdaków grało o twoje dziewictwo. - Mrugnął znacząco do Vale'a. - Tak, tak. Znam się na tym i wiem, kiedy dziewczyna została już rozdzwiczona. Ale nie jestem aż tak wybredny, żeby kręcić nosem,

jeśli dziewczyna jest taka ładna jak ty, kochanie.

Policzki Maury płonęły z upokorzenia. Spuściła oczy, nie śmiała spojrzeć na Riordana. Wygrał w tym rozdaniu.

Prowadził, ale tylko jednym punktem i nic nie było przesądzone. Wildeham rozdał karty i układał je w ręku z miną zwycięzcy.

- Nie chciałbym być teraz na pańskim miejscu - mruknął Riordan przeciągle. - Ma pan trudniejsze zadanie. Musi pan zdecydować, ile razy zgodzić się na wymianę kart. Powinien pan zaakceptować przynajmniej jedną, jeśli chce pan doprowadzić do remisu. Bo jeśli będę bezbronny i wygram, to przegra pan bezapelacyjnie. - Był zdecydowanie zbyt rozluźniony jak na Maury gust. - W tej sytuacji wymieniam jedną kartę.

- A ja odmawiam wymiany - oznajmił swobodnie Wildeham. - Remis mnie nie urządza, chcę wygrać. Co mi da wygranie tej partii, jeśli nie będzie pan bezbronny?

Rozpoczęła się rozgrywka. Riordan dziesiątką kier przebił siódemkę Wildehama. Wyszedł w waleta pik, którego Wildeham triumfalnie pobił damą. Wyglądało na to, że obaj mieli równie mocne karty. Następną lewę wziął Riordan, a kolejną Wildeham. I rzucił na stół króla trefl. Maura upadła na duchu. Tylko as był mocniejszy, a as mógł jeszcze znajdować się w talii. Riordan położył na stole ostatnią kartę. Błysnęła czerwień. Ósemka karo.

- Biję atutem. Moja lewa. - Riordan dorzucił karty do swojego stosiku. - Wygląda na to, że wygrałem.

Maura znowu zaczęła oddychać.

Riordan wyciągnął rękę po leżące na środku stołu dokumenty. Nie dość szybko. Ostrze noża przybiło papiery do blatu, dosłownie o milimetry od jego palców. Zrobiło się ogólne zamieszanie. Maura głośno wciągnęła powietrze. Nagle w rękach niemal wszystkich mężczyzn pojawiły się noże i pistolety. W dłoni Riordana błysnął niewielki pistolet. Przysunął go niebezpiecznie blisko do twarzy Wildehama, nie przejmując się otaczającymi go uzbrojonymi ludźmi.

- Proszę grać fair. Te dokumenty należą do mnie. Merrick, weź je. Jeśli ktoś spróbuje mu przeszkodzić, zastrzelę barona na miejscu. - Głos Riordana był zimny jak lód i śmiertelnie poważny. Merrick bez przeszkód wziął papiery ze stołu i schował je do kieszeni na piersi. - Stań za mną, Mauro. - Nie odrywając spojrzenia od oczu Wildehama, wolną ręką złapał Maurę za ramię i schował za siebie. - Przepraszam, że uciekam zaraz po wygranej. - Wycofywali się do drzwi, a Ashe i Merrick osłaniali ich odwrót. Ludzie Wildehama okazali się tchórzliwi, żaden nie chciał zostać postrzelony w cudzej sprawie.

Przy drzwiach jednak czekał Vale z nożem w dłoni.

- Zapomniałeś o mnie, kuzynie. Sprawiasz więcej kłopotów niż Elliott. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Najpierw samobójstwo, a teraz morderstwo, najwyraźniej zły los wziął się na twoją rodzinę.

Riordan nie zawahał się.

- Wygląda na to, że musimy cię zabrać ze sobą. - Wypalił z pistoletu w rękę trzymającą nóż. Ranny zgiął się, ale natychmiast został złapany pod rękę przez Ashe'a i Merricka. Znaleźli się za drzwiami, ale jeszcze nie byli bezpieczni. Gdy z impetem wypadli na korytarz, Riordan popchnął Maurę do przodu.

- Biegnij! Karetą stoi na dworze. Dogonimy cię.

Maura pobiegła ile sił w nogach. Schody wydawały się nie mieć końca, a w holu na dole kłębił się tłum ludzi, zupełnie jakby celowo tarasował jej drogę do wyjścia. Przepychała się między nimi, potykała się, ale wreszcie znalazła się na ulicy. Karetą Chathama stała przy krawężniku przed głównym wejściem do Grillona. Krzyknęła, by stangret otworzył drzwi, wpadła do środka i wcisnęła się w kąt, żeby zrobić miejsce pozostałym. Merrick wskoczył na kozioł obok stangreta.

- Jedź! Jedź! - wrzasnął.

Konie ruszyły z kopyta. Gwałtowny ruch rzucił Riordana na Maurę.

- Udało się. Vale stracił przytomność. Uznałem, że w tym stanie będzie bardziej skłonny do współpracy - rozległ się w ciemności głos Ashe'a. W mrocznym wnętrzu była taka płątanina rąk i nóg, że Maurze trudno było się zorientować, która kończyna należała do kogo.

- Nic ci nie jest, Mauro? - To był głos Riordana.

- Nie, a tobie? - Popchnęła znajdujące się najbliżej ciało. Była pewna, że to Riordan, czuła jego zapach, ciepły i znajomy.

- Och. Przestań mnie popychać. Chyba zostałem postrzelony. Ten bastard Digby trafił. Poczula na rękach lepkie potwierdzenie tych słów.

- O, Boże! - Zachłysnęła się powietrzem. Strasznie krwawił.

- Niech ktoś jej powie, że nic mi nie będzie. To tylko draśnięcie. - Riordan roześmiał się, po czym opadł na nią. Był bardzo zimny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Miał szczęście, że zemdłał, bo inaczej Maura przyłożyłaby mu za śmiech w najmniej odpowiednim momencie. Kule pistoletowe to nie powód do żartów, a jeszcze mniej rany od tych kul! Doktor zapewniał ją jednak, że Riordanowi nic nie grozi. To było tylko draśnięcie, ale czasami takie draśnięcia krwawiły bardziej, niż powinny.

Podobnie jak złamane serca, o czym przekonała się Maura na własnej skórze. Trzeba było całej doby, żeby życie w Chatham House wróciło do normy. Ashe i Merrick pojechali z rodzinami do siebie, ale obiecali wrócić, żeby sprawdzić, co z Riordanem. Dzieci uspokoiły się wreszcie po uzyskaniu zapewnienia, że wujkowi Ree nic nie będzie i że świat wrócił na właściwe tory. Merrick oddał Maurze papiery barona. Była wolna, ale najważniejsze, że Browning przyniósł po południu wiadomość, iż DeWitt po informacji o tym, co się stało w hotelu i dokładniejszym zbadaniu stanu finansów Vale'a, przestał go brać pod uwagę jako ewentualnego prawnego opiekuna dzieci. Wszystko się udało. Pozostało już tylko uwolnić Riordana.

Maura zbliżała się do jego sypialni wolnym krokiem. Bała się. Już jej nie potrzebował. Przez nią został ranny. Zaslugiwał na wolność. Zapłacił za to aż nazbyt wysoką cenę.

Cicho uchyliła drzwi. Może spał? Nie miała szczęścia. Nie spał, siedział wsparty o poduszki, a jego twarz miała normalny kolor. To jednak naprawdę było tylko draśnięcie. Nie zamierzał udawać inwalidy. Gdyby to tylko od niego zależało, już byłby na dole albo bawiłby się z dziećmi w pokoju dzieciennym.

- Nie śpisz? - udała zaskoczenie.

- Nie śpię i okropnie się nudzę. Jakie nowiny? - Poklepał miejsce obok siebie. - Jak się masz, Mauro? Wszystko w porządku? - Nie rozmawiali, odkąd w hotelu postawił wszystko na jedną kartę.

- Nic mi nie jest. - Nadal stała.

- Nieprawda. Usiądź wreszcie. - Zdrową ręką pociągnął ją na łóżko. - Nie zrobisz mi krzywdy.

Ale mogę zrobić krzywdę sobie, pomyślała.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że wyjadę, jak tylko pani Pendergast przyśle nową guwernantkę.

Wpatrywał się w nią badawczo błękitnymi oczami, jakby z jej twarzy chciał wyczytać odpowiedź. Denerwowało ją jego milczenie, więc śpiesznie dodała:

- Chcę przez to powiedzieć, że jesteś wolny. Nie musisz się ze mną żenić. Widziałeś raport Browninga?

- Widziałem.

Przerażony perspektywą procesu sądowego, Vale przyznał się, że przez cztery lata szantażował Elliotta Barretta, co łatwo było udowodnić dzięki zapisom odkrytym przez Browninga w księgach rachunkowych. W raporcie brakowało natomiast informacji o powodach szantażu. DeWitt, kierując się poczuciem sprawiedliwości, pominął tę kwestię. A chodziło o trwający siedem lat romans Elliotta z oficerem marynarki, obecnie awansowanym na wyższe stanowisko. Maura zdawała sobie sprawę, że Riordan nieprędko się z tym pogodzi, głównie dlatego, że Elliott trzymał to przed nim w tajemnicy.

- Dzieci są twoje. Możesz ułożyć sobie życie, jak chcesz - ciągnęła Maura. Mógł zapomnieć o wprowadzonym przez nią porządku dnia, wychodzić z dziećmi o dowolnej porze, zabierać je do White'a i gdzie tylko zapragnie.

- Ty również jesteś wolna. Czy o to tak naprawdę chodzi? - zapytał. - Nie musisz za mnie wyjść. I nie musisz dla mnie pracować. Merrick i Alixe zaproponowali, że wezmą cię do siebie, do Hever. - Była wolna, ale jej sytuacja pozostała niepewna. Nie mogła wrócić do domu. Jej wuj trzymał z Wildehamem. W jego rodzinie nie było już miejsca dla Maury.

- Zaproponowałeś mi małżeństwo wyłącznie ze względu na dzieci. Oboje to wiemy. Nie musisz udawać, że jest inaczej.

Spochmurniał.

- Zaproponowałem ci małżeństwo, bo cię kocham. Jak jeszcze mam ci to okazać? Cofnęła się o krok, zaskoczona jego słowami.

- Kochasz mnie?

- Nie dla każdego dałbym się postrzelić. - Na ustach Riordana pojawił się cień uśmiechu, gniew go opuszczał. - Ashe pytał mnie, czy cię kocham, czy gdybym mógł wybierać, wybrałbym cię. Moja odpowiedź brzmi: tak. Większy problem z tobą. Więc jak, Mauro? Wybrałabyś mnie?

Maura stała w zakrystii kościoła St. Martin i poprawiała fałdy seledynowej sukni ślubnej. Miała zostać żoną Riordana Barretta, hrabiego Chatham. Żoną mężczyzny, którego kochała i który kochał ją. Odbyła długą drogę od chwili, gdy wysiadła w Londynie z dyliżansu z Exeter. Marzenia o rodzinie i własnym domu spełniły się, gdy zrezygnowała z nich w imię wolności.

Musiała jednak zapłacić za to pewną cenę. Straciła rodzinę. Nie było dla niej powrotu do domu wujostwa. Doświadczyła strachu, niepewności i poczucia zdrady. Ale znalazła własną rodzinę, stworzyła ją z Riordanem, Williamem i Cecylią, którzy czekali na nią teraz na końcu nawy.

Wuj Hamish miał ją poprowadzić w przyszłość. Jeśli kościół nie był wypełniony po brzegi, to Maura tego nie zauważyła. Nadal plotkowano trochę w salonach o skandalicznych okolicznościach małżeństwa Riordana z guwernantką, chociaż odczekali dla przyzwoitości odpowiedni okres, zanim wzięli ślub. Ale jej oczy zwrócone były wyłącznie na przystojnego mężczyznę, który czekał na nią na końcu nawy i na stojące obok niego dzieci. Nie nazywały go już wujkiem Ree, tylko tatą Ree. Bardzo jej się to spodobało. Na nią nadal wołały Szósta, co również jej odpowiadało. Zaczynali razem dobre, wspólne życie i przyszłość obiecywała im upragnione szczęście.

Wuj Hamish wsunął dłoń Maury w rękę Riordana, a przyszły mąż obdarzył ją najbardziej lubieżnym uśmiechem, jaki te święte mury widziały. Ale to właśnie najbardziej w nim kochała - obok setek innych rzeczy. Ksiądz zaintonował pieśń rozpoczynającą mszę. Maura wykorzystała tę okazję, by szepnąć Riordanowi do ucha niespodziankę, z którą czekała do odpowiedniej chwili.

- Za jakieś siedem miesięcy zostaniesz ojcem.

Nieczęsto udawało jej się wstrząsnąć Riordanem, ale teraz jej się udało. Uniósł ciemną brew i odzyskał zimną krew.

- To się nazywa zgrzeszyć z powodzeniem.

Maj 1836, wystawa w Akademii Królewskiej

- Czuję się taka niezgrabna. - Maura położyła rękę na brzuchu. Był ogromny, ale Riordan go kochał. O tej porze, późnym popołudniem powszedniego dnia, eleganckie towarzystwo nie wychodziło jeszcze z domów, by zażyć rozrywki, więc mieli Somerset House tylko dla siebie i Riordan mógł towarzyszyć swej ciężarnej żonie, nie przejmując się tym, że kobieta w błogosławnym stanie pokazująca się w miejscu publicznym budziła zgorszenie.

- Przekonasz się, że warto - obiecał Riordan. - Zamknij oczy. Nie patrz, dopóki nie znajdziemy się w środku. - Położył jedną rękę na jej plecach, a drugą na ramieniu i szepnął jej do ucha: - Dla mnie jesteś piękna i tylko to się liczy.

- Och. - Położyła rękę na brzuchu. - Dziecko znowu kopnęło.

- A doktor mówił, że dzieci przed porodem uspokajają się. - Riordan pokierował jej krokami na prawo, ku przeciwległej ścianie.

- Na pewno nie to dziecko! - roześmiała się Maura. - Ale tym razem kopnięcie było jakieś inne. Może to sygnał.

- Jesteśmy na miejscu. Możesz otworzyć oczy.

Zaprowadził ją przed ogromne płótno przedstawiające upozowaną na otomanie kobietę o kasztanowatych włosach.

Maura spojrzała i zaniemówiła. Jej reakcja sprawiła Riordanowi ogromną radość.

- To ja - szepnęła, gdy w końcu odzyskała głos. Łzy napłynęły jej do oczu, co w ostatnich miesiącach zdarzało się dość często. - Namalowałeś mnie. Niesamowite. Jak to zrobiłeś? Przecież ci nie pozowałam.

Riordan uściskał jej rękę.

- Malowałem cię z pamięci. - Przez te wszystkie bezsenne noce, kiedy rozmyślał o swoim szczęściu, wpatrywał się w jej uspijoną twarz. Żaden rys nie umknął jego uwadze. Był zakochany, całkowicie olśniony miłością.

Zerknęła na ścianę obok obrazu.

- A co to? - Pochyliła się ku rozetce przychepionej do kołka i odczytała napis na wstędze: „Najlepszy nowy artysta”. - Riordanie, jestem taka z ciebie dumna.

Pławił się w jej zachwycie.

Nagle Maura złapała się za brzuch i na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- O jej, Riordanie, wydaje mi się, że dziecko również ma ochotę świętować.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie, oboje przejęci tym, co miało nastąpić. Potem Riordan wziął ją na rękę i parsknął śmiechem.

- Wiesz, kiedy ostatni raz tu byłem, zdarzyło się to samo. - Galeria nie była zatłoczona, ale musiał minąć kilka osób, niosąc żonę na rękach. - Proszę o przejście, przejście, wkrótce zostanę ojcem.

Znowu. Drugi raz w ciągu roku. W ciągu kilku miesięcy został ojcem trojga dzieci. Gdyby przed rokiem ktoś chciał się z nim założyć, że zostanie szczęśliwym mężem i ojcem trojga dzieci, Riordan wybuchnąłby śmiechem i bez wahania przyjął zakład. Przegrałby, ale taki zakład warto przegrać. Pochylił się i pocałował Maurę.

- Myślę, że szóstka to mój szczęśliwy numer.